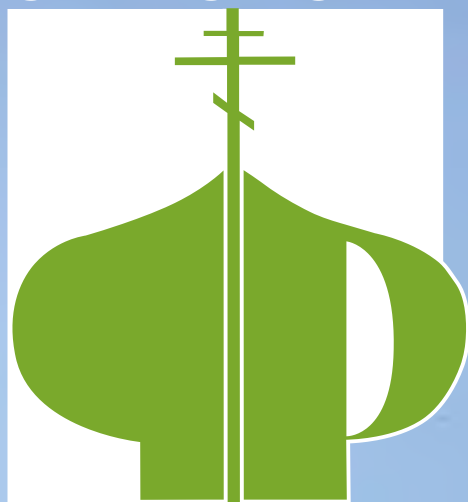


ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski   Nr 9 (387) wrzesień 2017   cena 6 zł (w tym 5% VAT)

W Kostomłotach, 1 sierpnia, w święto św. Serafima Sarowskiego, odbyły się ogólnopolskie obchody 70 rocznicy Akcji Wisła.

Więcej na stronach 2-6

Fot. Anna Radziukiewicz

W numerze



Pamięć i przebaczenie

Nasi ojcowie i dziadowie zostali zmuszeni do opuszczenia swojej ojcowizny i udania się w nieznane. Mieszkańców Południowego Podlasia, Chełmszczyzny, Podkarpacia i Łemkowszczyzny wygnano z rodzinnej ziemi. Akcja Wisła była wielkim dla nas, prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej, doświadczeniem. Siedemdziesiąt lat temu po raz kolejny w historii próbowano zniszczyć naszą Cerkiew i jej wiernych. Rok 1947 należy zapisać do najczarniejszych kart w historii, wśród takich dat jak lata 1596, 1915, 1938, 1944. Bez zrozumienia historii nigdy nie zrozumiemy współczesności, nie zrozumiemy naszej Cerkwi, jej męczeńskich losów i jednocześnie wielkiego heroizmu. Celem deportacji było oczyszczenie ziemi z cyrylometodiańskiej tradycji, wiary, kultury i języka naszych przodków. I dlatego dotknęła ona prawosławnych przodków.

Tych słów posłania Soboru Biskupów Cerkwi w Polsce słuchało w Kostomłotach 1 sierpnia, w święto św. Serafima Sarowskiego, około półtora tysiąca wiernych z Chełmszczyzny, Łemkowszczyzny, z północnych i zachodnich ziem Polski, Białostocczyzny i tych, którzy przyjechali z Białorusi i Ukrainy. Słuchali uczestnicy Akcji Wisła – garstka już ich została – ich potomkowie i ci, których akcja mogła wymieść z rodzinnej ziemi, ale zatrzymała się na linii Bugu.

W posłaniu nie słyszeli o politycznych przyczynach akcji, takich jakie formułuje się dla oficjalnej pamięci historycznej. Słyszeli o tym, że próbowano zniszczyć Cerkiew.

W posłaniu prosili biskupi lud, by ofiary akcji otoczono szczególnym szacunkiem, miłością, wpisano ich do swojej pamięci, żeby pochylono się nad heroizmem ludzi, którzy do-

Obok młodzi witają władyków. Na pierwszym planie Aleksandra Świrid
Od prawej władycy Abel, Jakub i Paisjusz
U dołu Mikołaj Gryszko



świadczyli tylu cierpień na ziemiach odzyskanych, trwając w świętej wierze prawosławnej, organizując na nowych ziemiach cerkiewne życie, na początku gromadząc się na Liturgiach w swoich ubogich domach, nieraz po kryjomu.

Prosili hierarchowie: „W modlitwach wspomnijmy naszych dziadów, ojców, braci i siostry, którzy nigdy



nie stracili wiary, nie wyrzekli się swojej tradycji, nie wstydzili się swojego języka". Prosili, by szczególnie wspomnieć więźniów Jaworzna i wychowywać młodzież w duchu wiary i tradycji.

I usłyszeli zgromadzeni znamienne słowa: „Pouczeni radością Zmartwychwstania Pańskiego, wypowiedzmy głosem całej naszej Cerkwi słowa przebaczenia. Przebaczamy wszystkim wszystko mocą Zmartwychwstania".

Posłanie, sformułowane w kwietniu tego roku, podpisał metropolita Cerkwi w Polsce **Sawa**, wszyscy arcybiskupi i biskupi, także świętej pamięci arcybiskupi wrocławski i szczeciński **Jeremiasz** oraz łódzki i poznański **Szymon**.

Hierarchowie powiedzieli – pamiętajmy, ale też wybaczajmy.

Słów tych słuchał i o. **Dariusz Wasiluk**, proboszcz parafii w Tomaszowie Lubelskim, wraz z siedemdziesięcioma innymi duchownymi. Może rozumiał je szczególnie.

Siedzimy w parafialnym domu w Kodniu. Stąd do Tomaszowa tyle co z Białegostoku do Warszawy, 186 kilometrów. Dla o. Dariusza blisko. Bo w diecezji, w której służy, lubelsko-chełmskiej, prawosławne parafie są oddalone od siebie nieraz po kilkadziesiąt kilometrów, do dużych odległości jest więc przyzwyczajony. Tomaszowska cerkiew, piękna, duża, odremontowana, zbiera na Liturgie garstkę wiernych, po kilku-kilkudziesięciu, bo Tomaszów stał się miastem katolickim, tak jak i jego okolice. Taki krajobraz zbudowała Akcja Wisła i poprzedzające ją deportacje na wschód.

– Tomaszowska parafia przed tamtymi akcjami liczyła około dwóch tysięcy wiernych – mówi o. Dariusz. – Po deportacjach przestały istnieć dwa dekanaty – tomaszowski i hrubieszowski, z siedemdziesięcioma cerkwiami i około czterdziestoma tysiącami wiernych. Liczyłem, że na tej ziemi było tylu wiernych, ilu dziś w parafiach warszawskich, w dekanacie bielskim, siemiatyckim i hajnowskim. Teraz zostały nam tylko cmentarze i kilka cerkwi. Gdyby zadbać o cmentarze, musiałbym na nich codziennie, od rana do nocy, kosić trawę, chaszcze, karczować krzaki. I też by sił nie starczyło. „Batiuszka, cmentarz zarośnięty" – mówią ci, którzy raz na kilka lat przyjadą na przykład z zachodniej Polski na groby przodków.

– A była pani na cmentarzu niedaleko Kodnia? – pyta mnie pani z Radzynia Podlaskiego, katoliczka, która przyjechała do Kostomłotów na uroczystości 70-lecia Akcji Wisła, na zaproszenie prawosławnej kuzynki. – Takiego cmentarza jeszcze nie widziałam. Taki smutny! Tylko kopczyki po mogiłach zostały – mówi.

Ale o. Dariusz cieszy się choćby z tych małych, drobnych kroczków, stawianych w Tomaszowie i na całej Lubelszczyźnie. Że gdy zorganizował koncert muzyki cerkiewnej w Tomaszowie, przyszło na niego 150 osób. Że cerkiew jest remontowana, że nie ma już w niej ani miejskiego szaletu, ani składu sztucznych nawozów, jak to było po wojnie, że przyjaźń okazuje lekarz katolik, że wiele zależy od samego człowieka.

I parafia w gminnym Kodniu nad Bugiem, z którego do Kostomłotów osiem kilometrów, trochę ludniejsza od tomaszowskiej, też ma swoje radości. O tych mówi jej proboszcz o. **Jan Grajko**. Cieszy się, że w ostatnim okresie ochrzcił kilkoro dzieci i że ich imiona są tradycyjne – Lena, Nikodim, Ilja, Mikołaj. A przecież niedawno, gdy chodził z *kreszczeńską* wodą, kobieta płakała: – Batiuszka, zapiszcie sami imiona moich córek. Bo ja nie wiem jak. Ochrzciłam je, gdy byłam na ziemiach odzyskanych, Iwona i Jagoda. A w tomaszowskiej parafii kobieta została ochrzczona Eudokia, ślub brała jako Eugenia, a umierała jako Ewa. Ileż barw ochronnych włożyła na siebie!

I cieszy się o. Jan Grajko, że może służyć w nowej cerkwi, która stanęła w pośrodku Kodnia, niedaleko kościoła. A przecież przed drugą wojną parafię w Kodniu zlikwidowano,

do Zabłocia wiernych posłano. Ci z Kodnia błagali władze, by im pozwolono otworzyć cerkiew. Zgody nie otrzymali. Wybudowali więc „tajną” cerkiew, jak ją nazywali, na placu przekazanym im przez katolików **Oniszczuków**. Wyświęcili w 1934 roku. W niej się modlili. Dużo było w Kodniu prawosławnych. Matuszka Grajko mówi: – Czytałam, że tysiąc prawosławnych tu mieszkało. A jedna nasza parafianka mówiła, że w Kodniu mieszkało jedynie sześć katolickich rodzin, a teraz mamy tylko trzydzieści prawosławnych rodzin. A niedaleko w Olszankach nie było ani jednego katolika.

Cieszy się o. Jan, że w byłej „tajnej” cerkwi mógł urządzić skromne muzeum i na planszach „opowiedzieć”





historię kodeńskiej parafii, trwającej nie mniej niż pięćset lat. Że może do niego zapraszać nie tylko turystów, ale i pielgrzymów, bo dla tych, którzy idą lub jadą do Jabłecznej, na Grabarkę, Turkowic, na Łemkowszczyznę, Kodeń leży po drodze.

W Kostomłotach uroczystości zaczęły się po południu 31 lipca *wsienoszczym bdienijem*. Niedużą cerkiew, stojącą pośrodku wsi, otoczyli wierni z każdej strony, bo ileż może ona zmieścić ludzi – pięćdziesiąt, sto?

Kostomłoty nie widziały jeszcze tylu prawosławnych! – słyszało się uradowane głosy.

– Widziały, widziały – mógłby odpowiedzieć o. **Ambroży**, ihumen założonego w Kostomłotach w 2003 roku domu zakonnego. – Przed deportacjami tylko do parafii kostomłockiej należało 1500 wiernych. A na parafialne święta ciągnęli wszak ludzie i z innych parafii. To była średniej wielkości parafia.

We wtorek, 1 sierpnia, arcybiskupa lubelskiego i chełmskiego **Abla**, białostockiego i gdańskiego **Jakuba** oraz przemyskiego i gorlickiego **Paisjusza** powitała najpierw młodzież. W jej imieniu **Aleksandra Świrid** mówiła: – Masz dwie godziny, żeby się spakować i wyjechać w nieznane. – To żart? – każdy by pomyślał. Wtedy zapewne tak samo myślano. Bo jak można w dwie godziny opuścić dom, gospodarstwo, cerkiew, porzucić wszystko co się osiągnęło i zabrać to, co się dało udźwignąć na plecach. Dziś podziękujmy Bogu, że choć część z tych, którym kazano wyjechać, wróciła na swoją ojcowiznę, że dzięki nim poznaliśmy prawdziwą historię, że ci ludzie przywrócili na tych ziemiach wiarę prawosławną i swoją kulturę.

Aleksandra poprosiła władyków o modlitwę za pokój i za młodych.



Aleksandra mieszka z rodzicami w Kostomłotach, tata **Jan** urodził się w Kostomłotach, mama **Renata** w Terespolu. We wrześniu pójdzie do klasy maturalnej liceum im. Staszica w Białej Podlaskiej. Od dziecka pozostaje pod duchową opieką o. Ambrożego, który uczył ją cerkiewnosłowiańskiego i podstaw wiary. W cerkwi czyta *Apostoła*, *Czasy*, śpiewa w chórze i wraz z rodzicami jest podporą parafii. Mówi mi: – Parafia nasza



Eugeniusz Czykwin, przewodniczący Kapituły Nagrody im. Księcia Konstantego Bazylego Ostrogskiego, wręcza dyplom i medal nagrody Halinie Brodkiewicz jako przedstawicielce pokolenia deportowanych z ziem Polski wschodniej na ziemie północne i zachodnie. W głębi arcybiskup lubelski i chełmski Abel

jest malutka, niecałe trzydzieści osób, ale w nas jest siła i moc. Trzymamy się. Damy radę.

Dostojnych hierarchów powitał też starosta cerkiewny **Mikołaj Gryszko**. Mówił: – Żeby młodzi nie nieśli takiego krzyża jak moje pokolenie.

– Panie Mikołaju, doświadczyliście Akcji Wisła i po powrocie widzieliście, jak prawosławie zamarło w waszej wsi, ale i jak znów część mieszkańców Kostomłotów wróciła do prawosławia – zwrócił się do starosty władyka Abel.

A w słowie do wszystkich hierarcha mówił: – Siedemdziesiąt lat temu przeszła fala rujnująca nasze życie. I oto doszło do paradoksu. Mieszkańcy Chełmszczyzny czy Południowego Podlasia zawieźli prawosławie tam, gdzie go nie było, na Warmię i Mazury, do Gdańska, Szczecina, Wrocławia, rozsiali po Polsce. Dziś pojawiła się nowa fala migracji. Do Polski jadą ludzie z Ukrainy, wśród nich prawosławni. I tak na łzach naszych przodków wzrasta nowy pęd wiary Chrystusowej. U Boga nie ma nic bez Jego *promysłu*. Wszystko zamyka się w Bożym planie. *Sława Bohu za wsio, i za skorb, i za radost*' – mówił słowami św. Serafima Sarowskiego.

Marszałek województwa lubelskiego, **Honoriusz Kozłowski** do uczestników uroczystości napisał list, który odczytał jego przedstawiciel. Pisał, że Akcja Wisła jest jedną z najtragiczniejszych kart narodu ukraińskiego, dokonaną przez komunistyczne władze, które – jako system totalitarny – stosowały zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Że w jej wyniku tysiące ludzi straciły dorobek życia, poczucie bezpieczeństwa, a wielu i życie na skutek wycieńczenia, chorób i głodu. Pisał, iż ma nadzieję, że to ostatni tragiczny rozdział w „dziejach naszych narodów".

Na uroczystości do Kostomłotów przyjechał prof. **Bazyli Krupicz** z Białegostoku, urodzony w Dobrywodzie.

– Nie mogłem tu nie być – mówi. – Tu, w Kostomłotach, jest cząstka Dobrywody. Stoi tu nasza cerkiewka. Zaprojektował ją Sidor, nasz miejscowy cieśla o architektonicznym zmyśle. Stawiano ją, gdy nie przebrzmiały jeszcze echa Akcji Wisła. U nas ludzie dobrze wiedzieli, co się dzieje na południu. Bali się, że mogą podzielić los prawosławnych z Południowego Podlasia. Stawiali cerkiew jeszcze za Stalina, kiedy ludzie w ogóle do cerkwi bali się chodzić. Ileż mieli odwagi!

Przyjechał i **Jan Smyk** z Białegostoku, dziennikarz radiowy, też urodzony w Dobrywodzie.

– Aż płakać mi się chciało, gdy stanąłem w Kostomłotach – mówi. – Dziadek uczył mnie na dzwonnicy tej cerkwi dzwonienia. Cerkiewkę pobudowano w Dobrywodzie na trzęsawisku, na błocie. Minęło pół wieku i trzeba było coś z nią zrobić. Podwaliny zgniły. Pamiętam gorące dyskusje – co dalej? Oczywiste było, że trzeba było ją rozebrać do fundamentów. Tak uczyniono i przekazano do Kostomłotów, na suchy grunt, a na naszym, podmokłym, stanęła murowana cerkiewka. U nas jej patronką była św. Paraskiewa, nazywana Serbską, w Kostomłotach jest św. Serafim Sarowski. Cerkiewka połączyła w ten sposób prawosławie bałkańskie, które tak silnie promieniowało na Cerkiew w Rzeczypospolitej, z rosyjskim, silnym i pięknym. Mój tata trafił podczas bieżeństwa w 1915 roku, gdy miał 12 lat, na ziemie, na których niósł podwig św. Serafim Sarowski. Wrócił z brzuchem rozdętym głodem. Jego siostra została w Rosji. Osiadła pod Moskwą. Dla mnie św. Serafim jest świętym, który jakby wszedł do dziejów mojej rodziny. I dlatego też chciałem być tu, w Kostomłotach, podczas święta patrona tej cerkwi i parafii.

Posłanie odpowiedzialnością obarczyło „komunistyczny reżim”.

Swoje posłanie do uczestników ogólnopolskich uroczystości skierował także, nieobecny w Kostomłotach, marszałek województwa lubelskiego, prof. **Przemysław Czarny**.

Na uroczystości przybył przedstawiciel starosty powiatu bialsko-podlaskiego. Z listu przez niego odczytanego: „Akcja Wisła miała na celu wysiedlenie wszystkich osób narodowości ukraińskiej, w tym Łemków i rodzin polsko-ukraińskich”. Pisał, że proces pozostawił trwałe ślady na terenie województwa lubelskiego oraz znacząco wpłynął na sytuację Kościoła prawosławnego w Polsce. Starosta wspomniał o szczególnej sympatii, żywionej wobec społeczności prawosławnej i przyjaznych stosunkach, łączących powiat bialski z diecezją lubelsko-chełmską.

Przybyli wójtowie gmin Sławatycze **Grzegorz Kiec**, Hanna **Grażyna Stanisława Kowalik**, Kodeń **Jerzy Troć** i „wielki przyjaciel naszej Cerkwi” – jak określił władyka Abel, wójt gminy Terespol **Krzysztof Iwaniuk**.

Władyka Abel dziękował sponsorom i współorganizatorom uroczystości – Fundacji Dialog Narodów i jej szefowi **Grzegorzowi Szwedowi**, „Pronarowi” z „mojej rodzinnej Narwi”, jak określił, **Janowi Miniukowi** i firmie Maksbud, osobom indywidualnym, chórowi z Krynicy pod kierunkiem **Piotra Trochanowskiego**, który śpiewał podczas uroczystości i chórowi „Chołmszczyna”, dyrygowanemu przez matuszkę **Elżbietę Wieremiejewicz**, **Grzegorzowi Kuprianowiczowi** za przygotowanie wystawy o Akcji Wisła, która w czterech egzemplarzach będzie krążyła po parafiach w Polsce. Dziękował młodzieży, która wydała specjalny numer swego pisma „Istocznik”, poświęconego wydarzeniom sprzed 70 lat i tak wiele pomogła w przygotowaniu święta i obsłudze pielgrzymów – wszyscy byli nakarmieni, napojeni (to był najgorętszy dzień lata), otrzymali sucharki z Diwiejewa. Dziękował pielgrzymom.

Anna Radziukiewicz

fot. **autorka**

W cerkwi w Pasłęku, od lewej o.o. Daniel Popowicz, Sławomir Tomaszuk, Witali Leończuk, Dariusz Jóźwik i Marek Antonowicz

Pamięć wciąż tu trwa

21 lipca w Pasłęku odbyły się dekanalne obchody 70 rocznicy Akcji Wisła. Pasłęk jest jedną z parafii założonych w wyniku przeprowadzenia tej akcji i obecnie skupia najwięcej parafian z dekanatu gdańskiego, którzy pamiętają te tragiczne wydarzenia.



Dekanat gdański składa się z pięciu parafii i jednej filii i obsługuje je pięciu kapłanów. Są to małe parafie (Orneta, Morąg, Braniewo są najmniejszymi parafiami w diecezji białostocko-gdańskiej i jednymi z najmniejszych w Polsce), jednak bardzo ważne w sensie historycznym.

To właśnie w nich dojrzewało prawosławne życie duchowe Warmii i Pomorza.

Pierwszym proboszczem parafii w Ornecie był o. **Aleksy Nestorowicz**, który jednak po kilku dniach został zabrany przez służby bezpieczeństwa i osadzony w obozie w Jaworznie. Wówczas parafię zaczął tworzyć przyjeżdżający z Gdańska o. **Eugeniusz Naumow**.

Nabożeństwa odprawiano w dawnym kościele ewangelickim już w 1947 roku, co ornecką parafię czyni jedną z najstarszych na tzw. ziemiach odzyskanych. Oficjalnie jednak parafia rozpoczęła działalność w 1948 roku. Była jedną z największych parafii prawosławnych. Orneta i okolice były bardzo wyludnione, stąd wielu przesiedleńców skierowano właśnie na te tereny. Szacuje się, że wiernych było ponad dwa tysiące, ale liczba ta na pewno nie jest pełna, gdyż wielu prawosławnych albo nie wiedziało o istnieniu cerkwi w Ornecie, albo bało się przyznać do swej wiary i pochodzenia.

Musimy pamiętać o traumatycznych przeżyciach, jakich doświadczyli przesiedleńcy.

Zanim przybyły pierwsze wagony, służby bezpieczeństwa uprzedzały osoby już mieszkające na tych terenach, że przywiozą tutaj bardzo niebezpiecznych ludzi, członków UPA, którzy tylko kradną i mordują. Zrozumiała w tym kontekście jest niechęć, a nawet wrogość, ludzi, którzy dobrowolnie przesiedlili się

na „ziemie odzyskane” tuż po wojnie.

Przesiedleńcy z Akcji Wisła nie mogli wybierać domostw, zamieszkiwali tam, gdzie było miejsce, z reguły w zniszczonych i rozgrabionych budynkach, w których nie było okien, drzwi, a często również dachu.

Dopiero po jakimś czasie sąsiedzi zaczęli trochę przychylniej patrzeć na nowych przybyszy, widząc w nich zwykłych gospodarzy. Jednak nieufność utrzymywała się bardzo długo.

Pod koniec lat 50. i na początku 60. liczba wiernych na Warmii znacząco się zmniejszyła. Miało to związek z pozwoleniem na powrót przesiedleńców w ich rodzinne strony. Najlepiej obrazuje to parafia w Ornecie, gdzie liczba wiernych zmniejszyła się do 63 rodzin, a regularnie uczęszczających na nabożeństwa do około dwudziestu-trzydziestu osób.



Chór pod kierunkiem Marty Zinkiewicz

Do 1959 roku ornecka parafia była najlepiej funkcjonującą parafią nie tylko na Warmii. Władze miasta przekazały na jej rzecz budynki gospodarcze, mieszkalne oraz świątynię po parafii ewangelickiej, co pozwalało na wynajmowanie mieszkań, dzięki czemu parafia mogła się utrzymać, a także wspierać inne. Niestety, w 1959 roku władze państwowe zabrały budynki i z parafii, która pomagała, stała się Orneta parafią, która potrzebowała pomocy.

Parafie na Warmii i Pomorzu dotyka ciągle problem odległości wiernych od cerkwi. Nieraz nawet pięćdziesiąt kilometrów muszą pokonywać, a jednak trwają w modlitwie i wierze.

Uroczystości 70 rocznicy Akcji Wisła rozpoczęły się Liturgią, którą służyli o. prot. **Sławomir Tomaszuk**, proboszcz parafii św.św. Niewiast Miro Niosących w Czarnej Białostockiej (wcześniej proboszcz parafii św. Onufrego Wielkiego w Pasłęku), o. prot. **Witali Leończuk**, proboszcz parafii Przemienienia Pańskiego w Braniewie (najstarszy kapłan dekanatu gdańskiego), o. prot. **Dariusz Jóźwik**, dziekan dekanatu gdańskiego, proboszcz parafii św. Mikołaja Cudotwórcy w Gdańsku, o. prot. **Daniel Popowicz**, proboszcz parafii wojskowej św. Jerzego w Gdańsku, o. prot. **Marek Antonowicz**, proboszcz parafii św. Marii Magdaleny w Elblągu i św. Onufrego w Pasłęku oraz o. **Radosław Kondraciuk**, proboszcz parafii św. Mikołaja Cudotwórcy w Ornecie i św. Włodzimierza w Morągu.

Śpiewał parafialny chór z Pasłęka oraz chór parafii Narodzenia Bogarodzicy w Bielsku Podlaskim.

Po Liturgii o. Dariusz Jóźwik wygłosił referat na temat Akcji Wisła. Chór z Bielska Podlaskiego pod kierunkiem **Marty Zinkiewicz** wystąpił z koncertem muzyki cerkiewnej.

Po koncercie proboszcz parafii, o. Marek Antonowicz, zaprosił wszystkich na agapę, przygotowaną przez wiernych całego dekanatu.

Wspominano minione lata i słuchano chóru z Bielska Podlaskiego, śpiewającego tym razem pieśni ludowe, a wierni z Warmii i Pomorza odpowiadali pieśniami, które zachowały się w ich pamięci.

o. Radosław Kondraciuk
fot. **autor**



Parafianie dekanatu gdańskiego z duchownymi i chórem

Podczas uroczystości w Mrągowie
Obok na stronie u dołu poświęcenie kamienia upamiętniającego 70-lecie Akcji Wisła

Potomkowie wysiedleńców

19 sierpnia, w dzień święta Przemienienia Pańskiego, pięciu duchownych wraz z diakonem celebrowali Liturgię w cerkwi w Mrągowie. Małą parafię w Mrągowie w większości tworzą wysiedleńcy lub ich potomkowie przetransportowani bydlęcymi wagonami na Ziemie Odzyskane w lipcu 1947 roku m.in. z takich miejcowości, jak Połoski, Leniuszki, Nosowo, Kodeń.



Liturgia zgromadziła wiernych z całego dekanatu olsztyńskiego, zaproszonych gości, przedstawicieli władz wojewódzkich, powiatowych, miejskich, gminnych oraz służb mundurowych. W trakcie nabożeństwa podczas *zaupokojnej ektenii* wspominano ofiary Akcji Wisła.

Podczas *krestnoho chodu* poświęcono nowo postawiony krzyż oraz tablicę, upamiętniającą tragiczne wydarzenia sprzed 70 laty, bez których parafia i prawosławie w Mrągowie najprawdopodobniej by nie istniały. Krzyż przypomina o cierpieniach, wyrzeczeniach i prześladowaniach, których doznali wierni. Będąc zaś symbolem Zmartwychwstania i zwycięstwa nad śmiercią świadczy o żywej wierze i obecności prawosławia na terenach, na których go wcześniej nie było.

Otwarto wystawę „Sumni dni nastały" autorstwa dr **Grzegorza Kuprianowicza**, która obrazuje skutki Akcji Wisła dla Cerkwi prawosławnej w powojennej Polsce.

Na terenie mrągowskiej parafii w kwietniu został odnowiony oraz wyświęcony stary poniemiecki cmentarz w miejscowości Gajne, na którym bezpośrednio po Akcji Wisła byli chowani prawosławni wysiedleńcy.

W czerwcu parafianie udali się na pielgrzymkę do Chełma, gdzie otrzymali cząsteczkę relikwii Świętych Męczenników Ziemi Chełmskiej i Podlaskiej. 1 sierpnia uczestniczyli w centralnych uroczystościach, upamiętniających Akcję Wisła w Kostomłotach.

Parafia w Mrągowie musi mierzyć się z poważnymi problemami i inwestycjami. Ponadstuletnia świątynia, stojąca w centrum Mrągowa, wymaga niezwłocznego remontu, w zakres którego wchodzi wzmocnienie naruszonych fundamentów oraz renowacja elewacji i witraży. W roku 2018 minie 70 lat od czasu erygowania parafii oraz 60 lat użytkowania obecnej świątyni. Gorąco prosimy o pomoc, by już w najbliższym czasie móc rozpocząć prace, które uratują naszą cerkiew przed postępującym niszczeniem.

o. Jarosław Kupryjaniuk

Parafia Przemienienia Pańskiego
w Mrągowie
ul. Roosevelta 3, 11-700 Mrągowo
BS Mikołajki
Filia Nr 1 w Mrągowie
14 9350 0001 0215 0329 2062 0003







Młodzież poznaje historię Akcji Wisła

Od piątku do poniedziałku, tuż przed świętem św. Serafima Sarowskiego, obchodzonym 1 sierpnia, młodzież z Polski, Białorusi i Ukrainy miała okazję bliżej poznać historię Akcji Wisła. Służyły temu zorganizowane na terenie diecezji lubelsko-chełmskiej warsztaty dziennikarskie, których celem było dotarcie przez młodzież, w małych dwu-, trzyosobowych grupach, do osób pamiętających Akcję Wisła i wysłuchanie ich relacji.

Młodych ludzi powitał opiekun duchowy bractwa diecezji lubelsko-chełmskiej, o. **Marcin Gościk**. **Olga Kuprianowicz** z bractwa diecezji lubelsko-chełmskiej, współautorka publikacji „Dwie godziny", wydanej na 65 rocznicę tragedii, przedstawiła historię Akcji Wisła oraz podzieliła się doświadczeniami ze zbieraniem materiałów do książki. Dziennikarz **Jan Gajur** opowiadał o procesie przygotowywania tekstów do publikacji oraz o gatunkach dziennikarskich.

W monasterze św. Onufrego w Jabłecznej, na placu przed główną cerkwią, w niedzielne popołudnie odbyła się konferencja poświęcona przesiedleniom, poprzedzona molebnem otwierającym obchody siedemdziesiątej rocznicy akcji. Po słowie wstępnym władyki **Abla** o wydarzeniach mówili historyk **Grzegorz Kuprianowicz** i o. **Jarosław Szczur**.

Na konferencję przybyło kilka osób, które przeżyły Akcję Wisła. Opowiadały o swoich przeżyciach.

Otwarto wystawę „Sumni dni nastały…", którą przygotował Grzegorz Kuprianowicz.

Poświęcono pomnik, upamiętniający nieistniejącą dziś na skutek Akcji Wisła wieś Wołoszki, kilka kilometrów za Kopytowem. Nic oprócz pomnika nie przypomina teraz, że kiedyś mieszkali tu ludzie – nie pozostał żaden ślad, dom, fundament. Wokół pola i lasy. Wieś zginęła bez śladu – ale nie z pamięci. Towarzyszyli nam potomkowie i sąsiedzi z okolicznych wsi.

Aleksy Marecki mówi, że we wsi mieszkało 11 rodzin.

Według danych spisu powszechnego ludności z 1924 roku, wszyscy mieszkańcy wsi byli prawosławni i wszyscy zadeklarowali, że są narodowości polskiej.

Po poświęceniu kamienia i panichidzie władyka **Abel** mówił o męczeństwie osób, ofiar akcji. Kładł nacisk na to, że na tej ziemi odradza się teraz życie duchowe.



Z Kodnia do Kostomłotów 31 lipca wyruszyło ponad sześćdziesięciu pielgrzymów. Dotarli na *wsienoszcznoje bdienije*, służone w cerkwi św. Serafima Sarowskiego w Kostomłotach, otwierające główne uroczystości obchodów 70-lecia Akcji Wisła.

Młodzież pomagała w Kostomłotach przy obsłudze pielgrzymów, wydawała posiłki, sprzedawała świece i książki i pilnowała porządku.

Magda Tomaszuk, 17 lat, diecezja białostocko-gdańska: – O Akcji Wisła opowiadali mi rodzice. Chciałam być na obchodach tego święta. Dzięki warsztatom dziennikarskim dowiedziałam się, jak przeprowadzić wywiad, ale przede wszystkim dowiedziałąm się więcej o akcji z 1947 roku. Nagrałam wspomnienia kobiety, która miała wtedy 10 lat. Jej mama była w ciąży i miała rodzić, kiedy przyszli żołnierze i powiedzieli, że będzie przesiedlona. Dziecko urodziło się kilka dni po opuszczeniu wsi, po dwóch miesiącach zmarło.

Olga Kuprianowicz: – Większość prawosławnej młodzieży diecezji lubelsko-chełmskiej to potomkowie ofiar Akcji Wisła. Nasi przodkowie bronili swojej wiary, ukraińskiej gwary i tradycji. Pamięć o tych wydarzeniach jest więc naszym obowiązkiem wobec nich. Człowiek bez wiedzy o tym, kim jest, jaka była historia jego przodków, jest jak drzewo bez korzeni.

Udało się zapisać wspomnienia grupy osób i, miejmy nadzieję, zapoczątkować wśród młodzieży dalszą akcję ich zbierania.

Natalia Walicka
fot. **Jakub Marczuk**



Trwamy, bo pamiętamy

Z doktorem historii GRZEGORZEM KUPRIANOWICZEM
rozmawia Anna Radziukiewicz

Anna Radziukiewicz: – Koniec pierwszej połowy XX wieku okazał się dla prawosławia na Południowym Podlasiu i Chełmszczyźnie chyba najtragiczniejszym okresem.

Grzegorz Kuprianowicz: – To w istocie okres szczególny, gdyż wtedy usunięto z Chełmszczyzny i Południowego Podlasia prawie wszystkich prawosławnych, spośród których jedynie nieliczni zdołali powrócić.

– A wprowadzanie postanowień unii brzeskiej?

– Na tych ziemiach opór przeciw unii z Kościołem rzymskokatolickim był silny. Mimo że miejscowi biskupi (chełmski i włodzimierski) byli jej zwolennikami, większość wiernych i duchowieństwa pozostała przy tradycji przodków. Trafnie ujął to polski historyk Zbigniew Wójcik: była hierarchia bez wiernych i wierni bez hierarchii. Unię udało się tutaj wprowadzić dopiero po kilkudziesięciu latach, wielkim wysiłkiem.

– Jeszcze druga wojna się nie skończyła, gdy rozpoczęły się deportacje prawosławnych na Wschód.

– W latach 1944-1946 do Związku Radzieckiego wysiedlono z Chełmszczyzny i Południowego Podlasia około 190 tysięcy ludności ukraińskiej. W 1947 roku akcja „Wisła" oczyściła te ziemie z kolejnych prawie 40 tysięcy osób. I gdyby nie tamte wysiedlenia, mielibyśmy na tych ziemiach 230 tysięcy prawosławnych, żyjących w kulturze swoich przodków na własnej ziemi, mówiących w ojczystym języku ukraińskim, chodzących do cerkwi.

– Procesy niekorzystne dla prawosławia zaczęły się na tej ziemi w połowie XIV wieku.

– Tak, do tego czasu wchodziła w skład księstw ruskich, gdzie prawosławie było wyznaniem książąt, było wyznaniem państwowym. Za króla Kazimierza Wielkiego ziemia chełmska weszła w skład Królestwa Polskiego, dwieście lat później przyłączone zostało do niego także Podlasie. Wraz ze zmianą przynależności państwowej prawosławie stało się wyznaniem mniejszości, zaczęto też ograniczać jego prawa. Unia brzeska miała zaś z założenia doprowadzić do całkowitej jego likwidacji. Jednak prawosławie przetrwało, dzięki monasterom w Jabłecznej, Drohiczynie, Bielsku zachowało ciągłość tradycji. W drugiej połowie XIX wieku na Chełmszczyźnie i Południowym Podlasiu administracyjnie przywrócono obecność Kościoła prawosławnego, likwidując chełmską diecezję unicką. Pierwsze dekady XX wieku znów okazały się dramatyczne. W pamięci historycznej szczególnie zapisał się rok 1915, kiedy także z tych terenów ewakuowano w głąb Cesarstwa Rosyjskiego głównie ludność prawosławną.

– Dziesięć lat wcześniej też wielu prawosławnych podejmowało trudne wybory.

– W 1905 roku, po wydaniu tzw. ukazu tolerancyjnego, na ziemiach Chełmszczyzny i Południowego Podlasia ponad 150 tysięcy dawnych unitów przeszło na katolicyzm w obrządku łacińskim. Był to skutek sposobu likwidacji unii w diecezji chełmskiej w 1875 roku, gdy przywracano tu prawosławie nie w miejscowej przedunijnej tradycji, lecz w tradycji obcej dla ludności tych ziem, stosując przy tym przemoc.

– Potem nadchodzi okres międzywojenny.

– Czas trudny i złożony. Z jednej strony odrodzone państwo polskie tolerowało istnienie Kościoła prawosławnego, z drugiej zaś władze dążyły do zmniejszenia potencjału prawosławia oraz jego polonizacji. Szczególnie dramatycznym momentem były lata 1938-1939, gdy doszło do masowego burzenia cerkwi. Nie tylko zresztą burzono świątynie, ale także zmuszano ludzi do zmiany wyznania, tworzono taką atmosferę, by ludzie porzucali swą wiarę, kulturę i język. Wkrótce potem przychodzi druga wojna światowa, gdy konflikt polsko-ukraiński, rozpoczęty pod koniec lat trzydziestych nabiera nowego, strasznego wymiaru, giną wtedy tysiące ludzi. W pamięci Cerkwi to czas męczeństwa, którego symbolem są św. Męczennicy Chełmscy i Podlascy. A od razu po wojnie rozpoczynają się wysiedlenia...

– Czy wiedzę o historii prawosławia w Rzeczypospolitej dałoby się wpisać do programu wykładów na kierunkach humanistycznych?

– Oczywiście, powinna być ona integralną częścią programu studiów i edukacji szkolnej. Jednak każda społeczność ma własne spojrzenie na historię. Zazwyczaj dostrzega momenty, gdy była ofiarą, a nie te, gdy jej przedstawiciele zadawali ból innym. Na przykład, gdy opowiadam o burzeniu cerkwi, słyszę nieraz: „O czym pan mówi! Tak być nie mogło. Polacy by nigdy tego nie zrobili".

– Może należy cieszyć się z takich reakcji?

– To pozytywne, gdy dla ludzi takie działania jak burzenie świątyń czy prześladowania religijne są czymś niewyobrażalnym. Mówić jednak trzeba i o trudnych momentach w dziejach. Bez znajomości historii nie zrozumiemy współczesności. I nie zrozumieją się dwie społeczności, żyjące obok siebie, a mające różne wizje wspólnych dziejów. Bez takiego zrozumienia w pewnym momencie może dojść do niebezpiecznego zderzenia różnych pamięci.

– Mniejszość, rzec można, ma ten przywilej, że zna punkt widzenia i racje większości. Uczy się tego w szkole, potem z mediów.

– I musi włożyć bardzo dużo wysiłku, by zachować własną pamięć historyczną.

– Głównie poprzez przekaz w rodzinie?

– Tak być powinno. Ale, niestety, często się zdarza, że starsze pokolenie, by nie obciążać dramatycznymi doświadczeniami pamięci młodych, tej wiedzy nie przekazuje. A gdy brakuje przekazu pamięci, młode pokolenie traci poczucie więzi z tradycją przodków. Dochodzi wręcz do sytuacji, gdy wnuk, nauczony oficjalnej wersji historii, a nie znając dziejów własnej rodziny, w ogóle nie rozumie doświadczenia swego dziadka. Jeśli chcemy, jako mniejszość, przetrwać, musimy włożyć w wychowanie naszych dzieci o wiele więcej wysiłku niż nasi sąsiedzi Polacy, katolicy.

– A oficjalne obchody różnych rocznic, jubileuszy, na ile kształtują tę pamięć mniejszości?

– Mają bardzo duży wpływ na naszą świadomość historii. Dla mnie takim symbolicznym wydarzeniem były obchody 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej w 1988, które dla wielu wiernych Cerkwi prawosławnej w Polsce stały się przypomnieniem historycznych korzeni prawosławnej tradycji naszych przodków. Ciekawym przykładem budowania pamięci historycznej są działania podejmowane od kilkudziesięciu lat w diecezji lubelsko-chełmskiej, staraniem arcybiskupa Abla. Już w 1993 zorganizowano, w 330 rocznicę konsekracji lubelskiej cerkwi katedralnej, pierwsze sympozjum naukowe na temat historii prawosławia na tych ziemiach. W 1996, w 400 rocznicę unii brzeskiej, przypomniano, że dla Kościoła prawosławnego było to wydarzenie tragiczne. Wtedy również odbyło się w Lublinie sympozjum naukowe. Było to o tyle ważne, że bardzo uroczyście i radośnie obchodził tę rocznicę Kościół katolicki. W 1998 roku zorganizowaliśmy „Chełmsko-Podlaskie requiem”, przypominając akcję burzenia cerkwi w 1938 roku. Dziesięć lat później obchody 70 rocznicy tego wydarzenia miały o wiele większą skalę i z wiedzą o tym dramacie udało się przebić do szerokich kręgów społeczeństwa. Zachowanie pamięci jest naszym obowiązkiem. Bez niej nie bylibyśmy takimi ludźmi, jakimi jesteśmy.

– Taki jest i nasz obowiązek. Dziękuję za rozmowę.

Wysiedlenie

– (...) Nie będę spekulował na temat genezy i konsekwencji Akcji Wisła, opowiem o własnych przeżyciach i uwagach, jako smutnego świadka – powiedzial władyka Adam. – Druga wojna światowa, okupacja niemiecka pochłonęły wiele ofiar. Nie tylko wywieziono Żydów i Cyganów, ale cierpieli także mieszkańcy naszych wsi, wywiezieni do Oświęcimia. Nie powróciło wielu młodych ludzi, których Niemcy wywieźli do Rzeszy, do pracy. Niektórzy zginęli podczas alianckich nalotów, inni, gdy dowiedzieli się, że na Łemkowszczyźnie nie ma spokoju, rozjechali się po świecie...

Rzeczywiście, wojna się skończyła, spokoju nie było, w wiosce siedzieli komisarze i namawiali ludzi do wyjazdu na wschód. Inteligencja, zwłaszcza księża, nauczyciele i niektórzy gospodarze, zastraszeni przez polskie reakcyjne podziemie, nie mieli wyboru. Banda powiedziała zdecydowanie – „albo wyjazd, albo śmierć”. Z naszej wsi wyjechały 44 rodziny. Czasem wracali do wsi zdemobilizowani z Armii Czerwonej łemkowscy ochotnicy, których jako obywateli polskich zwolniono na Ukrainie, wracali do swej rodzimej Łemkowszczyzny. Przynosili smutne wieści od wysiedleńców. Pamiętam, jak starsi mówili: „...Nigdzie nie pójdę, tu jest moja ziemia, tu nasze cerkwie i cmentarze, gdzie spoczywają nasi przodkowie – ich nie wolno pozostawić. Jeśli mam umrzeć, to tylko w swoim domu na ojczystej Łemkowszczyźnie”.

Komisarze jesienią 1946 roku wyjechali – deportacja na wschód się skończyła. Ludzie zaczęli leczyć rany spowodowane przez wojnę. Cieszyli się, że pozostali w swych ojczystych górach. Jesienią 1946 i wiosną 1947 roku trwały intensywne prace na polach – siew, sadzenie, zasypywanie okopów. Ale radość nie trwała długo. Krążyły plotki, że będziemy wysiedleni. Ludzie nie wierzyli – nie byliśmy niczemu winni, pomogliśmy Kowpakowi i daliśmy ochotników. Rosjanie nie pozwolą nas skrzywdzić.

Kiedy nas wysiedlano, nasza rodzina składała się z trzech osób – mama 41 lat, siostra 18 i ja 21 lat. Nasz ojciec w 1942 roku został aresztowany przez gestapo i zginął w obozie zagłady w Oświęcimiu.

Gdy nadszedł dzień wysiedlenia, wojsko nie dało nam podwód. Musieliśmy sami sobie radzić. Ludzie zaprzęgali krowy, aby zawieźć dorobek całego życia na stację w Grybowie. Ale co mógł zabrać rolnik? Obsiane i zasadzone pola? Zostawiliśmy niemal wszystko – meble, obrazy na ścianach, wszystkie gospodarcze maszyny – do młócenia zboża, młynek, sieczkarnię i młynek konny, dwanaście pni pasieki.

W Grybowie na stacji towarowej Sodoma i Gomora, bydło ryczy, beczą owce, dzieci płaczą – chcą do domu, a oficer, chyba komendant, biega między wozami i gdy ktoś z mężczyzn mu się nie podoba, zabiera go do namiotu i tam wojskowi biją Bogu ducha winnego...

Lato – spiekota, miałem białą czapkę na głowie. Widzę, że „Czarny”, tak zwano tego oficera (miał smagłą twarz) idzie w naszym kierunku. Rozbiegliśmy się, ukryłem się między wozami, ściągnąłem czapkę, zmieniłem koszulę. „Czarny” wziął innych mężczyzn, co mu się nawinęli pod rękę. Zbito ich bardzo mocno. Dalej widzę, że „Czarny” bez przerwy kręci się po placu, potem przyszedł do nas, kiedy pomagałem dziadkowi, ładującemu się do pierwszego transportu. Z pistoletem w dłoni wskazał na mnie: „ten...”. Doprowadził mnie do namiotu, a był tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach. Usiadł na krześle i powiedział: „Dwadzieścia pięć” i za chwilę zasnął... Żołnierze widocznie mieli już dość bicia, bo choć położyli mnie na ławie, jednak nie bili. Kiedy „Czarny” zaczął mocno chrapać, jeden żołnierz rzucił mi: „Uciekaj”. Tak mnie Bóg uratował. Czułem jedno-

cześnie oburzenie, wielką rozpacz i swoją bezsilność. Za co, Boże, za co nasi niewinni ludzie tak cierpią? Ale to był dopiero początek...

Jeszcze tego samego dnia przeżyliśmy przerażające chwile. Do krytego wagonu-blaszaka załadowano rodzinę Iwana Ciołki, siedmioro dzieci i starą chorą matkę – z dziesięć osób, cały ich dobytek i zwierzęta. Lato, upał, a ich załadowano, zamknięto drzwi, a transport stoi. W wagonie nie ma czym oddychać – dzieci płaczą, stara mama słabnie. Iwan krzyczy, aby żołnierze otworzyli drzwi – nikt nie reaguje. Chwyciłem siekierę i zacząłem siekać blaszak. Zbiegli się żołnierze z bagnetami na karabinach. Otworzyli drzwi, ściągnęli Iwana i powalili na ziemię... Płacz w wagonie, krzyk na placu. Nie wiadomo, co zrobiłby „Czarny", ale na szczęście przyjechały dwa samochody z władzami i funkcjonariusze z pistoletami w dłoniach pobiegli w stronę wagonu. Staliśmy nie dalej niż dziesięć metrów od wagonu. Krzyki i płacz były tak wielkie, że nic nie było słychać, co mówił „Czarny", a następnie Iwan. Iwan cały się trząsł, a jego twarz była we krwi, miał złamany nos. Straszny widok.

Po tym incydencie „Czarnego" na placu nie widziałem, a we wszystkich wagonach można było mieć drzwi otwarte na długość łańcucha (około dwudziestu centymetrów).

Nas, dwie rodziny, załadowano do wagonu, który był częścią trzeciego transportu. Żołnierze-konwojenci byli ludzcy. Pierwszy przystanek był w Oświęcimiu. I tu przykra niespodzianka. Do wagonu podchodzą pracownicy bezpieki i biorą ludzi, których nazwiska są na liście. Zabrali też mnie i pod bagnetami pędzą nas przez miasto jak bandytów do Urzędu Bezpieczeństwa. Brano nas pojedynczo na przesłuchania. Przyszła kolej na mnie. Pamiętam, przy stole siedział mężczyzna w wojskowym mundurze, obok protokolant, w środku stało ze trzech żołnierzy. Przyglądał mi się przez długi czas, jak mówią „mierzył od stóp do głów". Spisano dane osobowe i śledczy krzyknął: „I co, skurwysynu, ilu Polaków zamordowałeś?".



Ile tych pytań było, trudno zapamiętać, ale kiedy zaczęli bić, przez łzy powiedziałem: „Mój ojciec w Oświęcimiu zginął. Czemu mnie bijecie?!". Śledczy podniósł rękę i żołnierze przestali bić, on sam poszedł do innego pomieszczenia, nie było go ze dwadzieścia minut, wrócił i powiedział: „Puśćcie go, jest wolny".

Pod konwojem wróciliśmy do transportu, na szczęście nikt nie został wysłany do Jaworzna, ale ja od bicia straciłem słuch w lewym uchu. A w sercu poczułem straszny żal. Czy oni są takimi potworami, czy mało im, że cierpimy tak wielki emocjonalny ból, że jeszcze nas fizycznie dobijają... Jak ciężko było się z tym pogodzić!

Szczęśliwie dotarliśmy do Lubina, gdzie nas rozładowano i osiedlono w Michałowie, w powiecie Lubin. Osiedlili nas na koloni, za wsią. Domy były piękne, ale zdewastowane, bez okien i drzwi. Piece porozwalane. Wyglądało tak, jakby ktoś celowo to zrobił przed naszym przyjazdem.

Nasza rodzina osiedliła się w piętrowym budynku. Razem było pewniej. Razem było weselej. Razem łatwiej było znieść nieszczęście, które nas spotkało. Wszyscy myśleliśmy o tym, aby powrócić w góry, gdzie powietrze było lepsze, gdzie woda czystsza, gdzie ptaki wesoło śpiewały, a tu panowała głucha cisza. Te burzany wokół domu, a tam opuściliśmy obsiane i obsadzone pola, łąki zielone, głębokie strumienie, bystrą rzekę, gdzie woda płynęła szemrząc po kamykach. Wszystko tam było nasze ojczyste, i chata, i szkoła. Cerkiewka z kopułami i trzyramiennymi krzyżami i stara czereśnia, co stała koło wozowni, i pszczółka, co siadała z kwiatka na kwiatek i niosła pachnący miód do ula, tam pagórki i dolinki, i strome ścieżynki. A tu piasek, równina – monotonia, obca ziemia i chmary komarów. Wydawało się nam, że nie ma dla nas życia. Kilkanaście dni po prostu wegetowaliśmy – mieliśmy jedzenie, bo przywieźliśmy ze sobą mąkę, kaszę, mleko dawały krowy, było masło i ser. Okna pozasłanialiśmy kto czym mógł, aby nie było przeciągu. Chodziliśmy do lasu po czarne porzeczki na pierogi, ale wzyscy myśleli o powrocie do gór.

Wydawało się nam, że nikt się nami nie interesuje, ale później okazało się, że UB obserwowało każdy nasz krok. Dziwili się, że nie chcemy tu żyć, bo ani nie naprawiamy domów, ani nie robimy zapasów na zimę. Zwoływali ludzi na mityng (zgromadzenia), gdzie przedstawiciele PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny) i administracji starali się nas przekonać, że nie ma powrotu w góry, trzeba będzie żyć tutaj i zabezpieczyć się na zimę: „Nie chcemy was straszyć, ale nie radzimy samowolnie wracać w góry, bo takich będziemy zmuszeni zatrzymać i posadzić do więzienia. Takie jest postanowienie władz centralnych".

Mężczyźni bali się, nic nie mówili, ale tu i tam kobiety zaczęły płakać, domagały się pozwolenia na powrót: „Jeśli nam nie pozwolicie, wrócimy sami, jesteśmy niewinni!". „Kobietko, mówię ci, nie waż się wracać, bo cię jeszcze po drodze zatrzymają i posadzą, nie zobaczysz ani męża, ani dzieci". Mówili prawdę. Pewnego razu nasi dwaj floryńscy gospodarze (z drugiego transportu) postanowili udać się do Florynki, aby się zorientować, czy

powrót jest możliwy. Ale szybko ich złapano i tylko dlatego, że jeden żołnierz (co stacjonował we Florynce) ich poznał, nie znaleźli się w Jaworznie.

Wychodząc z sali zobaczyliśmy dwa policyjne auta, stojące w bocznej ulicy i tak z opuszczonymi głowami wróciliśmy do poniemieckich chat.

Następnego dnia przyszedł do nas dziadek Iwan i mówi: „Chłopaki, pójdziemy jutro do Chojnowa, powiedział mi pewien człowiek, że w mieście mało kto mieszka i że można będzie stamtąd pościągać okna i drzwi, można znaleźć jakieś meble. Nie zapomnijcie wymierzyć okna i drzwi, żeby brać takie, które będą pasować". Po drodze dziadek (a był stolarzem) powiedział: „Okno może być trochę większe, ale nie więcej niż 4-6 cm, tak aby można było je ze wszystkich stron obciąć, drzwi tak samo".

Idziemy przez miasto, żywej duszy nie widać. Zajechaliśmy do bocznej ulicy, tak, aby na wszelki wypadek nie rzucać się w oczy. Weszliśmy do jednego domu, mierzymy – wszystko jest duże, w innym tak samo. Dziadek mówi: „Chłopaki, tamten dom po drugiej stronie jest mniejszy od tego, może tam coś znajdziemy". Rzeczywiście, znaleźliśmy i dziadek mówi: „Ściągajmy drzwi i okna, po małej przeróbce będą dobre". Wzięliśmy jeszcze trzy łóżka, dwa stoły i kilka krzeseł, a także płytę kuchenną. Załadowaliśmy pełen wóz. Wszystko nakryliśmy kocami i szczęśliwie wróciliśmy do domu. Po drodze w lesie mieliśmy problem. Drogi się krzyżowały i nie wiedzieliśmy, jak jechać. Dziadek mówi: „Puść lejce, konie same pójdą". Zrobiłem tak i konie trafiły na podwórze.

Dziadek i drugi nasz majster bezinteresownie pomogli nam dopasować i pozakładać okna i drzwi. Wśród ludzi była wielka solidarność, pomagali sobie nawzajem.

Niebawem przyjechał do Michałowa nasz kapłan, ojciec Stefan Biegun, który pozostał we Florynce, aby zabezpieczyć cerkiewne mienie. Pozwoził dzwony z pobliskich cerkwi prawosławnych i miał to wszystko wysłać do metropolii. Ale że był czas bezprawia, wojsko, mimo że o. Stefan miał uprawnienia z metropolii, skonfiskowało mu wszystko co zgromadził, a jego wsadziło do pociągu, jadącego do Warszawy. Zagrożono, że jeśli wróci, zostanie aresztowany.

W Michałowie w domu pana Iwana Dubeca zrobiliśmy kaplicę i tak od samego początku mieliśmy swoje nabożeństwa. Pamiętam, skończyła się pierwsza Liturgia – ludzie wychodzili z kaplicy, gdy nadjechała policja. Zatrzymali ludzi, a cywil krzyczy: „Co wy tu urządzacie jakieś nielegalne zgromadzenia?". Ludzie mówią, że mieliśmy nabożeństwo. „Gdzie pop"? Wbiegli do kaplicy. Ojciec Stefan akurat zdejmował szaty. „Poproszę dokumenty!". Ojciec Stefan pokazał dokumenty i skierowanie z metropolii, i pismo z ministerstwa, „zezwalające na odprawianie nabożeństw we wsi Michałów wiernym wyznania prawosławnego".Wszystko było zgodne z prawem. Policja odjechała, a ojciec powiada: „Widzicie, jak nas pilnują, a wy chcecie wszyscy wracać do gór". Może wtedy rzeczywiście zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nie ma powrotu, zobaczyliśmy, jak jesteśmy nadzorowani. A w pamięci były świeże wspomnienia o znęcaniu się wojska, ludzie mimowolnie odczuwali strach.

Niebawem o. mitrata Stefana metropolita przeniósł do innej parafii, Jeleniej Góry, a do nas na nabożeństwa przyjeżdżał o. mitrat Iwan Lewiarz z Zimnej Wody. Ojciec Stefan obiecał naszej parafii utensylia cerkiewne, więc ja i mój przyjaciel Mychajło Hojdycz udaliśmy się do Jeleniej Góry. Mychajło był jednym z tych, którzy najbardziej ucierpieli. Dotkliwie pobito go trzy razy – pierwszy raz w lesie, drugi na stacji w Grybowie, a trzeci w Oświęcimiu. Jechaliśmy autobusem pełnym ludzi, wśród których byli wojskowi – żołnierze i oficerowie. Byliśmy zmuszeni stać, ja przy siedzących oficerach, Mychajło obok żołnierzy. Siedzący wojskowi drzemali. Mychajło chciał wytrzeć twarz i podnosząc rękę niechcący dotknął czapki na głowie wojaka. Czapka się tylko obsunęła. Mychajło nagle padł na kolana i zaczął błagać... Jeden z oficerów natychmiast zareagował, kazał Mychajłowi wstać. A kiedy dowiedział się, że jesteśmy z akcji „W", zwrócił się do innego oficer, mówiąc: „Zobacz, co oni z ludźmi zrobili...".

Chciałbym wspomnieć o dwóch podobnych zdarzeniach w szkole w Trzebnicy, gdzie chodziły nasze dzieci. Nauczycielka biła po rękach nasze dziecko: „Jak ty się żegnasz?". Na interwencję rodziców dyrektor szkoły powiedział: „Mamy polecenie wychowywać dzieci w kulturze zachodniej".

Zdarzenie drugie: przyjechały do nas do Michałowa dwie kobiety, wywiezione w drugim transporcie i osiedlone w powiecie Nowa Sól. Jedna z nich powiedziała, że mieszka we wsi Jeziorna: „Mamy dobrego księdza, naszych chłopców bierze na ministrantów i jest do nas bardzo dobrze usposobiony". Mówię: „Czy nie rozumiecie, że on was wszystkich szybciutko skatolicyzuje?". Druga, mieszkająca w Stanach koło Lipnia, żaliła się, że polski ksiądz krzyczał na nasze kobiety: „Przychodzą mi tu z brudnymi piętami...". „I co wy na to?" „Więcej tam nie pójdę". Pomyślałem sobie, jaki to dobry księżulek. Obie kobiety były grekokatoliczkami.

To wszystko wydarzyło się w ciągu pierwszych trzech miesięcy pobytu na obcej ziemi. Stopniowo dostosowaliśmy się do tych przymusowych okoliczności. Ale nadal nie opuszczała mnie tęsknota za ojczystymi Karpatami. Pozostawało wierzyć, mieć nadzieję i modlić się, że Wszechmogący pobłogosławi nam jeszcze kiedyś zobaczyć swoją ojczystą ziemię.

Po przedwczesnej śmierci matki (siostra Stefania w tym czasie była już zamężna) nic już mnie nie łączyło z wygnaniem. Świadomie zdecydowałem się poświęcić swoje życie służbie Bogu i rodakom, bo zdałem sobie sprawę z tego, że w naszych warunkach tylko kapłan może być przydatny dla ludzi w tej ciężkiej sytuacji. Dzięki protekcji – bo miałem już trzydzieści lat – w 1956 roku zacząłem naukę w Warszawskim Prawosławnym Seminarium.

oprac. **Marianna Jara**
z ukraińskiego tłum.
Mirosława Łuksza

Tu kiedyś była Bieliczna
Niżej dawna cerkiew w Bielicznej, obok kapliczka św. Mikołaja

A w Bielicznej trawa po pas

Dotarłem do niej wiele lat temu, zupełnie przypadkowo. Podobnie jak **Andrzej Stasiuk**, bardzo lubię mapy i lubię je studiować. Dlatego kiedyś, patrząc na miejsce, w którym rzeka Biała wpada do Dunajca – a wszystko to w moim Tarnowie – zadałem sobie pytanie: no dobrze, ale gdzie się zaczyna? I pojechałem palcem po mapie w górę jej biegu, aż do momentu, gdy zatrzymał się na samej granicy słowackiej, na stoku Lackowej, a w nawiasie (czyli, że już nie istnieje), było napisane BIELICZNA. W najbliższy weekend już tam byłem, a to co zobaczyłem, śmiało mogę nazwać miłością od pierwszego wejrzenia. I musi coś w tym być, bo chyba wszyscy, których tam potem zawiozłem, czuli to samo.

A z początku niewiele wskazuje na to, jakie widoki i doznania czekają nas na końcu trzykilometrowego spaceru, wzdłuż teraz już tylko potoku, a nie rzeki Białej, z Izb w kierunku jej źródeł. Droga jak droga, urokliwa wprawdzie, ale takich na Łemkowynie mnóstwo. Potok wije się i *czerczyt*, górki z prawej, górki z lewej strony. Aż wreszcie, tuż za kapliczką św. Mikołaja, dolina nagle się rozszerza, a my, chcąc tego czy nie, wpływamy w morze falujących łąk. A gdy jest to maj lub początek czerwca, wysoka trawa faluje niczym ocean, oszałamiając feerią różnobarwnych ziół, ale przede wszystkim ich zapachem – zapachem nieludzką ręką stworzonej perfumerii.

Nad Bielczną trawa aż po pas,
Nad Bieliczną Lackowa stoi w chmurach,
Nad Bielczną rosną lasy pełne malin i borówek,
Nad Bieliczną płacze dobry Bóg.

Tak śpiewa **Krzysztof Kleszcz** w swej piosence, a dobry Bóg płacze w istocie, bo od Akcji Wisła Bielcznej (łem. *Билычна*), którą stworzył, już nie ma. Bo pozostały po niej tylko nieliczne resztki, które odnajdują ci, którym na tym naprawdę zależy. I pozostało tylko to wyjątkowe piękno i pamięć ludzka, której wykorzenić się nie dało. I rzeka Biała jeszcze, która wsi nazwę nadała, a skąd ją sama wzięła nie do końca wiadomo, choć, że od koloru bieli, to rzecz pewna.

Oj, nie miała wieś szczęścia do historii, nie miała. Choć gdy ją **Iwan Izbiański** – właściciel sąsiednich Izb – z końcem szesnastego wieku fundował, nic na to nie wskazywało. Ale potem to już się samo tak jakoś potoczyło. Tuż po lokacji nastała unia brzeska postanowili schizmatykom pokazać, kto tu teraz rządzi. Nie bez powodu więc jedno z okolicznych wzgórz nazwano *Szubenicznym Werchem*, co tak obrazowo w swej książce przestawił ks. **Wołodymyr Chylak** – proboszcz izbiański i bieliczański.

I tylko ta trawa do pasa sięgająca wciąż falowała tak samo, a zimą śnieg nie tylko po pas, ale i wyżej chłopa, smutki mieszkańców okrywał. Choć były przecież i chwile wspaniałe, jak choćby budowa istniejącej do dziś cerkwi, którą co prawda unici jako swoją postawili, ale która cieszyła oczy i dusze Rusinów. I jak choćby duma z **Nykyfora Leszczyszaka**, który się przecie tutaj, nad źródłami Białej, urodził, a który później wieś rozsławił



i rusińska Bieliczna, podobnie jak cała okolica, trafiła w ręce arcykatolickiego państwa biskupów muszyńskich, w którym odstąpienie od Rzymu karano śmiercią. A dwieście lat później, na stokach Lackowej, tak mniej więcej na granicy obu wspomnianych wsi, swój obóz założyli konfederaci barscy i jak na arcykatolików przystało, jako znakomity duchowny oraz autor zbioru 250 łemkowskich pieśni.

A potem przyszedł rok 1918 i wybuchła Polska swoją polskością, co dla mieszkańców wsi – jak szybko się okazało – niczego dobrego nie znaczyło. No bo w kwietniu roku 1921, podczas nabożeństwa, wojsko cerkiew otoczyło i siłą rekruta wzięło.



A kto się opierał, tego pobito. Pewnie dlatego bieliczańscy Łemkowie się wściekli i w 1928 gromadnie przeszli na prawosławie. Unickiej cerkwi oczywiście nie dostali, pomimo że na 205 mieszkańców wsi tylko pięciu nie



powróciło do swych korzeni. Musieli więc pobudować swoją, a że środków za wiele nie było, wystarczyło tylko na czasownię. Śladu dziś po niej w zasadzie już nie ma i tylko najwytrwalsi są w stanie odnaleźć cerkwisko.

Zdecydowanie więcej szczęścia miała cerkiew unicka, przerobiona po wojnie przez PGR na stodołę z sianem. I to właśnie uratowało jej życie. Bo siano to rzecz delikatna, więc trzeba o nie dbać, ściany ogacać i dach przed deszczem naprawiać. I dziś ta cerkiew właśnie (obecnie nieuczęszczany kościół rzymskokatolicki Archanioła Michała) stanowi oprócz pobliskiego cmentarza niemalże jedyną pamiątkę po wysiedlonej wsi łemkowskiej. Bo tylko wiosną lub jesienią, gdy zielsko jeszcze nie wybujało, wprawne oko dojrzeć może murowane piwnice pod niegdysiejszymi *chyżami*, wypłaszczenia w miejscach, gdzie stały, i resztki zdziczałych, przydomowych sadów.

A w Bielicznej tylko cerkiew ukryta,
W kępie drzew, jak w zielonym kożuchu.
W środku krzyczą
świętokradcze napisy na ścianach,
I poprzez sufit nieba sięga wzrok.

Bo nie ma już dziś mieszkańców w Bielicznej i tylko wiatr oraz turyści od czasu do czasu wprowadzają jakiś ruch w tej przepięknej dolinie. I tabuny koni jeszcze, które pasą się na bieliczańskich łąkach, tak jak tamte sprzed siedemdziesięciu laty. Bo tylko stadnina koni – następczyni nieszczęsnego PGR-u – wprowadza życie tam, gdzie jeszcze niedawno żyli Łemkowie. Niewielką ich część wysiedlono w 1945 na Ukrainę, a zdecydowaną większość, w czerwcu 1947 na *czużynu*, osiedlając w okolicach Głogowa i Gorzowa Wielkopolskiego.

Tuż przy drodze czerwona poziomka,
Śpi głęboko – spokojna o życie.
Bo niczyja nie zerwie jej ręka,
Tu w Bielicznej
nie mieszka przecież już nikt.

I Sława Bogu, że ta cerkiewka się ostała, bo nie tylko stanowi prawdziwą perełkę, ale wciąż przypomina o szczęśliwym codziennym życiu mieszkańców (które zapewniał swoisty mikroklimat, sprzyjający sadownictwu) oraz o tragedii roku 1947, ale przede wszystkim wciąż ściąga do siebie miłośników Łemkowszczyzny.

Siedzimy więc w obłędnie pachnącej majowej trawie, z której wystają nam tylko głowy, popijając krystalicznie czystą wodę ze źródełka Białej i nie możemy się napatrzeć i nazachwycać widokami, które ktoś w akcie ślepego fanatyzmu postanowił zgładzić z powierzchni ziemi. Na horyzoncie ledwie widoczna nartostrada Góry Parkowej koło Krynicy, tuż obok pasące się konie, gdzieś w górze dzwoni skowronek, a koleżanka czyta wiersz łemkowskiego barda **Bohdana Ihora Antonycza**:

W rzece dziewczęta słońce myją,
a nad wodą olchy posiadały.
Od stuleci orają tu i sieją,
a władza buntowników karze dalej.

Wiemy, że Antonycz nie pisał tego o Bielicznej, ale co z tego? Przecież do całej Łemkowyny pasuje to jak ulał. I w tym momencie zdajemy sobie sprawę, że Bieliczna jednak żyje nadal, bo tylko w żyjących wsiach trawa sięga aż po pas.

Paweł Krysa, fot. **autor**

Prawnukowie Włodzimierza

Jeśli człowiek miał szczęście urodzić się w takiej rodzinie, w której kilka pokoleń mieszka obok siebie, to najprawdopodobniej wychowywać go będzie babcia. Mama będzie karmić piersią, ojciec marszczyć brwi, jeśli dziecko zrobi coś nie tak, ale o tym, skąd wziął się księżyc i gwiazdy, jacy bohaterowie żyli w przeszłości, dlaczego zwierzęta nie mogą rozmawiać i o wielu innych sprawach opowiadać będzie babcia. Babcina miłość – to instynkt pomnożony przez doświadczenie, to tęsknota i delikatność, rodzące się z zetknięcia się starości z nowo narodzoną niewinnością.

Gdyby nie niania Puszkina, wątpliwe, czy czytalibyśmy bajki Aleksandra Siergijewicza. I gdyby nie babcia kniazia Włodzimierza, wątpliwe, czy przyjąłby on chrzest, a więc i nasza historia potoczyłaby się innym torem. Do właściwej sobie życzliwości Olga dodała znak krzyża. Patrząc na wnuka, z pewnością odmawiała modlitwę i to był pierwszy siew, który z czasem przyniósł bogaty plon.

Ruś przyjęła chrześcijańską wiarę w gotowej formie – jak oszlifowany diament w drogocennej oprawie bizantyńskiego obrządku. To zadziwiające, że ten skarb Pan powierzył narodowi niedoświadczonemu w ziemskiej mądrości i naukach, narodowi bez zapisanej historii i bez alfabetu.

Kiedy Bóg chce zrealizować swoje, skierowane w wieczność, plany, szuka na ziemi ludzi, którzy byliby mu w stanie pomóc. Jego wybór nie jest natychmiastowy. Jeśli to ludzie dokonywaliby tego wyboru, bez wątpienia popełnialiby błędy. Nie znają przecież tajemnic ludzkiego serca. W wypadku Rusi Pan także dokonał wyboru, niemożliwego z punktu widzenia prostego człowieka. Wybrał Włodzimierza.

Miłość do ziemskich rozkoszy, nałogi i zabobony wypełniały Włodzimierza od stóp do głowy. Ale jego jestestwo, jak rdzeń w drzewie, było zdrowe. Miał się przemienić, z poczwarki stać się motylem, i siłą żywego przykładu pociągnąć za sobą wszystkich poddanych. Bóg widział, że dusza kniazia jest mężna i nie fałszywa. Grzeszył, nie znając prawdy, ale po jej poznaniu był w stanie porzucić grzech. W kwestiach wiary i religijnej tożsamości kniaź dokonywał wyboru bez wystarczającej wiedzy religijnej i historycznej. Podejmował decyzję, kierując się wrodzoną inteligencją, zdrowym rozsądkiem męża stanu i intuicją.

Bóg w szczególny sposób troszczy się o książąt i królów, gdyż losy świata i życie milionów zależą od ich decyzji. To dotyczy też Włodzimierza, nawet kiedy był jeszcze poganinem i razem z całym narodem stał na historycznym rozdrożu.

Odmowę przyjęcia innych niż prawosławie wiar uargumentował być może naiwnie, ale była to sytuacja, o której Rzymianie zwykli mówić: „Pretekst błahy, przyczyna wielka". Katolicy i muzułmanie zostali potraktowani odmownie z powodów daleko nie pryncypialnych. Tylko Żydom kniaź zadał pytanie, które było jednocześnie wielkim kontrargumentem: „Jeśli wasza wiara jest najlepsza, gdzie jest wasza ziemia, gdzie wasze państwo i dlaczego Bóg rozsiał was po całym świecie"? Ale, powtarzam, do odrzucenia innych wiar doszło nie w oparciu o słowa islamskich, żydowskich i zachodnich misjonarzy. Było to dzieło Bożej Opatrzności, dla której Włodzimierz był tylko narzędziem.

Spośród niepodzielonego wtedy chrześcijaństwa kniaź wybiera wschodni wariant. O ile nabożeństwa łacinników go nie poruszają, to bizantyńska Liturgia, przeciwnie, sprawia, że kupcy Włodzimierza zapominają gdzie są – na niebie czy na ziemi. Zachwyceni greckim nabożeństwem mówią, że najmądrzejsza z niewiast, Olga, nie wybrałaby prawosławia, gdyby nie było ono najlepszą wiarą. Kazanie greckiego misjonarza i ikona Sądu Ostatecznego, której treść wytłumaczył kniaziowi, dopełniły dzieła. Włodzimierz postanawia przyjąć chrzest.

Kniaź jednak ochrzcił naród bez wstępnego katechumenatu. „Kto nie przyjdzie nad Dniepr ochrzcić się, nie jest mi przyjacielem" – powiedział i po tych słowach trudno było znaleźć człowieka, pragnącego stać się wrogiem kniazia. U Leskowa w powieści „Na kraju świata" jeden z głównych bohaterów mówi, że „Włodzimierz pospieszył się, a Grecy wykpili się". To znaczy, że Grecy pospiesznie ochrzcili naród, nie przekazując mu podstaw wiary. W tych słowach jest prawda, której nie sposób zaprzeczyć.

Ale prawdą jest także to, że Ruś polubiła nową wiarę. To co przyklejone z zewnątrz, po krótkim czasie odpadnie, a to co weszło do środka, pozostanie i ukorzeni się. Tak ukorzenił się w ruskim ludzie siew Włodzimierza i w krótkim czasie z nowo ochrzczonego narodu rodzą się herosi ducha – prawdziwi mnisi i asceci.

I tak Ruś została ochrzczona jak dziecko i potrzebowała dalszego nauczania i wzrastania w wierze. Za Jarosława Mądrego pojawiły się szkoły i biblioteki, przyszli wykształceni ludzie z Bułgarii ze słowiańskimi księgami, pojawiło się własne, ruskie duchowieństwo. Dzieło Włodzimierza znalazło naturalną kontynuację. Ale wkrótce przyszli Mongołowie i nastał kres wysokich lotów. Ruś, jakby w oczekiwaniu na swoją godzinę i swoją misję, przycicha na długie lata.

Dzisiaj my, bogaci w wiedzę i czujący odpowiedzialność przed Bogiem i przyszłością, powinniśmy potrudzić się na zasianej już niwie. Pod względem chrztów i nawróceń, odbudowanych i zbudowanych cerkwi i monasterów, nasze czasy zostały słusznie nazwane czasami „drugiego Chrztu Rusi". Tylko że my, prawnukowie świętego Włodzimierza, powinniśmy postępować inaczej. Nie wystarczy budować cerkwie. Należy też uczyć ludzi wiary. Analfabetyzm w kwestiach wiary nabiera szczególnych cech. Włodzimierz robił to, co nakazał mu Bóg, to, co poczuło jego serce. Nie pomylił się, ale oczekuje, że potomkowie będą kontynuować jego trud.

o. Andrzej Tkaczew
tłum. **Ałła Matreńczyk**

U dołu uroczystości na Górce św. Włodzimierza

Z Bogiem wszystko jest możliwe

Ze zwierzchnikiem Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej metropolitą ONUFRYM rozmawia Siergiej Gieruk



– Wasza Świątobliwość, dlaczego uroczystości 28 lipca, w dniu św. kniazia Włodzimierza i chrztu Rusi, zostały poświęcone 25 rocznicy Charkowskiego Soboru Biskupów? We wszystkich diecezjach Ukrainy odbywały się molebny i krestnyje chody, na Górkę św. Włodzimierza zostały przywiezione szczególnie czczone ikony, odbyły się uroczystości w Kijowsko-Pieczerskiej Ławrze.

– Dzień Chrzciciela Rusi, świętego równego apostołom kniazia Włodzimierza, to ogólnonarodowe święto, zarówno na Ukrainie, jak i w Rosji czy na Białorusi. Do świętego kniazia modlą się prawosławni w Kanadzie, Ameryce i innych krajach. W czasach walk i domowych wojen św. Włodzimierz pozostawał przed Bogiem orędownikiem jedności słowiańskich narodów, pokoju i ustania wszelkich nieszczęść. Nie przypadkiem został włączony do grona świętych apostołów, którzy głosili miłość, pokój, jedność w wierze na wszystkich kontynentach. Podczas chrztu Rusi nasza ziemia ociekała krwią bratobójczych walk, pogańskiego okrucieństwa, podziałów, zawiści i zdrady. Po chrzcie święty kniaź otrzymał od Boga wielką łaskę darów Świętego Ducha, która przemieniła jego duszę, obdarowała mądrością rządzenia państwem. Została otwarta nowa stronica historii wszystkich narodów Rusi. To był duchowy, cywilizacyjny wybór, dzięki któremu staroruskie prawosławie ofiarowało światu wielu *ugodników* (wybrańców) Bożych, wielkich działaczy kultury, nauki, duchowej oświaty. W trudnych chwilach naród modlitewnie zwracał się do św. Włodzimierza z prośbą o pomoc.



Dlatego 25 lat temu, kiedy Cerkiew na Ukrainie została poddana nowej próbie, prawosławni Ukrainy modlili się o pomoc do Chrzciciela Rusi. Razem z uczestnikami charkowskiego soboru wiele milionów wiernych zanosiło modlitwy do Boga i naszych świętych orędowników, opiekunów, na czele z chrzcicielem Rusi, świętym kniaziem Włodzimierzem. Charkowski Sobór ma ogromne znaczenie dla Cerkwi i ukraińskiego państwa.

– Na czym polegało niebezpieczeństwo działalności byłego metropolity Filareta?

– Kiedy rozpadł się Związek Radziecki, pojawiły się nowe możliwości służenia Cerkwi – oświatowe, misyjne, socjalne. Niestety, były zwierzchnik Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej nie chciał dostrzec tych zmian, myślał i działał, posługując się metodami totalitarnymi, uważał siebie za jedynego prawowitego cerkiewnego przywódcę, nie licząc się z cerkiewnymi zasadami soborowości, narzucał niekanoniczne decyzje, dostosowując się do politycznych nastrojów, dążeń ówczesnej władzy do podporządkowania sobie Cerkwi. Dlatego Cerkiew, wolą Bożą poprzez jej arcypasterzy, wybrała nowego godnego zwierzchnika, błogosławionego metropolitę, Włodzimierza (Sabodana) – miłującego Boga pasterza, mądrego, uduchowionego, o soborowym sposobie myślenia. W ciągu 23 lat, w odróżnieniu od swego poprzednika, kierował się zasadami soborowości, zawsze naradzał się z episkopatem, członkami Synodu. Charkowski sobór potwierdził pojęcie soborowości, odrzucił totalitarne metody zarządzania.

Cerkiew wzywała do rozsądku by-



Krestnyj chod z 2016 roku

łego metropolitę, ale on, przez swoją pychę, odrzucił braterskie upomnienie i wstąpił na drogę *raskołu*.

– Wasze Błażeństwo, przyjęliście swój wybór na zwierzchnika Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej w trudnym okresie, kiedy na wschodzie Ukrainy rozpoczęły się działania wojenne, polała się krew ludności cywilnej, społeczeństwo podzieliło się według przekonań politycznych. Jak teraz układają się relacje między Cerkwią i państwem i jaka jest rola Cerkwi w obecnych uwarunkowaniach politycznych?

– Z historii wiemy, że relacje między Cerkwią i państwem nigdy nie były proste. Kiedy rządzący liczyli się z głosem Cerkwi i sami starali się wykonywać wolę Bożą, państwo rozwijało się i kwitło. Kiedy państwo nie wsłuchiwało się w głos Cerkwi, pomiatało nią, starało się nią kierować, jak było to np. w synodalnym okresie rosyjskiej Cerkwi, w społeczeństwie następował stopniowy upadek, kryzys następował także wewnątrz Cerkwi. W ten sposób w 1917 roku doszło do rewolucji, władzę przejęli ludzie, którzy wyrzekli się Boga. Ale Pan nigdy nie zostawił swego narodu, tak jak w czasie prześladowań w XX wieku, nie zostawia i teraz, kiedy upadły świat stara się narzucić nowe wartości, depcząc chrześcijańską moralność i ewangeliczne przykazania.

Obecnie ukraińscy politycy są podzieleni w swoich religijnych poglądach. Niektórzy widzą w Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej jednoczącą duchową siłę, liczą się z jej zdaniem, słyszą jej głos, inni – przeciwnie, rzucają oszczerstwa, przyklejają polityczne etykiety, wtrącają się w cerkiewne życie, traktując Cerkiew jak polityczny instrument.

Tym niemniej kanoniczna Cerkiew prawosławna na Ukrainie cieszy się największym zaufaniem obywateli, wielomilionowe stado pozostaje wierne wierze ojców i pradziadów, przekazanej nam od czasów chrztu Rusi przez św. Włodzimierza. Cerkiew nie tylko codziennie zanosi modlitwy o pokój na świecie, o zaprzestanie bratobójczych walk, ale też pomaga ludności, która wiele wycierpiała na wschodzie Ukrainy, okazuje duchowe wsparcie cierpiącym, bez względu na poglądy polityczne i preferencje. Cerkiew łączy mieszkańców wschodu i zachodu kraju, nie dzieli ludzi na prawych i lewych, nikogo nie wyróżnia – ani biednego, ani bogatego, ani ludzi rosyjskojęzycznych, ani ukraińskojęzycznych, w myśl słów apostoła, który mówi: „A teraz i wy odrzućcie to wszystko: gniew, zapalczywość, złość, znieważenie, haniebną mowę od ust waszych; nie okłamujcie się nawzajem, boście zwlekli z siebie dawnego człowieka z jego uczynkami, a przyoblekli nowego, który wciąż się odnawia ku głębszemu poznaniu (Boga), według obrazu Tego, który go stworzył".

– Nawiązując do uroczystości związanych ze św. Włodzimierzem, proszę powiedzieć, jaką rolę odegrał wszechukraiński *kresnyj chod* 2016 roku? Przy jego okazji rozległo się z ust polityków wiele krytycznych głosów, uważających *krestnyj chod* za polityczną demonstrację.

– Kiedy nastały ciężkie czasy, spadły nieszczęścia, zaatakowali wrogowie, prawosławni chrześcijanie zjednoczyli się we wspólnej modlitwie do Boga z prośbą o pomoc. Z historii wiemy, że ilekroć wydawało się, że zgasła wszelka nadzieja na ratunek, Pan bronił naszych miast i wsi od zagłady. Ustawał mór i susza, bratobójcze walki, odstępowali najeźdźcy, nastawał pokój. Siła modlitwy naszych rodaków wielokrotnie broniła naszą Cerkiew i naszą ojczyznę.

Wróg rodzaju ludzkiego nastaje na miłujące Boga narody, sieje smutę i nienawiść. Na ciężkie próby ludzie zawsze reagowali modlitwą. Pan wzywa nas do zanoszenia próśb w godziny prób. W Piśmie Świętym widzimy wiele przykładów, jak Pan reaguje na modlitwę do Niego, jak przywoływał do tego autor psalmów, Dawid: „W każdym czasie Jemu ufaj, narodzie! Przed Nim serca wasze wylejcie: Bóg jest dla nas ucieczką!" (Ps 61,9). *Krestnyj chod* pokoju i miłości – to świadome działanie każdej chrześcijańskiej duszy, która wyraża swoją wiarę i według wiary dostaje.

– Wasza Eminencjo, 13 sierpnia minęły trzy lata od wybrania Was na stanowisko zwierzchnika Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej. Jak oceniacie Wasze służenie?

– Cerkiew czasami porównywana jest z wojskiem, z wojskową dyscypliną. I żołnierz, i oficer, i generał w armii nie komentuje nominacji. Podobnie jak każdy kapłan przyjmuję służenie Cerkwi jak wolę Bożą. Czym wyższy stopień w hierarchii cerkiewnej, tym większa odpowiedzialność. Dlatego zarówno wtedy, gdy naznaczano mnie w Troicko-Siergijewskiej Ławrze, gdzie zaczynałem swoją monastyczną drogę, jak i wtedy, gdy błogosławiono mnie na wykonywanie obowiązków namiestnika w Poczajowskiej Ławrze, czy podczas chirotonii na biskupa i kierowania czernowicko-bukowicką katedrą, przyjmowałem błogosławieństwa cerkiewnych hierarchów jak wolę Bożą, z pokorą i modlitwą. I Pan nie pozostawiał mnie grzesznego. Z Bogiem człowiek wszystko może, trzeba jedynie starać się wypełnić Jego wolę, Jego święte przykazania, cały czas pamiętając o słowach Zbawiciela: „Beze mnie nic nie możecie uczynić" (J 15,5).

– Dziękuję za rozmowę.

tłum. **Ałła Matreńczyk**
za www.pravoslavie.ru

Tak go pamiętam…

Część II

18 września 1939 na Polesie weszli bolszewicy. No i zaczęło się. Opieczętowano dzwonnicę, wysiedlono proboszcza z domu parafialnego, aresztowano dzwonnika, diakona **Sobolewskiego** i katechetę **Wieczorka**, skonfiskowano dokumenty parafialne, na cerkiew nałożono ogromną kontrybucję. Parafianie na określony czas potrzebną sumę zebrali, dzięki czemu cerkwi nie zamknięto. Wielkim zaskoczeniem dla proboszcza była wizyta miejscowych Żydów: kupca **Flaksmana**, fotografa **Globermana** i dentysty **Libmana**, którzy przynieśli pokaźną kwotę w darze dla cerkwi.

Polskie szkoły zlikwidowano. Nasze gimnazjum przemianowano na dziesięciolatkę.

Z klas starszych wybrano uczniów znających język rosyjski i skierowano na dziewięciomiesięczny kurs pedagogiczny.

W styczniu 1940 roku wybrano z kursantów pięcioosobową grupę prymusów, w tym mnie, i skierowano na egzaminy wstępne do Pieduczyliszcza w Pińsku.

W Pińsku mieszkałam na stancji u niezapomnianych państwa **Małkuszów**. Odwiedzałam w tym czasie archimandrytę. Wydawał się jakby zastraszony. Bardzo ubolewał nad losem mojej mamy, wysiedlonej z Dworzyszcza, nad wandalizmem nowych jego mieszkańców.

Po likwidacji prawosławnego seminarium w Krzemieńcu **Aleksander Niewdach**, ten którego archimandryta wziął pod opiekę, wcześniej tam przez niego skierowany, otrzymał pracę na kolei i także zamieszkał w Pińsku. Jak mógł opiekował się chorującym już wówczas archimandrytą.

W końcu maja 1941 roku zdałam egzaminy i dostałam skierowanie na germanistykę do Lwowa. Pobiegłam do ojca **Gieorgija** pochwalić się mymi osiągnięciami, ale duchownego nie zastałam.

Aleksander powiedział: – Nie ma. I nie szukaj.

Co się stało? Aresztowany? Wywieziony? Dokąd? Daj adres, wyślemy paczkę.

– Nic nie wiem. O nic nie pytaj. – odpowiedział Aleksander, ale jego mina była nieprzenikniona, trochę bezradna, a trochę jakby kpiąca…

Podczas sowieckich rządów archimandrycie groziło wielkie niebezpieczeństwo – Rosjanin z arystokratycznej rodziny, uciekinier z bolszewickiej Rosji i do tego duchowny. Jednym słowem wróg ludu! Krótko przed 1 maja 1941 roku znajomi Żydzi ostrzegli Aleksandra o planach aresztowania ojca Gieorgija i okazali mu pomoc – brat łuninieckiego fotografa, Josel Globerman, pod osłoną nocy i w asyście Aleksandra przewiózł „popa Korienistowa”, jak go określiły władze, do hotelu. Tam umieszczono go w ślepym korytarzyku, zastawionym szafami z naczyniami. Aleksander zatrudnił się w tym hotelu jako nocny posługiwacz.

29 czerwca 1941 roku do Pińska wkroczyli Niemcy. Otworzono więzienia. Co tam ujrzano – przeszło ludzkie wyobrażenia – więźniowie ukrzyżowani na zakrwawionych ścianach, zmasakrowane, zakneblowane ciała młodych chłopców, obnażone i okaleczona ciała kobiet.

Do Łunińca Niemcy weszli 7 lipca o świcie. Rozśpiewani, weseli, dorodni. Ludzie wylegli na ulice, ciekawi obcych wojaków, jakże innych od żołnierzy sowieckich w postrzępionych szynelach, z karabinami na sznurkach i tymi strasznymi bagnetami skierowanymi w stronę przechodniów.

Po południu rozległy się cerkiewne dzwony. Ludzie przybyli licznie. Modliliśmy się: o pokój i o spokój, o zdrowie i przetrwanie. A następnego dnia – szok! Na dworcu kolejowym rozstrzelano wszystkich Żydów powyżej 60. roku życia. Młodszym kazano sprzątać budynek dawnego urzędu starostwa pędzelkami do golenia i szczoteczkami do zębów…

Znaleziono spis ludzi, przeznaczonych do wywózki przez NKWD. Listę alfabetycznie otwierała ciocia **Andrejewa Marija**.

Arbeitsamt, czyli urząd pracy, skierował mnie do Deutsche Bahn, na kolej. Bez trudu mogłam pojechać do Pińska, aby dowiedzieć się czegoś o losie archimandryty Gieorgija. Chwała Bogu – żył! Był bardzo blady, na głowie i na brodzie pojawiły się srebrne nitki. Dzięki pomocy dobrych ludzi – doktora **Jewsiejenki**, cukiernika **Grygorowicza** i państwa Małkuszów – powoli dochodził do sił.

Prawosławna katedra w Pińsku była zamknięta od 25 września 1939 roku i częściowo zrujnowana. Biskup Aleksander – obłożnie chory. Nabożeństwa odbywały się w niewielkiej cerkwi św. Warwary.

We wrześniu 1942 roku od księdza **Bekisza** dowiedzieliśmy się o chirotonii archimandryty Gieorgija. Dlaczego nas nie zawiadomiono?! Niezwłocznie pojechałyśmy z mamą do Brześcia.

Zastałyśmy duchownego smutnego, zamyślonego, na nasz widok oczy zaszkliły mu się łzami. Mama płakała przez cały czas. O swojej chirotonii mówił niewiele. – Nie tak ją sobie wyobrażałem i nie z tych rąk ją chciałem otrzymać, ale wola Boża, łaska Jego nade mną…

Pokazał nam panagiję, którą otrzymał w czasie święceń biskupich – Chrystus w cierniowej koronie. Na widok tej panagiji mama zasłabła. Wśród łez powtarzała: – Aloszeńka, Aloszeńka, cierniowy wieniec nie opuści cię do końca życia. Teraz ty nasz archirej, błogosław nas.

Ucałowałyśmy panagiję i ręce biskupa brzeskiego i kobryńskiego Gieorgija.

W końcu czerwca 1944 roku, w czasie ewakuacji przed nadciągającym wschodnim frontem, w Brześciu dowiedziałam się, że w nocy odszedł na zachód pociąg, który wiózł katolickich i prawosławnych duchownych z Pińska i Brześcia.

10 lipca przejeżdżałam przez War-

szawę. Z Dworca Wschodniego pobiegłam do siedziby metropolity Dionizego i tam dowiedziałam się, że ojciec Bekisz, ksiądz **Andrej Łukaszewicz** i kler z Brześcia razem z biskupem Aleksandrem są w Warszawie, zakwaterowani na Podwalu na Starym Mieście. Razem z nimi biskup Gieorgij i Aleksander.

Los gnał mnie na zachód, do Niemiec, do pięknego miasta Darmstadt w Nadrenii. Otrzymałam pracę w wielodzietnej rodzinie państwa **Fischerów**, jako opiekunka ich dzieci.

25 marca 1945 roku Amerykanie weszli do Darmstadt.

W sierpniu 1945 dowiedziałam się, że biskup Gieorgij razem z metropolitą **Dionizym** zostali ewakuowani z Warszawy na zachód. Przed granicą austriacką udało im się – przy wydatnej pomocy pana Aleksandra – wsiąść do pociągu jadącego z powrotem i wrócić do Warszawy.

W Wiesbaden dowiedziałam się, że biskup piński i poleski Aleksander zmarł nagle gdzieś w Bawarii.

27 sierpnia 1945 roku w prawosławnej cerkwi w Wiesbaden udzielono mi ślubu ze Stanisławem Kwiatkowskim, a w październiku tego samego roku wróciliśmy do Polski. Osiedliśmy w Bydgoszczy.

W lutym 1947 roku zdołałam nawiązać kontakt z moją mamą w Łunińcu i od niej dowiedziałam się, że biskup Gieorgij jest w Warszawie, a razem z nim także pan Aleksander. Napisałam natychmiast na adres metropolii w Warszawie i wkrótce otrzymałam odpowiedź od biskupa – z zaproszeniem. Niestety, wizyta musiała zostać odłożona na później, ponieważ oczekiwałam dziecka i bardzo źle znosiłam swój stan. Później opieka nad córeczką Ewą wstrzymała jakiekolwiek podróże.

Podjęłam pracę w szkolnictwie, musiałam nostryfikować mój sowiecki dyplom, rozpoczęłam studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy.

W lipcu 1952 roku pojechałam do Warszawy zdawać dodatkowe egzaminy z historii ZSRR i WKP (b) – (Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii bolszewików). W stolicy wielkie uroczystości – uchwalono nową konstytucję. Towarzyszyło temu otwarcie trasy W-Z, defilada, pochody… Szłam piechotą z Placu Trzech Krzyży przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, odbudowany Most Kierbedzia – na Pragę, do prawosławnej katedry Marii Magdaleny. Weszłam do świątyni i przeżyłam szok! Dzieje Apostolskie czytał znajomy inżynier z Łunińca **Michał Budzko**, Ewangelię – znany diakon z Pińska ojciec **Żuk**, a w ołtarzu dostrzegłam dwóch księży i biskupa Gieorgija! Stanęłam przy samej solei. Kazanie wygłosił ojciec **Mikołaj Lenczewski** i zorientowałam się z jego słów, że dzisiaj w katedrze święto parafialne – dzień św. Marii Magdaleny. Podczas procesji nawiązałam wzrokowy kontakt z panem Aleksandrem, który mijając mnie w procesji szepnął: – Poczekaj na mnie po nabożeństwie.

Po nabożeństwie ludzie cisną się do biskupa, proszą o błogosławieństwo. Ja też podchodzę, bardzo wzruszona. Pocałował mnie w czoło i powiedział: – Aleksander zaprowadzi cię do mnie. Siedzieliśmy potem z Aleksandrem w małym pokoiku i gadaliśmy, gadaliśmy, gadaliśmy…

Kiedy przyszedł biskup, okazało się, że już nie ma czasu na spotkanie – musiał pilnie wracać do Łodzi. Obiecałam, że tam przyjadę, na ulicę Piramowicza. Odprowadziłam jeszcze władykę na Dworzec Wschodni, cały czas zaskoczona, oszołomiona i uszczęśliwiona tym nieoczekiwanym dla mnie spotkaniem. Odnalazłam bliskich!

Aleksandra znałam od dzieciństwa. To on nauczył mnie jeździć na rowerze, na łyżwach, on chodził z nami do lasu zbierać jagody i grzyby. Był jak starszy brat.

Podczas naszej rozmowy opowiedział mi o trudnych doświadczeniach biskupa Gieorgija:

7 lipca 1944 roku z niemal całym pińskim duchowieństwem znalazł się w Warszawie. Za zgodą metropolity Dionizego zakwaterował się na terenie cerkwi na Podwalu. Warunki były bardziej niż spartańskie – spanie na podłodze, brak wody, prądu. 1 sierpnia w towarzystwie księdza Bekisza, jego matuszki **Olgi** i pana Aleksandra szli przez Most Kierbedzia, ulicą Zygmuntowską na Pragę, do siedziby metropolity. Nagle strzały, wybuchy, panika. Matuszka Olga została ranna. Zaniesiono ją do pobliskiego szpitala i tam zmarła. Powrót na lewy brzeg Wisły, na Stare Miasto, okazał się niemożliwy. Biskup Gieorgij stracił swój





Władyka Gieorgij z Aleksandrem Niewdachem
Niżej pogrzeb wujka Raisy Kwiatkowskiej, 12 sierpnia 1930 roku, w środku żona Marija Andrejewa

– nader skromny, ale cały – mnisi dobytek. Od tej pory pan Aleksander utrzymywał ich przy życiu dzięki żebraniu – chodził od domu do domu i prosił o cokolwiek. Ludzie dawali, co kto mógł, były koszule i skarpetki, chustki do nosa i sweter, ktoś dał kapelusz, a ktoś inny obszerną czarną pelerynę… Pan **Panin**, łuniniecki parafianin, dał prawie nowe kamasze.

Otrzymane rzeczy były przeróżne. Czasem brudne i zniszczone, czasem prawie nowe. Aleksander brał wszystko. Co mógł samodzielnie prał i naprawiał. W aptece wyprosił kawałek mydła i szczoteczkę do zębów.

Jeszcze przed wybuchem Powstania Warszawskiego Niemcy zarządzili ewakuację metropolity Dionizego oraz biskupów **Hilariona** i **Palladiusza** do Austrii. Po wkroczeniu Armii Czerwonej, w kwietniu 1945 roku, do kraju powrócił jedynie metropolita.

Dla Cerkwi w Polsce nastały nadzwyczaj trudne czasy. Metropolitę Dionizego internowano. Tysiące prawosławnych, tak zwanych białych emigrantów z Rosji, opuściło Polskę, udając się na Zachód, wielu innych NKWD wywiozło w głąb Związku Radzieckiego.

Akcja Wisła rozproszyła prawosławnych po całym kraju. Wielu prawosławnych repatriantów zza Buga bezradnie szukało miejsca dalszego życia, szukało także cerkwi.

Określenie prawnej sytuacji Cerkwi i jej wyznawców stało się bardzo pilne. W roku 1946 biskupa Jerzego wezwano do Moskwy. – To było straszne przeżycie. – opowiadał później. – Zarzucono mi przyjęcie sakry biskupiej z obcych rąk. Długie godziny przesiedzieliśmy w hotelu w niepewności, co postanowią o Cerkwi w Polsce i co zrobią z naszą delegacją. W końcu postanowiono, że ja, biskup Jerzy Korenistow, do czasu wyboru nowego metropolity Warszawy i całej Polski, zostanę *locum tenens* tronu metropolity. Dziękując Bogu, z ulgą, cali i zdrowi wróciliśmy do Warszawy.

Raisa Kwiatkowska
fot. **archiwum autorki**



Pod opieką męczennic

Przeciętny mieszkaniec Polski, słysząc o Wierze, Nadziei, Lubowi i matce ich Zofii, myśli, że są to postacie mityczne, legendarne. Wszystko przez imiona, w Polsce rzadkie, co więcej, utożsamiane z cnotami, takimi jak wiara, nadzieja, miłość. Niektórzy zapewne przypomną sobie fragment listu św. Pawła do Koryntian: „Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość” (1 Kor 13,13).

Inaczej wygląda sprawa w prawosławiu. Te same imiona w krajach słowiańskich są bardzo popularne (Wiera – Вера, Nadzieja – Надежда, Lubow – Любовь, Zofia – София), szczególnie często spotykane na Rusi i w Bułgarii, nadawane dziewczynkom podczas chrztu z powodu pięknej symboliki i siły każdego imienia. Kim były Wiera, Nadzieja, Lubow i matka ich Zofia? W prawosławiu przecież zawsze nadajemy imiona konkretnych świętych.

Święte męczennice Wiera, Nadzieja, Lubow żyły w Rzymie w II wieku, były gorliwymi chrześcijankami. Podczas prześladowań chciano zmusić je do wyrzeczenia się wiary w Boga. Odmówiły. Oprawcy rozpoczęli długotrwałą kaźń trójki sióstr, z których najstarsza (Wiera) miała lat 12, a najmłodsza (Lubow) dziewięć. Dziewczynki podpalano, oblewano wrzącą smołą, kaleczono ostrymi przedmiotami oraz bito pałkami. Kiedy odkryto, że jeszcze żyją, zostały ścięte mieczem. Matkę, św. Zofię, pozostawiono żywą. Cierpiąca z powodu śmierci trzech córek trwała przez trzy dni na ich grobie, a trzeciego dnia umarła z żalu.

Ta historia jest przepełniona bólem, tragizmem i męczeństwem. Z drugiej jednak strony dodaje nam sił – skoro małe dziewczynki tak gorliwie strzegły swej wiary, to czy nasze codzienne troski i problemy naprawdę są tak istotne?

Wybór życiowy świętych męczennic jest natchnieniem i wskazówką dla nas. To młode życie każdej z nich jeszcze się nie rozwinęło, wszystko było przed nimi. Stanęły jednak przed wyborem i wybrały Chrystusa. A śmierć? Dotyczy każdego z nas, nie znamy tylko kolejności odejścia z tego świata.

Wierzymy w życie wieczne i spotkanie Chrystusa. Praca, zdrowie, rodzina, problemy finansowe są tylko chwilowe. W naszym życiu jest coś ważniejszego, dużo bardziej istotnego i wiecznego. Jest nim Bóg. W takich chwilach powinniśmy jeszcze raz przypomnieć sobie los naszych świętych męczennic.

W sosnowieckiej cerkwi, noszącej wezwanie św.św. Wiary, Nadziei, Lubowi i matki ich Zofii, od lat 80. znajdowały się relikwie męczennic. Cząstka relikwii została przywieziona przez dziekana hajnowskiego, śp. o. **Antoniego Dziewiatowskiego**, z Rzymu specjalnie dla sosnowieckiej cerkwi.

Z błogosławieństwa arcybiskupa łódzkiego i poznańskiego **Szymona** powstał zamysł umieszczenia relikwii wielkich świętych w odpowiedniej ikonie. Z zebranych informacji wynika bowiem, że jest to jedyna świątynia (prawosławna i katolicka) na terenie Polski, w której znajduje się relikwie tych świętych. Relikwie tradycyjnie umieszcza się w ikonach. Jaka ikona jednak byłaby odpowiednia?

Odpowiedź przyszła sama, jak natchnienie od Boga.

W 2016 roku z małą grupą odbywałem duchową podróż na Świętą Górę Atos. Opowiadałem mnichom o prawosławiu w Polsce, diasporze, parafii sosnowieckiej, jej życiu i także o relikwiach męczennic. Ojciec **Gabriel** (**Kralczuk**) z monasteru Boazeri, gdy tylko usłyszał tę historię, od razu zapalił się, by ikona do relikwii powstała właśnie na Świętej Górze, miejscu nieustannej modlitwy mnichów.

Ikona napisana z modlitwą, z użyciem tradycyjnych materiałów i zachowaniem historycznych kanonów i norm przez mnicha-ikonografa dotarła wreszcie do sosnowieckiej świątyni. Relikwie męczennic zostały włożone do nowej ikony. Piękną rzeźbioną ręcznie ramę do ikony stworzył artysta z Krakowa, **Grzegorz Dzierzęga**. Całość jest imponująca. Modlitwa przed tą ikoną daje wielką siłę. Tę siłę odczuli także licznie zgromadzeni wierni, którzy zebrali się w sosnowieckiej cerkwi z okazji *Trojcy*, święta Zesłania Ducha Świętego. W czasie Liturgii ikonę uroczyście wniesiono do sosnowieckiej cerkwi.

Dziękuję wszystkim, dzięki którym ta wspaniała ikona znalazła się w sosnowieckiej świątyni.

o. **Mikołaj Dziewiatowski**
fot. **Daria Antosiuk**

O starej cerkiewnosłowiańskiej literaturze

Jan Stradomski uczynił rzecz bezcenną dla kultury prawosławnych w Polsce, choć sam na pewno broniłby się przed tym adresem, twierdząc słusznie, że uczynił ją dla kultury całej Rzeczypospolitej. Jan Stradomski, dr hab. Uniwersytetu Jagiellońskiego, poczynił głębokie studia nad cerkiewnosłowiańską kulturą literacką Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Polskiej do końca XVI wieku. Pochylił się nad cerkiewnosłowiańskimi rękopisami, które dotychczas bardziej niż slawistów interesowały historyków. I tych ostatnich w zasadzie tylko to, co zapisano na ich marginesach, bo te zapiski pozwalały na rekonstrukcję historii kraju. Stradomski pochylił się nad rękopisami z ogromną kompetencją, szerokim spojrzeniem i głęboką refleksją. Efekty badań zawarł w 10 tomie serii krakowsko-wileńskich studiów slawistycznych. O tej pracy jego mistrz i nauczyciel prof. **Aleksander Naumow** napisał: „(…) studia Jana Stradomskiego stawiają paleoslawistykę polską na europejskim poziomie, odpowiadając najwyższym standardom. Rzecz określa jako „ważki wkład w dyskusję nad całościowym dziedzictwem I Rzeczypospolitej, nad miejscem w niej kultury wschodniochrześcijańskiej, nad jej powiązaniami z tradycją piśmienniczą Rusi Kijowskiej, Mołdawii, Wołoszczyzny, Bałkanów i Góry Atos, ale również innych ziem ruskich, jak Nowogród czy Moskwa. Pozycję uznał prof. Naumow za jedną z najważniejszych książek w slawistycznym świecie ostatnich czasów.

Jan Stradomski bierze na swój badawczy warsztat okres, kiedy w państwie polsko-litewskim obszar funkcjonowania kultury prawosławnej był ogromny. I kiedy prawosławny z Rusi koronnej czy litewskiej nie mógł jeszcze przypuszczać, że za jakiś czas kultura cerkiewna nie będzie odbierana jako istotna część kultury najpotężniejszego państwa tej części Europy.

Dla nas jako czytelników omówienia tej książki ważniejsze będą nie wyniki badań nad poszczególnymi tekstami



cerkiewnosłowiańskim, a wnioski, jakie autor na podstawie swych wieloletnich i skrupulatnych studiów poczynił na temat staroruskiej kultury piśmienniczej, czyli naszego dziedzictwa, o którym nie przeczytamy w żadnym podręczniku, nawet akademickim, jeśli nie dotyczy slawistyki. Nie przeczytamy, bo ruska kultura została wrzucona w Polsce w obszar zapomnienia. Oczywiście Stradomski jest świadom tego, że dziś jeszcze za wcześnie na wysuwanie kategorycznych sądów, albowiem studia nad dziedzictwem grecko-słowiańskim są o wiele mniej zaawansowane w porównaniu z badaniami nad tradycją łacińską.



Strona z Oktoichu Szwajpolta Fiola z 1491 roku

Przed tym – można rzec – fałszowaniem nauki poprzez wybiórcze mówienie o kulturowych bytach Jan Stradomski broni się siłą efektów swych badań. Przekonanie o łacińskich korzeniach kultury polskiej – pisze – jest dzisiaj najmocniej utrwalonym składnikiem poczucia narodowej tożsamości Polaków. I takiej stereotypowej wizji naszej przeszłości nie burzy nawet skądinąd powszechna pamięć o Polsce Jagiellonów, jej mocarstwowym znaczeniu w XV-XVI wieku i rozległych granicach, sięgających daleko na wschód. Przypomina, że przecież pod koniec XVI wieku praktycznie połowa terytorium Rzeczypospolitej stanowiła obszar określany mianem Slavia Orthodoxa lub Bizantine Commonwealth. Rzeczpospolita była więc różnorodna etniczno-religijnie i językowo-obyczajowo. A prawosławna kultura ruska stworzyła własny model kultury, której fundamentem było utrzymanie więzi kanonicznej z patriarchatem konstantynopolitańskim, a także sięganie do spuścizny dawnej metropolii kijowskiej oraz prawosławia na Bałkanach. W państwie więc polsko-litewskim prawosławny, grecko-słowiański pierwiastek był stale obecny. Jego marginalizacja w XVII wieku nie była spowodowana słabością tej kultury, jej dysfunkcją, tylko czynnikami natury politycznej, a zwłaszcza konfesyjnej. Wtedy rzymski katolicyzm, a nie prawosławie, miał tworzyć kulturowe oblicze I Rzeczypospolitej. Już od końca XVI wieku w polskiej myśli religijno-politycznej wyraźnie bierze górę opcja łacińska, z czasem starannie eliminując ruskie składniki i spychając je do swoistego dziejowego skansenu osobliwości.

Odrzucone dziedzictwo

Gdyby była prawosławna kultura ułomna, to nie mogłaby się rozwijać w państwie moskiewskim. A tam przecież stanowiła trzon bogatej późnośredniowiecznej tradycji oraz zrąb kultury nowożytnej, którą tak zachwycała się Europa w XIX czy XX wieku – to też myśl autora książki.

Na takiej wizji kultury, Rzeczpospolita, zdaniem Stradomskiego, tylko straciła. Odrzucona przez luminarzy polskiej kultury narodowej dawna tradycja ruska została skwapliwie zagospodarowana przez Moskwę, która śmiało sięgnęła nie tylko do spuścizny Bizancjum, Rusi Kijowskiej, Wielkiego Nowogrodu czy Rusi Halicko-Wołyńskiej, ale też prawosławia litewskiego, nazywając je zachodnioruskim, uznając je za swe dziedzictwo.

Ale ponieważ to dziedzictwo, zdaniem Stradomskiego wielkie, zostało porzucone przez Rzeczypospolitą jak niechciane dziecko, sięgnęła po nie Moskwa i uznała za własne. Rosja zbudowała swoją własną wizję historii i taką przekazała światu. Rzeczpospolita, wypychając dorobek intelektualny i duchowy Cerkwi ruskiej, znacznie w tym procesie Rosji pomogła. Założyła niesłusznie, że prawosławia, zbudowanego na fundamencie bizantyńsko-słowiańskiego średniowiecza, nie da się pogodzić z myślą zachodnią. Jakże niesłusznie! Kultura Rzeczypospolitej pokazywała wszakże, że było to na swój sposób możliwe, na co wskazują krakowskie cerkiewnosłowiańskie druki Szwajpolta Fiola, wydawnicza działalność Franciszka Skoryny, środowisko Akademii Ostrogskiej, potem Kijowskiej, ruch wydawniczy.

Na historię nie należy się obrażać. Ją trzeba badać. Tak stwierdza Stradomski. I bada cerkiewnosłowiańską kulturę piśmienniczą państwa polskiego, potem polsko-litewskiego do końca XVI wieku. Bo przecież daleko nie wszyscy obywatele – stwierdza – narodu politycznego I Rzeczypospolitej używali łaciny i polskiego. Niemałą część tego państwa stanowiła ludność ruskojęzyczna, jednoznacznie identyfikującą się z prawosławiem i pielęgnująca własną wielowiekową, cyrylicką kulturę słowa. I o ile wiemy jeszcze o politycznych dziejach narodu ruskiego w ramach Rzeczypospolitej, to jego literatura, zwłaszcza cerkiewna, wychodzi poza obszar badań niemal wszystkich historyków czy filologów.

Zwolennicy monolitycznej wizji kultury polskiej, jako łacińskiej, nie mogą dopuścić do siebie myśli, że pewne obszary wczesnośredniowiecznej Polski mogły być schrystianizowane w innym, niż łaciński obrządku – pisze badacz. Pisze o zasięgu misji cyrylometodyjskiej, o wyprawach wojennych Bolesława Chrobrego, Bolesława Śmiałego czy Kazimierza Sprawiedliwego w wyniku których ludność ruska z ziem ruskich, przyłączonych do Korony, stawała się poddanymi królów polskich, pisze o przesunięciu się granicy Polski i Litwy w XIV wieku na wschód i południe, czyli na ziemie stanowiące część terytorium dawnej Rusi Kijowskiej, co oznaczało włączenie kultury ruskiej w obszar Polski.

Rękopisy

W Polsce zachowało się nieco ponad tysiąc rękopisów cyrylickich, odwołujących się do średniowiecznej tradycji liturgiczno-obrzędowej i literackiej Cerkwi. To pokaźna kolekcja, jak na kraj o burzliwych dziejach, choć też do końca nie zinwentaryzowana a tym bardziej nie zbadana. Ale – zastrzega badacz – jest to jedynie ułamek procenta księgozbiorów, jakie posiadały prawosławne i unickie biblioteki monasterskie, biskupie, czy parafie. Dziś większość z nich, jeśli ocalały z zawieruchy dziejów, znajdują się w bibliotekach Litwy, Ukrainy, Białoru-



Strona z Ewangelii z drukarni Makarija z Tyrgowiszte (Bułgaria) z 1512 roku

si, Rosji ale także Słowacji, Węgier, Rumunii a nawet Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Krakowski slawista stwierdza, że literatura cerkiewnosłowiańska stanowiła do końca XVI wieku, czyli badanego przez niego okresu, kompletny i w pełni działający, zbudowany na stabilnych fundamentach, system. A jego fundamenty, to tradycja późnoantyczna i wczesnośredniowieczna grecko-chrześcijańska. I te rękopisy, które się zachowały, świadczą o wysokiej kulturze literackiej dawnych kopistów, redaktorów, pisarzy i czytelników.

Cerkiewnosłowiańskie rękopisy świadczą, zdaniem badacza, o wysokiej miejscowej kulturze literackiej, nie wykazującej oznak kryzysu, nie ustępując w niczym innym prawosławnym słowiańskim kulturom, włącznie z moskiewską. Najstarsze rękopisy, znajdujące się w Polsce, pochodzą z XI wieku. Jest to między innymi słynny Kodeks Supraski, który przywieziony został do nas z Bułgarii. W ogóle ruska literatura państwa polsko-litewskiego wskazuje na wyraźne związki z Bałkanami, z Bułgarią, Serbią, ze Świętą Górą Atos.

Jan Stradomski analizę trudnych tekstów cerkiewnosłowiańskich odziewa w przystępny język, starając się wyłowić z tych rękopisów najbardziej ważkie problemy, o czym świadczą już choćby same tytuły rozdziałów, jak: „Między pszenicą czasem i kąkol dobrze się miewa” – indeksy ksiąg „prawdziwych” i „kłamliwych”, albo: „Do was to słowo, o podstępni rzymianie!” – grecko-słowiańska polemika z Kościołem łacińskim.

Polemika

Autor szczególnie zdaje się dobrze czuć w kwestii religijnej polemiki grecko-łacińskiej, z jej wielowiekową historią, zamkniętą w listach, pouczeniach, dziełach historiozoficznych i historycznych, traktatach i pamfletach. Po tym, jak Rzym i Konstantynopol skłóciły się ze sobą – na dobre w połowie XI wieku – sformułowano listę wzajemnych zarzutów i oskarżeń, w wiekach późniejszych tylko ją zwiększając zamiast zmniejszać, zwłaszcza w drugiej połowie XVI wieku i w XVII, gdy Kościół zachodni parł do unii religijnej z prawosławnym, proponując unie – brzeską (1596) w granicach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, mukaczewską (1642) i użhorodzką (1646) dla Rusi Zakarpackiej i wschodniej części Królestwa Węgier. Piśmiennictwo prawosławnych Rusinów rozwijało się więc w atmosferze narastającego konfliktu chrześcijaństwa wschodniego z zachodnim. Już od połowy XI wieku przekładano na słowiański greckie pisma, skierowane przeciw łacinnikom. Tak było też w okresie sporów hezychastycznych w XIV wieku, kiedy pisma Grzegorza Palamasa i Nila Kabasilasa niemal natychmiast były przekładane na słowiański ale dopiero unia florencka (1439) i brzeska zmusi ruskich pisarzy do wypowiedzi własnym głosem we własnej sprawie, coraz śmielszych.

Jan Stradomski jest autorem książki, dotyczącej myśli polemicznej grecko-łacińskiej „Spory o *wiarę grecką* Rzeczypospolitej”, Kraków 2003.

Język

Autor snuje ciekawe rozważania na temat języka cerkiewnosłowiańskiego i ruskiego. Nasi przodkowie byli więc dwujęzyczni? Chyba tak powiedzieć się nie da. Cerkiewnosłowiański był ściśle związany z prawosławną liturgią i obrzędem. Manifestował przynależność do prawosławia i Słowiańszczyzny, był znakiem przynależności tekstu do najwyższego rejestru bizantyńsko-słowiańskiego systemu literackiego. Natomiast cała sfera świecka – kancelaryjna, prawna posługiwała się językiem ruskim, zwanym dziś staroruskim. Ruski był oficjalnym językiem kancelarii wielkoksiążęcej, elit i literatury świeckiej, porozumienia się obywateli Wielkiego Księstwa Litewskiego i częściowo Korony Polskiej. Obecność obu wariantów języka stanowiła charakterystyczną cechę prawosławia polsko-litewskiego Te oba warianty językowe były zrozumiałe na dużym obszarze Słowiańszczyzny.

Aż język ruski został wyparty, na rzecz polskiego, z oficjalnego użytku w Rzeczypospolitej, ale to już wiek XVII. Cerkiewnosłowiański schronił się w Cerkwi. I stamtąd nikt go dotychczas wyprowadzić nie zdołał, chyba że w pewnych kręgach, na żądanie samych prawosławnych.

Typikony

Jan Stradomski rozjaśnia sprawę typikonów. Typikon to z grecka wzór, znany też w cerkiewnosłowiańskim jako *ustaw*. Dlaczego pojawił się typikon? By porządkować ogromną różnorodność ksiąg liturgicznych, ogarniających wielkie bogactwo tradycji piśmienniczej chrześcijaństwa wschodniego. Po kilkunastu wiekach Cerkiew grecka zaczęła dążyć do uporządkowania narastającego wciąż materiału liturgicznego, prawnego i literackiego. I tak powstawał typ ikon. Typikon to w zasadzie księga o księgach, albo księga odnosząca się do innych ksiąg. W każdym razie typ ikony, z których korzystała i Cerkiew ruska, świadczą o wielkim bogactwie twórczym naszych przodków. W polskim zbiorach rękopisów cerkiewnosłowiańskich zachowało się prawie 30 typikonów – donosi Stradomski – głównie z XVI i XVII wieków jako kopie ruskiej redakcji typikonu jerozolimskiego.

Choždienije

Krakowski slawista przybliża i literaturę pielgrzymkową, już bowiem od XI wieku ruscy pielgrzymi udawali się do Palestyny i na Synaj. Nieliczni, głównie wykształceni mnisi, zostawiali po sobie relacje, tworząc specyficzny gatunek literacki *хождение*. Najstarszym zachowanym dziełem tego typu jest *Хождение Данила игумена Русской земли* – wzór dla późniejszej ruskiej literatury pątniczej. Gdyby w nauczaniu o kulturze dawnej Rzeczypospolitej była jakakolwiek równowagą między prezentacją kultury wschodniej i zachodniej – to moja uwaga – praca mnicha Daniela stanowiłaby obowiązkowy punkt treści podręcznika. Powstała ona na początku wieku XII. Jej autor udał się przez Cargrod (Konstantynopol), Efez, Patmos, Cypr do Jerozolimy. W ciągu około półtora roku odwiedził wszystkie najważniejsze miejsca Ziemi Świętej, nad którymi mieli wtedy kontrolę krzyżowcy, nierzadko korzystając z ich ochrony. Pozostawiony przez „ihumena ziemi ruskiej" opis jest barwny, ciekawy, zawiera mnóstwo szczegółów historycznych, odwołań biblijnych. Należał do najchętniej kopiowanych utworów tego typu w literaturze staroruskiej przez całe średniowiecze. Prowadził w świat odległy, znany tylko z Biblii i greckich przekładów. Jeszcze w XVI wieku cieszył się niesłabnąca popularnością, a jego autor niesłabnącym prestiżem. Przez pięć wieków! Dziś sława książki po jej wydaniu (dobrej) trwa zwykle od kilku miesięcy do kilku lat.

Zmarnowana szansa

Stradomski boleje nad zmarnowaną szansą stworzenia warunków rozwoju wielobarwnej kultury, opartej na potencjale różnych nacji i religii, bez wyraźnego faworyzowania którejś z nich, bez ograniczeń i utrudnień, prowadzących do dominacji jednej kultury i dyskryminacji drugiej. Boleje nad tym, że w zorientowanym wyraźnie na zachód państwie polsko-litewskim dla „schizmatyków" można było wydzielić jedynie pozycję podrzędną, prowincjonalną ale nigdy partnerską, równorzędną. Że od „schizmatyków" oczekiwano jedynie konwersji do Kościoła łacińskiego, poprzez unicki.

Mieliśmy szansę na dowartościowania ruskiej kultury dobry czas i dogodne okoliczności – stwierdza badacz. Był to czas Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zwłaszcza wiek XVI, czasy jagiellońskie. Wtedy było widać wyraźnie, że kultura ruska rozwijała się w ramach swojego chrześcijańskiego modelu grecko-słowiańskiego, który pojawił się w dziesiątym i jedenastym wieku i który był bazą dla kultur serbskiej, bułgarskiej czy czeskiej, zanim z ostatniej nie wyprze jej *latinitas*. Z tej szansy jednak nie skorzystano. W kontrreformacyjnym zacietrzewieniu obrano drogę konfrontacji i eliminacji a wreszcie unifikacji w oparciu o jedynie słuszny, jak niektórzy sądzili, model łaciński.

Dążenie do stworzenia kultury jednolitej niekoniecznie musi być oznaką jej siły. Niekiedy może być przejawem niepewności, choć ukrytej i poczucia zagrożenia. A wobec zagrożenia wystawia się mur nietolerancji, poza który wypycha się „obcych" i „odmiennych". Ten mur ma zapewnić poczucie bezpieczeństwa i komfortu – i jak się niektórym zdawało – pomyślnego rozwoju. Natomiast prawdziwie silna kultura nie boi się obecności odmiennego i nowego. Bo ona potrafi te składniki twórczo wkomponować we własny model, przez co staje się on bogatszy i bardziej uniwersalny. Zamiast nietolerancji i unifikacji włącza się wtedy akceptacja i asymilacja.

Ekskluzywizm wyznaniowy drugiej połowy XVI i XVII wieku zaprzepaścił szansę budowy więcej niż tylko obojga, a w dodatku katolickich wyłącznie, narodów – stwierdza Stradomski. I wylicza następstwa tegoż ekskluzywizmu, jakie fatalnie zaciążyły na losach Rzeczypospolitej, jak choćby następstwa powstania Chmielnickiego, przejście Zadnieprza pod Moskwę, protektorat Moskwy nad Cerkwia prawosławną w Rzeczypospolitej. Bardzo mało badaczy widzi związek między traceniem sił przez Rzeczypospolitą a polityką wyznaniowo-kulturalną państwa, stawiającego wszystko na jedną kartę, czyli łaciński model kultury a tym samym wypychania tradycji ruskiej poza granicę własnego kręgu cywilizacyjnego.

Jednak szansa

Ta książka, zdaniem Stradomskiego, ma przede wszystkim zwrócić uwagę środowiska naukowego na ciekawe i szerokie pole badawcze. Ma zachęcić specjalistów różnych dziedzin do badań nad zbiorami rękopisów cerkiewnosłowiańskich w Polsce. Bo tylko takie, zakrojone na szeroką skalę studia, pozwolą opisać cerkiewnosłowiański komponent kultury piśmienniczej dawnej Rzeczypospolitej.

Badanie tej kultury jest w Polsce nowym zjawiskiem, zapoczątkowanym przez prof. Aleksandra Naumowa, kontynuowanym przez jego uczniów. Cerkiewny charakter, odmienny alfabet, inny system literacki, powodowały, że przez lata patrzono na to zjawisko jako na obce polskiej kulturze narodowej i oczywistą składową tradycji „wielkoruskiej". A wciąż do zbadania pozostaje ogromna liczba rękopisów z dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Polskiej, pozostających w bibliotekach i muzeach różnych krajów. To szansa dla kultury Rzeczypospolitej.

Anna Radziukiewicz
Zdjęcia starodruków ze zbiorów
Alesia Suszy

Jan Stradomski, *Rękopisy i teksty. Studia nad cerkiewnosłowiańską kulturą literacką Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Polskiej do końca XVI w.*, Kraków 2014.

PRZEPRASZAM O. STANISŁAWA STRACHA, proboszcza parafii w Kędzierzynie Koźlu, autora publikacji „Perła w koronie słowiańskiej kultury", zamieszonego w poprzednim numerze, za błędne przełożenie słowa Jedinorodnyj (Jednorodzony) jako Jednorodny.

Dorota Wyysocka

W Piaskach pod Bolesławcem

Piaski są niewielką wsią graniczącą z Bolesławcem – do 1870 roku miastem, a obecnie wsią położoną nad Prosną w powiecie wieruszowskim w województwie łódzkim. Do 1914 roku tereny te leżały nad granicą między Rosją a Niemcami. Tereny patrolowała Wieluńska Brygada Straży Granicznej oraz, według niektórych publikacji, prawdopodobnie 5 Doński Pułk Kozaków.



Mieszkańcy Bolesławca nazywają wieś Starymi Piaskami. Znajduje się tu cmentarz rzymskokatolicki z nielicznymi zabytkowymi pomnikami nagrobnymi, zgromadzonymi wokół drewnianej kaplicy św. Małgorzaty z XVIII wieku. W pobliżu kaplicy znajduje się kilka zadbanych grobów prawosławnych.

W 1866 roku generał lejtnant **Nikołaj Aleksandrowicz Krasnokutski** otrzymał od cara liczne dobra w Bolesławcu i okolicach, w tym Chróścin (dawniej Chruścin), które podarował córce **Tatianie**. W 1890 roku Tatiana Krasnokutska wyszła za mąż za księcia **Iwana Nikołajewicza Łopuchina**. Książę wzniósł w Chróścinie eklektyczny pałac. Obok pałacu małżonkowie wybudowali pod koniec dziewiętnastego wieku, istniejącą do dziś, cerkiewkę św. Jerzego Zwycięzcy. Wokół cerkwi założono niewielki cmentarz na potrzeby niedużej wspólnoty prawosławnej – służby pałacowej i żołnierzy z okolicznych jednostek.

Według niektórych źródeł rezydentami pałacu w Chróścinie byli m.in. generał major **Włodzimierz Poznański**, jego żona **Elżbieta Poznańska** i jej siostra **Lidia Popowa**. Być może gen. Poznański z bliskimi byli stałymi rezydentami w majątku Łopuchinów, ale bardziej prawdopodobna wydaje się możliwość, że generał z bliskimi schronił się w pałacu księcia Łopuchina w obliczu wkroczenia Niemców w 1914 roku.

Po zajęciu Chróścina przez Niemców w 1914 roku, mieszkańcy pałacu przenieśli się do Bolesławca, a po 1918 roku generała majora Poznańskiego z rodziną i być może inne osoby przygarnęła niemiecko-rosyjska rodzina **Krause** z pobliskiego majątku w Mieleszynie.

Prawdopodobnie pierwszą osobą spośród mieleszyńskich rezydentów, która zmarła, był generał major Włodzimierz Poznański. Jego pogrzeb w 1930 roku odbył się na cmentarzu rzymskokatolickim w Piaskach. Ceremonię sprawował przybyły z wieluńskiej cerkwi duchowny.



Do dziś na cmentarzu w Piaskach zachowała się grupa prawosławnych grobów. Najokazalszy jest zwieńczony krzyżem betonowym wielostopniowy pomnik z cementu, pod którym spoczywa generał major Włodzimierz Poznański wraz z żoną Elżbietą i szwagierką Lidią Popową. Oryginalne epitafium w języku rosyjskim zostało niestety zasłonięte w ostatnich latach współczesną płytą z tzw. szwedzkiego szkła z nazwiskami zmarłych i stopniem wojskowym Poznańskiego, podanymi w języku polskim. Pod nową tabliczką widoczne są fragmenty pierwotnego napisu, zawierającego daty urodzin i śmierci generała oraz jego *otczestwo* i formułę modlitewną. Pomnik otaczają betonowe słupki, połączone kutym łańcuchem.



Obok pomnika nagrobnego generała zachowały się na cmentarzu w Piaskach dwa bezimienne groby, otoczone pięknymi, kutymi ogrodzeniami, wykonanymi przez ślusarza z Bolesławca, **Piotra Webera**, co zaświadczają umieszczone na prętach ogrodzeń metalowe tabliczki firmowe. Do ozdobnych krat obu grobów przymocowano piękne, kute metalowe krzyże. Niestety, na żadnym nie zachowało się epitafium. Oba miejsca pochówków są niemal identyczne.

Zespół trzech miejsc pochówków prawosławnym na rzymskokatolickim starym cmentarzu w Piaskach pod Bolesławcem jest interesującym świadectwem skomplikowanej historii regionalnej i, obok cerkiewki w pobliskim Chróścinie – będącej obecnie pod opieką diecezji łódzko-poznańskiej (filia parafii w Częstochowie), ostatnim śladem pobytu prawosławnych w niegdyś nadgranicznej miejscowości.

Mirosław Pisarkiewicz, fot. **autor**

Czy Europa potrzebuje chrześcijaństwa?

To pytanie nie powinno pozostać retoryczne, lecz stać się zasadnicze, a stanie się takim jedynie wówczas, jeśli będzie samodzielnie zadawane przez osoby, które troszczą się o Europę. A powinniśmy troszczyć się o Europę z przynajmniej dwóch powodów: a) my (naród serbski) jesteśmy częścią Europy bez względu na to, czy nam się to podoba, czy też nie oraz b) jesteśmy chrześcijanami – a będąc nimi powinniśmy troszczyć się o całe stworzenie. Czyż nie powinniśmy, zatem, troszczyć się o swój własny dom?

Aby lepiej zrozumieć, dlaczego Europa potrzebuje chrześcijaństwa, spróbujmy, tylko przez chwilę, wyobrazić sobie Europę bez chrześcijaństwa. Usuńmy z Europy wszystko, co chrześcijańskie i przyjrzyjmy się pozostałościom literatury i poezji, malarstwa i architektury, filozofii i muzyki oraz całości europejskiej kultury i cywilizacji w ogóle. Cóż zobaczymy? Albo a) bezwzględne barbarzyństwo, albo b) zarozumiałe samolubstwo, albo może żałosną ich mieszankę.

Spróbujmy jeszcze spojrzeć na to z perspektywy historii. Czyż dzisiejsze narody europejskie nie są schrystianizowanymi później hordami, które wdarły się i podbiły regiony, które dzisiaj nazywamy Europą, niszcząc przy tym Zachodnie Cesarstwo Rzymskie, plądrując i rujnując wszystko, co napotkały? Wiele wieków później ich potomkowie – współcześni europejscy historycy (piszący, w istocie rzeczy, o swych przodkach) – eufemistycznie określili to wydarzenie mianem „wielkiej migracji ludów", przedstawiając je raczej jako swego rodzaju naukową wyprawę, a nie to, czym w rzeczywistości było – jako wydarzenie obfitujące w niespotykane dotychczas bestialstwa, które miały utopić cesarstwo rzymskiego świata w jego własnej krwi. Zniszczenia przybrały tak wielkie rozmiary i były aż tak gruntowne, że od V do IX wieku niemożliwe było odtworzenie miasta jako instytucji.

Cóż stałoby się z tymi hordami barbarzyńców, gdyby nie zostały stopniowo schrystianizowane? Zaiste, to dopiero wówczas zaistniała schrystianizowana Europa i wyłoniło się coś w rodzaju poważnego „państwa". Wydaje się zatem, że chrześcijaństwo jest Europie nie tylko potrzebne, ale wręcz niezbędne, aby również w naszych oczach Europa dalej mogła być tym, co w ciągu wieków najlepsi jej przedstawiciele usiłowali z niej uczynić.

Jadnak trzeba tu być bardzo ostrożnym. Przyjęcie chrześcijaństwa w postaci chrześcijańskich instytucji było krokiem ważnym, ale zdecydowanie niewystarczającym do osiągnięcia stanu, który moglibyśmy opisać używając słów [zaczerpniętych z ewangelicznego opisu Przemienienia Pańskiego]: „dobrze nam tu być" (Mt 17,4; Mk 9,5; Łk 9,33). Musimy sobie uświadomić, że przyjęcie chrześcijaństwa rzeczywiście uczyniło europejskie społeczeństwo bardziej ludzkim, ale w żadnym wypadku nie uczyniło go doskonałym. A to dlatego. że przez całą historię ludzkości będzie w niej miejsce dla „księcia tego świata" (J 12,31; J 14.30; J 16,11), który zanurzając swe pióro w atramencie ludzkich słabości, zapisuje historię jako opis ludzkich przestępstw i zawstydzających czynów.

Trzeba to nagłośnić i uzmysłowić nawet tym, którzy nie chcą słyszeć, że Europa nie jest wyznacznikiem chrześcijaństwa, tj. Kościoła (co oznacza to samo, ponieważ – nie zapominajmy o tym – chrześcijaństwo istnieje tylko jako Kościół). Jest na odwrót – to Kościół jest wyznacznikiem Europy. Jedynym sposobem na to, aby tak zwane „europejskie wartości" mogły przetrwać w historii i kontynuować swe istnienie w wieczności (bowiem w ostatecznym rozrachunku to wieczność jest jedynym kryterium wszystkich wartości), jest ich zgodność z wymogami Kościoła. Z drugiej strony, Europa potrzebuje chrześcijaństwa nie po to, aby mogła wiedzieć jak żyć, ale po to, aby mogła się dowiadywać dlaczego powinna żyć.

Kościołowi nie wolno przypochlebiać się temu światu, tj. Europie i Ameryce, jako symbolom światowej władzy i to nie tylko przez wzgląd na zachowanie swej własnej godności, ale również dla zachowania godności całego świata. To Europa powinna samodzielnie decydować, czy (albo w jakim stopniu) będzie słuchać nie tylko tego, kto ją wychwala, lecz również tego, kto, kiedy to konieczne, kieruje ku niej ostrzeżenia i krytyczne uwagi. Jeśli Europa zbierze siły aby tę powodowaną nie nienawiścią, lecz wprost przeciwnie, miłością i troską, krytykę (którą Kościół zmuszany jest od czasu do czasu wypowiadać) przyjąć, wówczas znajdzie siłę, aby ze swej strony objąć chrześcijański Kościół dokładnie tak, jak Kościół objął niegdyś Europę jak swój własny ziemski dom. W każdym razie, aby ją uratować, tj. zachować ją na wieczność, Kościół musi nieustannie Europę przekształcać i przemieniać, czyniąc ją w ten sposób coraz to bardziej ludzką. To najpoważniejszy obowiązek Kościoła w jego relacjach ze społeczeństwem.

Mówi się, że Europa powinna być zjednoczona. Ta powinność oznacza, między innymi, że nie powinna akceptować chrześcijaństwa, odrzucając jednocześnie prawosławie. Gdyby kiedykolwiek do tego doszło, byłoby to wyrazem najgłębszej hipokryzji. Czymże są Bałkany, jeśli nie częścią Europy? I w ogóle dlaczego miałyby być odrzucone? Jeśli przedmiotem dyskusji jest tu domniemane zagrożenie dla stabilności Europy, wówczas wszystkim trzeba przypomnieć, że inkwizycja, totalitaryzm, faszyzm, komunizm, nazizm, komory gazowe, bomby atomowe, broń chemiczna i terroryzm nie były wynalazkami prawosławnych Bałkanów, lecz tak zwanej Europy Zachodniej. Jeśli cokolwiek z tej listy było kiedykolwiek na Bałkany sprowadzone czy też im narzucone, to nawet najbardziej fantastyczne halucynacje nie mogłyby spowodować, aby ktokolwiek mógł sugerować, że odpowiedzialność za

Od lewej stoją Anna Kołosow-Ostapczuk, Elżbieta Czech, o. Jarosław Jożwik, Grzegorz Siergiejew, Katarzyna Siergiej

to leżałaby po stronie prawosławnego chrześcijaństwa.

Z drugiej strony, prawosławie również nie może narzucać Europie swych własnych warunków, które miałyby pozwolić mu stać się częścią Europy, podczas gdy warunki te nie są spełnione nawet w krajach, które przez wieki są jego naturalnym środowiskiem. Skoro w dążeniach, aby kraje te stawały się z czasem nieco bardziej ludzkie, sukcesy prawosławia były ograniczone, dlaczego w przypadku Europy miałoby być inaczej? To zawsze obecne w relacjach pomiędzy państwem a Kościołem napięcie, może w swym natężeniu być większe lub mniejsze, ale dopóki trwa ludzka historia, nigdy nie wygaśnie. W związku z powyższym, Kościół musi uczynić wszystko co w jego mocy, aby to napięcie złagodzić, oczywiście o ile czyniąc to nie będzie zmuszony do kwestionowania swej wiary w zmartwychwstałego Pana, albowiem ta właśnie wiara uosabia prawdziwe istnienie Kościoła.

Chrześcijańskie kryteria są oczywiście zbyt wysokie dla któregokolwiek państwa i tym samym dla Europy. Gdyby jednak Europa wszczepiła w swe fundamenty nawet tylko dążenie do spełnienia tych kryteriów, albo przynajmniej nie podejmowała żadnych kroków, aby ubezwłasnowolnić tych, którzy z własnej woli chcieliby uczynić je swymi wytycznymi, wówczas dla Europie byłaby jeszcze jakaś nadzieja. Ponieważ, jeśli zachowa w sobie nawet tylko tyle chrześcijaństwa, ile soli znajdzie się w codziennym posiłku, nigdy nie stanie się zupełnie mdła albo nie utraci całkowicie swego ludzkiego oblicza.

o**. Vladan Perišić**, 2003
tlum. **o. Włodzimierz Misijuk**

Powyższy tekst jest jednym z kilkunastu opracowań zebranych w książce o. Vladana Perišicia *Theological disambiguations: a non-orthodox handbook of Orthodox theology* (Teologiczne uniedwuznacznienia. Niekonwencjonalny podręcznik teologii prawoslawnej), opublikowanej w 2012 roku w Alhambra, CA, USA.

ZaTopieni w historii

Jest historia. Trudna, bolesna, o której dzisiejsze starsze pokolenie z przykazania rodziców miało „nikomu nie mówić". Są ludzie. Zaangażowani historycy i artyści, którzy chcą zachować przeszłość, ale w jej żywym wymiarze. Świadkowie, których już niedługo zabraknie. Młodzież, która – trochę nakłoniona – pokaże jak jest wrażliwa i pracowita. Są różne pokolenia, które – jeśli przegapić odpowiedni moment – rozminą się i wszyscy na tym stracą. Wszystkich połączyło miejsce – parafia w Topilcu.

O. **Jarosław Jóźwik**, proboszcz topileckiej parafii i kanclerz Akademii Supraskiej, ma wykształcenie teologiczne i historyczne. – Już przed kilku laty myślałem o tym, jak zachować historię parafii, ale historię żywą. Są już dobre prace, magisterska i licencjacka, powstają różne opracowania. Monografia parafii też pewnie przyjdzie z czasem. Ale szukałem czegoś innego – mówi batiuszka.

Wtedy pojawili się **Anna Kołosow-Ostapczuk** i jej mąż **Tomasz**, Ostapczukom urodził się synek i na nim trzeba było się skupić.

– To *promysł Boży* – mówi o. Jarosław i jeszcze kilka razy w swojej opowieści używa tego stwierdzenia i zaraz podaje przykłady, że sprawy układają się nieraz dla nas zaskakująco, ale tak jak powinny. – Mieliśmy już wtedy w parafii młodzież, która zaczynała się aktywizować, ale była to młodzież młodsza. Kiedy Ania zajmowała się synkiem, podrośli i to było dobre.

Jaki wiek jest dobry, by opowiadać



historycy. Anna uczy historii w VII liceum ogólnokształcącym w Białymstoku i wykłada ruch sceniczny w białostockim Wydziale Sztuki Lalkarskiej Akademii Teatralnej. Może więc teatr? Ale sprawa musiała trochę poczekać, bo choć nowa parafianka podeszła do sprawy z entuzjazmem, bo sama tutejszą historię nosiła w sercu, przyjeżdżała w dzieciństwie, a teraz zamieszkała w domu po dziadkach,

dzieciom i młodzieży o trudnej historii swojej rodziny? Pewnie dobrze jest coś wspominać od najmłodszych lat, kwestia formy odgrywa dużą rolę – zastanawiam się, chodząc po cmentarzu w Toplicu, który dla moich synów jest cmentarzem rodzinnym, bo stąd pochodziła ich babcia. – Chyba faktycznie topilecka młodzież musiała wydorośleć. Z jednej strony tematyka, ciężka, bieżeństwo, trudny czas wo-



jenny i okołowojenny, wysiedlenia, nachodzenie band i to ciągłe „won”, choć jesteś na swojej ziemi. Z drugiej głośne mówienie o tej historii już nie tylko w rodzinnych ścianach, ale początkowo między sobą, bo to historia moja i mojej babci, ale też mojego kolegi i jego dziadka, to nasza historia, naszej parafii. No i wreszcie powiedzenie o tym wszystkim ze sceny.

Powstał pomysł interdyscyplinarnego projektu dla młodzieży – „ZaTopieni w historii”. Obok teatralnych zaplanowano działania muzyczne i plastyczne, wywiady z najstarszymi mieszkańcami. W odpowiednim momencie wokół projektu pojawili się kolejni ludzie, fachowcy w swoich dziedzinach, niektórzy rodzinnie związani z parafią. **Katarzyna Siergiej**, aktorka, **Aleksandra Czarniawska**, malarka, **Julita Charytoniuk**, która sama pieśni znad Narwi, przebiegającej przez ziemię hajnowską i bielską, zbiera, wykonuje i uczy tego innych. Projekt nie uzyskał dofinansowania z ministerstwa kultury i dziedzictwa narodowego, ale później wsparł go podlaski urząd marszałkowski. O. Jarosław jeździł do swoich młodych parafian: – Chodź zobacz – zachęcał. – Pójdź, jak się nie spodoba, nie ma przymusu – mówili rodzice.

Kto przyszedł, już został. W czasie dziesięciu dni w Akademii Supraskiej trzeba było stworzyć wszystko. Scenariusz, scenografię, uczyli się śpiewać, grać, przygotowywali plakaty. I tak, w 2015 roku, na scenie zagościł spektakl „Czas wspomnieć Topilec”.

– Ten spektakl nie zamknął się w momencie premiery – opowiada Anna Kołosow-Ostapczuk. – Zaczął mieć swoje życie, bo było na niego zapotrzebowanie. Młodzież chciała go grać. Towarzyszył innym wydarzeniom, na przykład konferencji. Zaczęliśmy go pokazywać na przeglądach teatralnych. Z sukcesem! Grand Prix na Konfrontacjach Teatrów Młodzieżowych w Łomży i drugie miejsce na spotkaniach teatralnych „Zwierciadła” w Białymstoku. To spektakl, który uderza w serca, głęboko wzrusza.



Przyszedł kolejny rok i nowy spektakl „I dzwonów nie ma”. Kolejne dziesięć pracowitych dni w Akademii Supraskiej i kolejne osoby zaangażowane w projekt. **Eliza Proszczuk**, malarka, i **Marta Filomoniuk**, dyrygentka chóru cerkiewnego. Znów wsparcie urzędu marszałkowskiego. I znów nagrody. Tym razem pierwsze miejsce na podlaskich Zwierciadłach. Jak podało jury, była to nagroda za „Niebanalną dojrzałość całego zespołu, wyjątkową atmosferę teatralnego zdarzenia, podkreśloną precyzyjnie wykonanymi partiami wokalnymi oraz świadomość w doborze i przełożeniu na scenę tematu stojącego na straży kultury i historii regionu”. – Ta młodzież nie chodzi przecież regularnie na jakieś warsztaty teatralne – mówi Katarzyna Siergiej. – Jest przede wszystkim autentyczna. Wierzy w to, co robi. Sprawia im to przyjemność, ale podchodzą też do spektakli odpowiedzialnie, bo wiedzą, że na widowni zasiądą ci, którzy w tych wydarzeniach uczestniczyli.

– Opowieść o nieskutecznym poszukiwaniu cerkiewnych dzwonów, które zaginęły w 1915, kończą słowa „widać, komuś innemu służą”. Właśnie takie jest nasze podejście do historii – mówi o. Jarosław. – Godzimy się z historią i o niej pamiętamy, ale nie chcemy, by się powtórzyła.

Topileccy aktorzy w to co robią wkładają całych siebie. Chcieli, by powstał kolejny spektakl, ale już z lżejszą tematyką. Zmęczenie emocjonalne dało o sobie znać, ale chęć działania znów pchała do przodu i na wakacjach 2017 roku znów pracowali.

– Zaraz, zaraz, przecież mimo tych wszystkich trudnych doświadczeń płynęło tu też normalne życie, rodziły się dzieci, ludzie pewnie z czegoś się śmiali. Bardzo chcieliśmy pokazać coś humorystycznego – mówi **Ela Czech**. I tym razem aktorzy sami wyruszyli w teren ze swoimi smartfonami i rozmawiali z najstarszymi mieszkańcami. Powstał spektakl „Kto mi to powiedział?”. Rzecz humorystyczna, ale znów autentyczna. Inicjatywę znów wsparł urząd marszałkowski, dołożyła się też gmina Turośń Kościelna. – Dzięki temu, że sami poszliśmy zbierać materiały, poznaliśmy ludzi,

Podczas otwarcia wystawy Leona Tarasewicza
Niżej Leon Tarasewicz w rozmowie z Moniką Szewczyk, dyrektor galerii Arsenał, współorganizatora wystawy

których znaliśmy tylko z cerkwi. Czekali na nas i ciepło przyjmowali. W ogóle dzięki projektowi bardzo zżyliśmy się ze sobą – opowiada **Dominika Błahuszewska**.

– **Marta Wyszyńska**, Dominika Błahuszewska, **Grzegorz Siergiejew**, Elżbieta Czech, **Weronika Szatyłowicz** i **Szymon Szatyłowicz** – jednym tchem batiuszka wymienia topileckich aktorów i zaraz dodaje – są genialni. To nasze perły, po które trzeba było zanurkować, ale było warto i wiem, że to jeszcze nie koniec.

Są plany, by spożytkować nieużywaną stodołę parafialną. Z jednej strony ma powstać izba pamięci, a z drugiej prawdziwy teatr – ze sceną, widownią, oświetleniem i całym zapleczem.

Wierną widownię topileccy aktorzy mają zapewnioną. Kiedy 6 sierpnia na ławkach przed świetlicą wiejską w Topilcu grali „Kto mi to powiedział?" wszystkie miejsca były zajęte. Panie **Krystyna Mularczyk** i **Helena Płachcińska** po skończonym spektaklu zgodnie twierdzą: „Podobało się bardzo".

– Dobrze, że ta młodzież do nas przyszła, dobrze, że przyszła pani Ania – rozmyśla pani **Nina Gawryluk**. – Wszystko jej opowiedziałam. O tym, jak tato wrócił z bieżeństwa, a dziadkowie zginęli. O tym, jak po wojnie zaczęły się te „wędrówki" różnych żołnierzy, jak nas stąd wyganiali. Moi rodzice akurat nie wyjechali, ale wieś prawie cała opustoszała. Nie mówiliśmy o tym. Ze strachu.

Po burzy oklasków, okrzyki: „bis, bis", „zaśpiewajcie jeszcze raz!". Bo śpiew, mocny, biały, przyciąga uwagę i wśród „swojej", i wśród festiwalowej publiczności. Szybko zapada decyzja, że na bis będzie pieśń „Stoit hora". Rozemocjonowana publiczność milknie, słucha. – Jak pięknie śpiewają – z zachwytu na wdechu mówi **Walentyna Błaszko**. – Tylko trochę nie nasze te pieśni, nie tutejsze.

Może jeszcze Topilec przyciągnie kogoś, kto wyśledzi choć skrawki tutejszych pieśni...

Natalia Klimuk
fot. **autorka**



Światło

Światło jest głównym bohaterem wystawy **Leona Tarasewicza**, otwartej 4 sierpnia w murach Akademii Supraskiej, organizatora wystawy, finisaż której nastąpi 15 września. Jest to światło przefiltrowane przez kolor – czysty, intensywny – żółty, zielony, czerwony, pomarańczowy, jakby skupiając w sobie esencję barwy i światła.

Leon Tarasewicz, jeden z najbardziej intrygujących malarzy współczesnych, urodzony w 1957 roku w Waliłach, nieustannie przekracza granice sztuki, burzy konwencje, otwiera drzwi do innych światów, wiodąc nas za sobą. A my pytamy: – Można tam? – Można – odpowiada artysta, to także sztuka.

Od figuratywnego malarstwa, które było w jego życiu tylko krótkim epizodem, odszedł dawno. Odrzucił wszelką iluzyjność dzieła. A swoim obrazom nawet nie nadawał tytułów. Jego wcześniejsze prace odczytuję głównie jako rejestrację na płótnie rytmów przyrody – lasu, zaoranego pola, ptaków. W tym chwytaniu rytmów jakby chciał wypowiadać się symbolem, skrótem, tak powszechnym w tradycji wschodniego chrześcijaństwa. Jakby dążył do używania najprostszego języka malarskiego.

Przedstawiał fragmenty rzeczywistości, kadr większej całości, a w niej nie ma dominanty, wokół której organizuje się iluzję tego świata.

Potem coraz chętniej zanurza się artysta w grę czystych intensywnych kolorów, zestawiając je tak kontrastowo, że aż sprawiają wrażenie „świecenia". Kolory układa w pasy, plamy, kropki. Swoim malarstwem zachłannie zagarnia coraz więcej przestrzeni. Nie wystarczają mu już ramy tradycyjnego obrazu. Wychodzi z malarstwem bezpośrednio na ściany sal wystawowych, zamalowując je od góry do dołu, na filary galerii, multiplikując efekt wszechogarniania malarstwa w lustrach, odbijających w nieskończoność filary. Zastyga jego malarstwo w betonie, grającym intensywnością błękitów, czerwieni, żółci, zalewającym kilka sal wystawowych w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej (2003). Po czym wychodzi na zewnątrz – na elewacje budynków, zajmując choćby na centrum handlo-



wo-rozrywkowym Gemini Park w Białej Podlaskiej 450 metrów kwadratowych powierzchni, wychodzi na plac w Barcelonie i Kielcach, na chodniki. Anektuje dla swoich malarskich działań coraz więcej przestrzeni, jakby chciał zamalować świat. Jakby chciał mu powiedzieć – malarstwo wciąż

Podczas otwarcia wystawy w Helsinkach, niżej wernisaż wystawy w kompleksie oświatowo-kulturalnym cerkwi Chrystusa Zbawiciela w Moskwie

żyje. W 2003 roku pisał: „Malarstwo było i jest papierkiem lakmusowym kondycji społeczeństwa (...) ...gdy gasło malarstwo, bardzo szybko upadała cywilizacja”. Malarstwem broni nas przed upadkiem?

Śle nam przesłanie artysta: po malarstwie można chodzić („obraz-dywan”, „obraz-do-deptania”), o malarstwo można się opierać, do malarstwa można „wchodzić”, otoczonym zewsząd konstrukcjami, zamalowanymi przez artystę. Bo malarz „konsekwentnie rzuca wyzwanie zarówno tradycyjnemu rozumieniu malarstwa, jak i wszelkim konwencjom rozumienia sztuki”, tak określono jego twórczość, nadając artyście w 2006 roku Nagrodę Wielką Fundacji Kultura. A i obsypując go innymi znaczącymi nagrodami, podkreślano owe przekraczanie granic i konwencji w sztuce (Paszport Polityki, Nagroda Jana Cybisa, Nagroda Fundacji Zofii i Jerzego Nowosielskich, Srebrny Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis).

W Supraślu Leon Tarasewicz zaanektował do sfery sztuki przestrzeń wydzieraną nam przez komercję. Ligthboxsy, a wszak są nimi i świecące ekrany telewizorów, i komputerów, i podświetlane reklamy, niosąc rozrywkę i informację, świecąc w centrach handlowych, na lotniskach, ulicach, rozjarzając nocą panoramy wielkich miast. Tu lightboxy zaświeciły jako sztuka, jako czysta sztuka, która ma nas zbliżyć do tajemnicy światła, do tajemnicy życia i Boga, jak zauważył sam artysta: „Zawsze tak było, że zapalona świeca lub znicz wprawiały nas w zadumę nad przeszłością, nad sensem życia i śmierci”.

Lighboxy zaświeciły całą intensywnością i czystością koloru, nie przysłonięte żadnym napisem ani dotknięciem pędzla, ani zmiennością barw, jakże często wykorzystywaną dziś w widowiskach. Trwały jak zastygłe, napełniając spokojem i ukojeniem, cichą kontemplacją.

Setki osób przybyły na wernisaż wystawy do pomieszczeń Akademii Supraskiej. Bo to było wydarzenie.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Kolory Prawosławia podróżują

W lipcu wystawę „Kolory Prawosławia. Polska” mogli podziwiać mieszkańcy Wilna, Helsinek, Sankt-Petersburga i Moskwy, we wrześniu dotrze do Jekaterynburga. To była trzecia edycja zagranicznych wystaw, organizowanych przez Stowarzyszenie Orthphoto. Inicjatywę finansowo wsparło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Miasto Białystok, Urząd Wojewódzki, prywatni sponsorzy.





Zdjęcia pochodzą ze strony orthphoto.net, założonej przez **Aleksandra Wasyluka** – pomysłodawcę wystaw. Poprzednie wystawy w 2013 roku odwiedziły Mołdawię, Białoruś, Serbię, Bułgarię i Grecję. Wystawa była pokazana też w Etiopii i Parlamencie Europejskim w Belgii.

Strona orthphoto.net powstała w 2004 roku. Znajduje się na niej ponad 85 tysięcy fotografii z ponad 90 krajów. Na stronie mogą umieszczać zdjęcia wszyscy, profesjonaliści i amatorzy.

W Wilnie wystawę pokazano w monasterze Świętego Ducha. Większość

z oglądających wystawę nie słyszało wcześniej o prawosławiu w Polsce.

W Helsinkach wystawę można było obejrzeć na placu przed katedralną cerkwią Zaśnięcia Bogarodzicy, bardzo chętnie odwiedzaną przez pielgrzymów i turystów.

Wraz z wystawą wędrowała kilkudziesięcioosobowa grupa młodzieży z Polski. Dla niej ciekawy okazał się nocleg w prawosławnym obozowisku Kaunisniemi. Takich miejsc odpoczynku brakuje w Polsce. Na terenie obozu znajdują się budynki mieszkalne – oddzielne dla dziewcząt i chłopców, wspólna stołówka i sala integracyjna. Jest pole do grillowania i zabaw na świeżym powietrzu, także jezioro i sauna. W pobliżu stoi niewielka, drewniana kaplica, w której nie ma elektryczności, tylko płoną świece.



Wieczór minął na grach i zabawach młodzieży polskiej i fińskiej, grillowaniu i akafiście do Bogarodzicy, odsłużonym w języku fińskim i cerkiewnosłowiańskim. Po akafiście o. **Teemu Toivonen**, duchowy opiekun obozu, przybliżył historię najbardziej czczonej w Finlandii Koniewskiej Ikony Matki Bożej, której kopia znajduje się w kaplicy. Dołączyła do niej ikona świętego męczennika Gabriela, którą w prezencie ofiarowała polska grupa.

W drodze do kolejnego miasta zatrzymaliśmy się w monasterze św. Borysa i Gleba w Torzhoku (Rosja, obwód twerski), pochodzącym z XI wieku, jednym z najstarszych w Rosji. Jego cerkwie i wszystkie inne budynki potrzebują pilnego remontu.

W Petersburgu wystawa została zaprezentowana w Muzeum Historii Religii, w czasach sowieckich Muzeum Historii Religii i Ateizmu. Początkowo mieściło się ono w Kazańskim Soborze Matki Bożej, po przemianach ustrojowych wyprowadziło się do innego budynku. Gromadzi około czterystu tysięcy eksponatów, przybliżających głównie historię, kulturę i duchowość Cerkwi prawosławnej w Rosji, ale też w Armenii, Grecji i Etiopii.

Ostatni wernisaż miał miejsce w podziemnej sali wystawowej soboru Chrystusa Zbawiciela w Moskwie. Cerkiew, główna w Rosji, największa w świecie, tworzy z przyziemiami ogromny kompleks o roli także kulturalnej i oświatowej. W kompleksie mają miejsce koncerty muzyki cerkiewnej, liczne wystawy, konferencje. Cerkiew to ważny symbol Rosji, została zbudowana jako pomnik zwycięstwa nad Napoleonem. Po jej zburzeniu w 1931 roku próbowano zatrzeć o niej pamięć, fotografie które ją przedstawiały, były niszczone, wspomina redaktor naczelny radia „Wiera" **Ilja Aleksandrowicz**. Można powiedzieć, że jest to obecnie symbol odrodzenia prawosławia w Rosji, pomnik zwycięstwa.

Na otwarciu wystawy głos zabrali ambasador Rzeczypospolitej w Rosji **Włodzimierz Marciniak** oraz dyrektor radia „Wiera" **Roman Torgaszin**. Uroczystość poprowadził **Denis Makhanko** z radia „Wiera", bliski współpracownik serwisu orthphoto.

Podczas wernisaży można było kupić album ze zdjęciami przedstawiajacymi prawosławie w Polsce. Dzięki technologii VR (wirtualna rzeczywistość) można było odbyć wirtualną wycieczkę po cerkwiach w Białowieży i Lublinie.

Wystawa wszędzie spotykała się z ciepłym przyjęciem i zaskoczeniem, że życie prawosławnych w Polsce jest tak prężne. Wielu oglądających wyraziło chęć odwiedzenia naszego kraju.

W drodze powrotnej odwiedziliśmy żeński monaster św. Tichona w Toropcu (eparchia rżewska), założony w 2005 roku, na miejscu męskiego monasteru św. Mikołaja z XI wieku. Znajdują się w nim dwie cerkwie – z XVI i XVII wieku. Jego ihumenią (akurat nieobecną) jest Polka, pochodząca z Poznania.

W cerkwi znajdowało się wiele *mirotocziwych* ikon. Widzieliśmy takie po raz pierwszy w życiu, jak ikona „Dzieci Betlejemskie" czy „Harbinskaja ikona", przedstawiająca św. patriarchę Tichona i cara Mikołaja II, objawiona w 1930 roku w Harbinie, w Chinach. Mieliśmy okazję wysłuchać historii związanej z ikoną św. Mikołaja Cudotwórcy „Mokrego". W 1911 roku pewna para podróżowała statkiem, by pokłonić się cudotwórczej ikonie św. Mikołaja. W drodze powrotnej, gdy matka zasnęła, dziecko wypadło za burtę i utonęło. Pomimo gorących modlitw do świętego Mikołaja wszystko wydawało się być stracone. Jakie było zdziwienie rodziców, gdy po powrocie do domu dziecko znaleziono w ich parafialnej cerkwi pod ikoną świętego. Dzięki modlitwom przed ikonami w monasterze miało miejsce wiele cudownych uzdrowień (strona monasteru: www.st-tihon.ru)

Podróż z wystawą przyniosła pożytek nie tylko oglądającym, ale także z nią podróżującym, uświadamiając, jak ważna jest misyjna praca Cerkwi oraz świadczenie o prawosławiu.

Natalia Walicka
fot. **Tomasz Grześ**



Stolica z widokiem na Ararat

Z czym przeciętnemu Polakowi kojarzy się Armenia? Z Arką Noego, koniakiem, początkami chrześcijaństwa? Prawidłowo. Ale wszystkie te skojarzenia i tak skupiają się na Araracie. No bo i Arka tam osiadła, i najsławniejszy koniak tak się nazywa, i w końcu religia pierwszego chrześcijańskiego państwa świata narodziła się pod Araratem. Tyle tylko, że sama góra leży dziś w Turcji, tuż za turecko-ormiańską granicą, co dla całego narodu jest niewyobrażalnym wręcz dramatem.

Ararat to święta góra Ormian, w wymiarze narodowym i historycznym. To przecież tam wylądował Noe (fragmenty jego Arki można zobaczyć w Eczmiadzynie). Jeden z jego potomków – Hajk – stał się protoplastą narodu, dlatego też w języku ormiańskim Armenia to Hajastan. Dziś Ararat należy do Turcji i stanowi (obok rzezi Ormian w 1915 roku, w czasie której poniosło śmierć półtora miliona osób, i co określa się słowem ludobójstwo – genocide) główne źródło nienawiści.

W roku 2015 przypadało okrągłe stulecie ludobójstwa. Każdy Ormianin nosił więc w klapie niezapominajkę, a cała Armenia była oblepiona poruszającymi do głębi bilbordami. Z lewej data 1915, przybrana w typowy turecki fez i takie też wąsy. Z prawej rok 1939, z charakterystycznym kwadratowym wąsikiem i równie charakterystyczną, zaczesaną na prawo, czupryną. Treść wymowniejsza niż najbardziej opasłe naukowe tomisko.



Ararat widać nie tylko ze stolicy, ale dosłownie z całej zachodniej części kraju. A najlepiej chyba z miejsca, w którym narodziła się chrześcijańska Armenia. Jadę więc trzydzieści kilometrów, by dotrzeć do monasteru Chor Virap. Stoi tu już tysiąc siedemset lat, a jego otoczenie wciąż wydaje się nierealne. Szeroka, jedyna w Armenii, rozległa dolina, przedzielona granicznym płotem. Tuż przed nim wspomniany klasztor oraz ruiny jednej z dawnych stolic. Za płotem druga część doliny. Płaska jak stół, szeroka, rozłożysta. Najurodzajniejsze miejsce w tej części Kaukazu, w całości pokryte sadami, winnicami i ogrodami.

I nagle ponad tym wszystkim wyrasta niebotycznej wielkości góra. Nigdzie przed nią nie ma choćby pagórka, przedgórza czy tego wszystkiego, co w górach być powinno. Tylko równina jak okiem sięgnąć – i nagle góra. Wznosząca się łagodnie i majestatycznie, zakończona trójkątnym wierzchołkiem jak z dziecięcego rysunku, z czapą wiecznego śniegu

Na poprzedniej stronie widok na Ararat i Chor Virap i centrum Erewania



na szczycie. Widok jest wprost nieziemski. Płasko, płasko i płasko, i nagle ponad cztery kilometry góry w pionie, uwzględniając fakt, że już jesteśmy na wysokości mniej więcej kilometra. Daleko z lewej towarzyszy jej wprawdzie Mały Ararat, ale ze swymi niespełna czterema kilometrami odpada już w przedbiegach przy pięciotysięczniku.

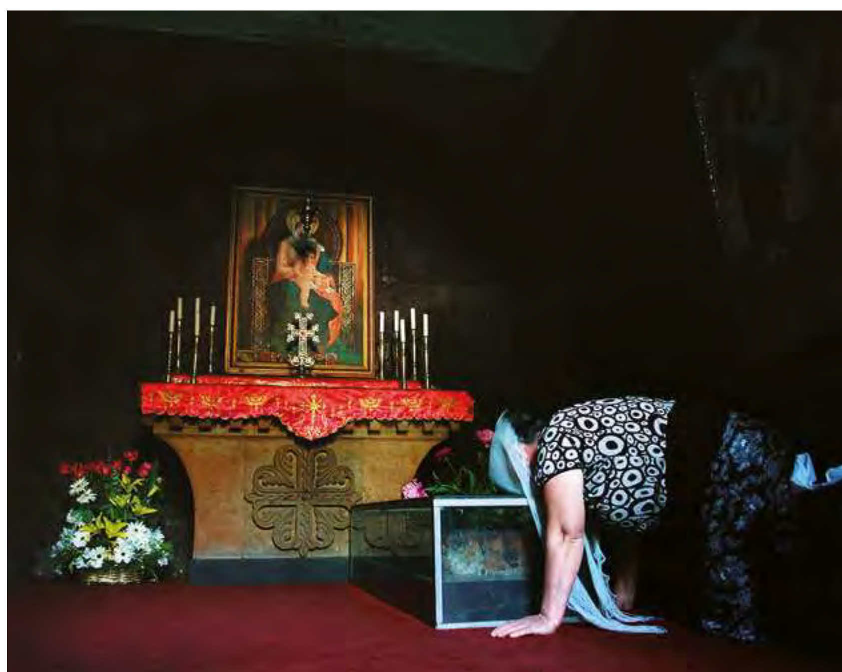
Zbliżam się do klasztoru jak zaczarowany, co chwila prosząc kierowcę, by się zatrzymał, bo chcę zrobić fotografię, bo zdjęcie Chor Virap z Araratem w tle legitymuje pobyt w Armenii.

Nazwa monasteru oznacza głęboką studnię. Nie służyła jednak do wydobywania wody, ale przetrzymywania więźnia. Dwanaście lub piętnaście lat (tu źródła się różnią) spędził w niej św. Grzegorz Oświeciciel, który w 301 roku doprowadził ówczesnego władcę kraju do uznania religii Jezusowej za powszechnie obowiązującą. Armenia stała się zatem pierwszym oficjalnie chrześcijańskim państwem świata.

Schodzę więc po długiej, kilkunastometrowej drabinie na dno kamiennej studni. Gdy lampa gaśnie, mrok robi się gęsty jak wata. Jedynie wysoko w górze delikatnie rozprasza go nikłe światełko, sączące się przez wąziutkie niczym szczelina okienko. Jak można tu było przeżyć tyle lat?

Wychodzę na zewnątrz. Promienie słońca oślepiają tak, że nawet spod przeciwsłonecznych okularów płyną łzy. Uciekam czym prędzej do głównej cerkwi. Jak każda w tym kraju jest ascetyczna i majestatyczna, piękna acz surowa, inspirująca i transcendentna. Jaka więc szkoda, że podobnie jak zdecydowana większość innych mieści tylko muzeum. Mnichów bolszewicy przegnali już dawno. Do dziś nie wrócili. Co prawda w niedzielę miejscowy duchowny służy tu Liturgię, ale na co dzień łatwiej spotkać rozwrzeszczane dzieciaki czy wszędobylskich turystów, niż modlących się wiernych. Siedemdziesiąt lat przymusowego ateizmu nie zaszkodziło specjalnie sąsiedniej Gruzji, lecz w Armenii poczyniło ogromne spustoszenia. Zapalam świece i mimo wszystko próbuję pogrążyć się w modlitwie. Potem siadam na murku i gapię się na Ararat. Nic się nie zmieniło. Nadal jest ogromny i jakby nierealny.

Godzinę później oglądam go z innej strony. Tym razem jest tłem majestatycznych ruin katedry w Zwartnoc (z VII wieku). W czasach swojej świetności była perłą architektury bizantyńskiej, nic więc dziwnego, że wraz z leżącymi obok, równie imponującymi, ruinami pałacu patriarchy znajduje się na liście UNESCO. Chor Virap zresztą też. Nie ma, niestety,



takiej listy, na której można byłoby umieścić Ararat. Ten jest bowiem poza wszelką konkurencją. Widok jest tak obłędny, że nie przeszkadzają mi nawet turystki, zachowujące się jak rozwrzeszczane bachory.

Jakiś czas później gapię się nadal jak zauroczony na tę górę, tym razem w Sardarapacie. To miejsce bitwy, podczas której Ormianie pokonali Turków i w 1918 ogłosili niepodległość. Dziś cały ten teren stanowi narodowe mauzoleum. Nie bardzo kocham takie miejsca, wiem jednak, że sprawiłbym ogromną przykrość moim przewodnikom, gdybym je odpuścił. Siedząc na tarasie restauracji błogosławię ich jednak za to, że mnie tu przywieźli. To co mam przed oczyma, stanowi bowiem kwintesencję tego kraju, gdyż





Zwartnoc, niżej od lewej grobowiec św. Ananiasza w Surb Zorawor, wnętrze Kathogike, u dołu Surb Sarkis

spoglądam na Ararat poprzez kwitnący morelowy sad. Bo właśnie morela jest jedną z ikon Armenii. Uprawiana tu od zawsze, w świecie znana od czasów Aleksandra Macedońskiego, który tak się drzewami morelowymi zachwycił, że nakazał obsadzić nimi całe swe imperium. Siedzimy więc przy wybornym posiłku, sącząc na zmianę surcz – ormiańską kawę – czarną, gęstą i słodką oraz narodową specjalność – tute – wódkę z morwy. Przed nosem morelowy Ararat, a twarze owiewa chłodny wietrzyk,





choć poza strefą cienia temperatura przekracza trzydzieści.

Wracamy do stolicy. Erewań to jedno z najstarszych miast świata, liczące sobie blisko dwa tysiące osiemset lat. Trzydzieści lat starsze niż Rzym. Ale zabytków w zasadzie tu nie ma. Wszystkiemu winne ogromne trzęsienie ziemi z roku 1679. Miało siłę siedmiu stopni i zmiotło większość miasta. Można więc powiedzieć, że zbudowano je od nowa. I to dwa razy, bo dopiero w 1924 roku architekt Aleksander Tamanian nadał mu jego obecny wygląd. Wzorował się głównie na New Delhi. Miasto zyskało zupełnie mową formę. W miejsce składającej się z tysięcy ruder, bez ładu i składu zabudowanej starówki, powstało nowe centrum urbanistyczne. Jego wyznacznikiem jest ulica okrężna, swoisty ring, tak dobrze znany mieszkańcom Wiednia, Moskwy czy Mińska. Wszystko co poza nim to osiedla typowo mieszkalne. Wewnątrz znajdziemy natomiast szerokie aleje i ulice, z mnóstwem zieleni. Skwerów i parków jest naprawdę bez liku. Najbardziej jednak zachwycają budowle. Nie jestem historykiem sztuki i nie znam się na architekturze, ale czuję, że formą i charakterem nawiązują do tradycji. Zbudowano je z wulkanicznego tufu, miękkiego, lekko chropowatego, ciepłego. W efekcie budynki są ciemnopomarańczowe i lekko nakrapiane cętkami, niczym ptasie jajo. Efekt niepowtarzalny, wyrazistość niezwykła.

Ostatni dzień pobytu przeznaczam na erewańskie cerkwie. Jest ich wiele, ale wybieram cztery. Najstarsze, najcenniejsze, najważniejsze. Zaczynam od Kathogike, bo mam ją naprzeciw hotelu. Doprawdy dziwne to wezwanie. Pochodzi od słowa „katolicki", czyli „powszechny". Cerkiewka jest maleńka i bodajże najstarsza w stolicy, zbudowana tuż po wielkim trzęsieniu ziemi, z końcem siedemnastego wieku. Zachowane inskrypcje przypominają jednak o jej trzynastowiecznej poprzedniczce. Ale i ona nie była tu pierwsza. Wiadomo przecież, że fundamenty sięgają początków ormiańskiego chrześcijaństwa. Budowla była tak mała, że w Liturgii mogło uczestniczyć najwyżej kilkanaście osób, obudowano ją więc większą. Cały plac w czasach sowieckich obstawiono ciasno domami – cerkiew stała się niewidoczna. Ale i tak w 1935 bolszewicy postanowili wszystko zburzyć. Po rozwaleniu zewnętrznych murów, ujrzeli małą cerkiewkę. W mieście, w którym nie zostały się prawie żadne zabytki, stanowiło to nie lada odkrycie. Ormiańscy uczeni stanęli wtedy na wysokości zadania i doprowadzili do cofnięcia fatalnej decyzji. Dziś Kathogike znów stoi w towarzystwie dużej cerkwi, którą tym razem dobudowano za jej plecami. Całość stanowi niepowtarzalny kompleks: maleńka i stareńka babcia w towarzystwie dużej, młodziutkiej wnuczki. Urok tego miejsca powala szczególnie nocą, gdy

reflektory wydobywają z obydwu to co najpiękniejsze.

Surb Grigor Lusaworicz to najważniejsza świątynia w mieście, będąca cerkwią katedralną pod wezwaniem św. Grzegorza Oświeciciela – patrona Armenii. Jest ogromna, ma tysiąc siedemset miejsc siedzących. Symbolizują tysiącsiedemsetlecie ormiańskiego chrześcijaństwa, hucznie obchodzonego w roku 2001. Wtedy właśnie ją wyświęcono jako dziękczynne wotum narodu dla swego patrona i oświeciciela. Tutaj także złożono jego relikwie. Architektura typowa dla tej części świata. Budowla wykonana oczywiście z tufu, majestatyczna i piękna w swej prostocie. Poza rzadkimi reliefami, zdobień w zasadzie nie widać. Ołtarz, jak to u Ormian, prosty, choć wyjątkowo duży, wykonany z białego marmuru. W środku obraz tronującej Bogarodzicy, po bokach srebrne świeczniki. Brak ikonostasu, brak ikon, są za to drewniane trony dla patriarchy i biskupów. Na podłodze marmury. Dla przyzwyczajonego do bogato zdobionych kościołów i cerkwi Polaka wnętrze wydaje się cokolwiek za skromne. Ale to, co nam wydaje się nieco dziwne, tutaj stanowi normę. I może właśnie tak być powinno? Nic przecież nie rozprasza podczas modlitwy.

Surb Sarkis, czyli cerkiew św. Sergiusza, przez blisko dwieście lat pełniła rolę stołecznej katedry. Obecną budowlę, stanowiącą dziewiętnastowieczną wersję swej poprzedniczki, wybudowano zaraz po trzęsieniu ziemi. Wchodzę przez przepięknie zdobiony portal, nad którym widnieje kamienny, misternie rzeźbiony relief Bogarodzicy z Dzieciątkiem w towarzystwie aniołów i chaczkarów. Wszystko z pomarańczowego tufu oczywiście. Wnętrze jak zwykle skromne. W centrum prosty kamienny ołtarz oraz cztery bardzo współczesne ikony, przypominające bardziej typowo kościelne obrazy. Surb Sarkis wbudowano w najstarszą zabudowę Erewania. Tutaj rzeczywiście czuje się stare miasto i typową dla takich miejsc atmosferę. Pełno tu niewielkich domków, umiejętnie wkomponowanych w łagodny stok wzgórza. Wielkim atutem jest także bajeczny widok Araratu, rozciągający się tuż sprzed wejścia.

Surb Zorawor to urzekająca mała cerkiew, schowana wśród otaczających ją bloków tak dokładnie, że jeśli nie wie się o jej istnieniu, to nigdy się tu nie trafi. Z zewnątrz i wewnątrz przypomina klasyczną, prawosławną cerkiew. Ciemne wnętrze zachęca do modlitwy. Transcendentny nastrój wzmaga blask dziesiątek świec. Unoszący się z nich kopeć powoduje, że ściany i stropy wydają się niemal czarne. W tym przypadku nie jest to jednak wadą, a raczej wzmacniającą nastrój zaletą. Nic więc dziwnego, że pomimo powszedniego dnia nie brakuje tu wiernych. Dawniej nazywała się Astwacacin, co było wezwaniem Bogarodzicy, z czasem stała się jednak Zoraworem, czyli cerkwią przechowującą starożytne, rękopiśmienne Ewangelie (Zorawor to Ewangelia). Nie ma więc i nigdy nie było żadnego świętego o tym imieniu, jak uparcie twierdzą nasze przewodniki. Największy jednak skarb tej świątyni kryje się tuż obok głównego wejścia, w podziemnej krypcie. Szerokie, ciemne schodki sprowadzają na poziom piwnicy, gdzie staroormiańskim zwyczajem znajduje się grobowa krypta. Pomieszczenie jest niskie, posadzka wyłożona grubym dywanem, a jedyne światło pochodzi z kilku oliwnych lampek. Centralne miejsce zajmuje grobowa płyta, leżąca tu już dwa tysiące lat! Nad nią skromny ołtarzyk, jak zawsze z ikoną Matki Bożej. Miejsce emanuje nieziemskim ciepłem. Nie dociera tu szum i miejski zgiełk. Również czas i przestrzeń nie mają tu wstępu. Czuję więc wszechogarniający spokój i bezpieczeństwo. Ponieważ jestem sam, mogę bez trudu pogrążyć się w modlitwie. Byłem już w wielu tego typu miejscach, ale niemalże zawsze oznaczało to tłumy wiernych. Tym razem jednak jesteśmy tu tylko we dwójkę: on i ja. Tylko jak wyrazić uczucia, które pojawiają się w mym sercu, gdy dotykam głową i ustami kamiennej płyty? Bo od spodu dotykają jej przecież prochy człowieka, który kiedyś z pewnością dotykał Jezusa. Był nim bowiem św. Ananiasz, jeden z siedemdziesięciu Jego uczniów.

Ostatniego ranka jak zwykle wyglądam przez hotelowe okno. Nic się nie zmieniło. Jak okiem sięgnąć setki blaszanych dachów, które niczym statki z tysiącami masztów telewizyjnych anten dryfują nad budzącym się do życia miastem. Gdy jednak podnoszę wzrok nieco wyżej, widzę, jak ponad dachami i antenami niebo przesłania ogromna góra. Tym razem powietrze jest kryształowo czyste, widać ją więc doskonale. Wznosi się nad miastem niczym ogromna teatralna dekoracja. Wrażenie odrealnienia powoduje fakt, iż jej podstawa tonie w chmurach, ukazując wyłącznie dwa zawieszone w powietrzu wierzchołki.

To się nazywa mieć stolicę z widokiem!

Paweł Krysa
fot. **autor**

Metropolita Józef Siemaszko

Znaczącym wydarzeniem XIX wieku był powrót unitów do prawosławia w 1839 roku. Inicjatorem i siłą napędową tego procesu był metropolita Józef Siemaszko.

MŁODE LATA

Józef Siemaszko urodził się 25 grudnia 1798 roku we wsi Pawłówka w powiecie lipowieckim w guberni kijowskiej. Jego ojciec był synem unickiego kapłana, lecz sam nie przyjmował święceń i zajmował się rolnictwem.

Chociaż rodzina byla unicka, to w niedziele i święta ojciec posyłał go na nabożeństwa do prawosławnej świątyni. To dało początek rozwojowi tych przekonań, które później doprowadziły Józefa do przyjęcia prawosławia i do powrotu całej rzeszy unitów do Cerkwi prawosławnej.

Podstawowe wykształcenie otrzymał w domu pod kierownictwem miejscowego *diaka* (psalmisty), który zauważył w młodzieńcu „nietuzinkowe zdolności", dobrą pamięć i zamiłowanie do pracy. Chłopca mało interesowały dziecięce zabawy. Wolał od nich spacery po lesie i polu. Lubił też czytać książki.

We wrześniu 1809 roku wstąpił do szkoły niemirowskiej, gdzie zaliczał się do najlepszych uczniów. Cały proces edukacyjny był realizowany w języku polskim.

W 1816 roku skończył szkołę w Niemirowie i został wysłany przez ojca do Głównego Seminarium Duchownego przy Uniwersytecie Wileńskim. Zamiłowanie do pracy i wytrwałość przez wszystkie lata nauki w Wilnie zdumiewały nawet jego nauczycieli.

W 1820 roku ukończył to seminarium ze stopniem magistra teologii. Nauka w szkołach, w których królował język polski i wychowywanie w duchu polskiego patriotyzmu, nie spolonizowała Józefa Siemaszki.



KAPŁAN UNICKI

Po ukończeniu seminarium Józef przybył do Łucka, gdzie przyjął godność kapłańską bez wstępowania w związek małżeński. 6 października 1820 roku został wyświęcony na subdiakona, 26 grudnia tegoż roku na diakona, 28 grudnia 1821 roku otrzymał święcenia kapłańskie.

Od 1820 do 1822 roku Józef był członkiem łuckiego konsystorza oraz nauczycielem miejscowego seminarium. Praca w konsystorzu wyraźnie uświadomiła mu lekceważenie okazywane unitom przez łacinników. Widział też brak życzliwości ze strony prawosławnych. 7 stycznia 1822 roku został podniesiony do godności protoprezbitera. 20 czerwca tegoż roku wyznaczono go na asesora w unickim departamencie Kolegium Rzymskokatolickiego w Petersburgu. Był to organ odpowiedzialny za nadzór nad działalnością wszystkich obrządków Kościoła katolickiego w Rosji.

Stolica imperium zachwyciła Józefa widokiem wspaniałych prawosławnych cerkwi i uroczystymi w nich nabożeństwami. Tutaj też bardzo dużo czytał. W pierwszym roku przeczytał ponad czterysta książek z Biblioteki Głazunowa. Podczas pobytu w Petersburgu w duszy Józefa nastąpił zasadniczy przełom. Nabrał pewności, że prawosławie jest prawdziwą wiarą, że Kościół rzymski odstąpił od czystości wiary apostolskiej. Z niezakończonego „Dzieła o Prawosławiu Wschodniej Cerkwi" i z zebranych do tej pracy materiałów można wywnioskować, że przyszły arcypasterz nie godził się z błędami doktrynalnymi, w które wpadł Kościół rzymski. Widział je w instytucji papiestwa. Przyczyniło się to – według opinii prałata Józefa – do dechrystianizacji narodów europejskich i otwartego rozpalania przez duchowieństwo łacińskie nietolerancji wobec do niekatolików.

W Kościele rzymskim młody kapłan widział „lenistwo zamiast zamiłowania do pracy, pychę zamiast pokory, przekorę zamiast posłuszeństwa, które budują zaciętość ludzi przeciw bliźnim, stawiają brata przeciw bratu, obywatela przeciw obywatelowi". Uważał też, że katolicyzm w krajach niekatolickich nie jest i nie może być podstawą społecznego pokoju i zgody w społeczeństwie. Do takiego wniosku doszedł, obserwując Kościół katolicki w Rosji.

Wbrew polskiemu wychowaniu i łacińskiemu wykształceniu, stopniowo przyjmował prawosławne przekonania, coraz wyraźniej postrzegał siebie jako przedstawiciela narodu ruskiego. Nie widział siebie jako członka kleru Kościoła katolickiego obrządku wschodniego. W 1827 roku podjął zamiar (niezrealizowany) przejścia na prawosławie i wstąpienia jako prosty mnich do Ławry Aleksandro-Newskiej.

Ludzie nieprzychylni wobec Siemaszki podejrzewają go o chęć osiągnięcia korzyści osobistych z przejścia na prawosławie w 1827 roku. Można powiedzieć, że chciał przejść na silniejszą stronę. Należy zwrócić uwagę, że Józef Siemaszko otrzymał doskonałe jak na unickiego kapłana wykształcenie. Dobrze znał język

rosyjski, w przeciwieństwie do znakomitej większości kleru unickiego. Otwierała się przed nim perspektywa błyskotliwej kariery. W wieku 28 lat był już prałatem i członkiem najwyższych władz Kościoła katolickiego w Imperium Rosyjskim. Zdobyty tam autorytet, w połączeniu z niedoborem wykształconych i aktywnych ludzi w Kościele unickim, dawał mu pewną perspektywę otrzymania godności biskupiej. W każdym razie, sam w to nie wątpił.

Przyłączenie się do prawosławia poprzez wstąpienie do monasteru nie rokowało prałatowi Józefowi osobistych korzyści. Wręcz przeciwnie! Z gabinetów, gdzie spotykał się z wysoko postawionymi kościelnymi i świeckimi dostojnikami, gdzie decydowały się losy Cerkwi unickiej, był gotów przejść do skromnej prawosławnej celi mniszej. Z tego miejsca trudno byłoby mu zrobić jakąkolwiek karierę w Cerkwi prawosławnej. Poważnie przeszkadzałby mu ciężar katolickiej przeszłości. Dlatego Józefem Siemaszką mogły w tym czasie powodować tylko przesłanki czysto religijne i moralne.

Chociaż w jego duszy następowała przemiana, to z całą starannością wypełniał powierzone mu obowiązki w Kolegium. Swojego stanowiska potrafił zawsze godnie i zdecydowanie bronić. Występował jako prawdziwy obrońca wyznania unickiego. Ciągłe spory z łacinnikami jeszcze bardziej wzmocniły jego twardy z natury charakter. Dały mu duże doświadczenie i nauczyły ostrożności. Poczuł w sobie siłę do otwartej walki z rzymskimi katolikami o prawa marginalizowanej Cerkwi unickiej.

W 1827 roku rząd rosyjski to właśnie Józefowi zaproponował przedstawienie sytuacji Cerkwi unickiej. Młody kapłan stworzył rzeczowy raport. Wyraziście wyłożył sytuację Cerkwi unickiej i wskazał środki, za pomocą których unici mogliby wrócić na łono Cerkwi prawosławnej. Niektórzy historycy zarzucają mu, że skorzystał z opracowania metropolity **Herakliusza Lisowskiego** z początku XIX w. Niewykluczone. Jednak to opracowanie Józefa Siemaszki otrzymało wysoką ocenę rządu i zostało życzliwie przyjęte przez imperatora **Mikołaja I**. Józefowi zaproponowano przygotowanie wykonanie szczegółowego planu stopniowego doprowadzenia do realizacji wskazanych przez niego celów. Po dwóch i pół miesiącach, 17 stycznia 1828 roku, Józef Siemaszko przedstawił nowy dokument, w którym wyłożył konkretny plan przedsięwzięć prowadzących do realizacji jego projektu. 22 kwietnia 1828 roku imperator Mikołaj I wydał dekret, w którym uwzględniono wiele jego propozycji. Dekret ten stał się podstawą późniejszych działań rządu w stosunku do ludności unickiej.

UNICKI BISKUP MŚCISŁAWSKI

4 sierpnia 1829 roku Józef Siemaszko został wyświęcony na biskupa mścisławskiego, wikarego diecezji połockiej, z pozostawieniem w składzie Kolegium. Z powodu braku w Petersburgu unickiej cerkwi, święcenia biskupie zostały przeprowadzone w kościele rzymskokatolickim św. Katarzyny przez brzeskiego unickiego metropolitę **Josafata Bułhaka** i połockiego biskupa **Jakuba Martusiewicza** oraz łacińskiego biskupa **Józefa Giedrojcia**.

Podczas święceń biskupich Józef Siemaszko opuścił w tekście arcypasterskiej przysięgi fragmenty dotyczące wierności papieżowi. Po wprowadzeniu unii nie wchodziły one do przysięgi biskupiej – wprowadzono je później. Wyświęcający go nie odmówili święceń, chociaż sytuacja była nadzwyczajna. Widać zatem, że władyka Józef już wówczas nie widział siebie w roli katolickiego biskupa obrządku wschodniego, a w ten sposób nie obciążył swego sumienia.

Wkrótce podjął działania mające na celu przemianę Cerkwi unickiej. W marcu 1830 roku biskup Józef wybrał się na wizytację białoruskiej i litewskiej diecezji. Przegląd diecezji trwał sześć miesięcy, po czym władyka wrócił do Petersburga ze szczegółowym raportem. Jednym z rezultatów tej podróży było zastąpienie katolickiego podręcznika do katechezy przez prawosławny metropolity **Filareta**.

UNICKI BISKUP LITEWSKI

2 kwietnia 1833 roku Józef Siemaszko został wyznaczony na unickiego biskupa diecezji litewskiej. Pozostawał przy tym członkiem Kolegium Unickiego, wydzielonego w międzyczasie z Kolegium Rzymskokatolickiego. Kierując diecezją litewską, władyka mógł swobodnie realizować swoje propozycje dotyczące Cerkwi unickiej. Często odwiedzał parafie. Poznawał ludzi, położenie i nastroje duchownych w diecezji. Wybierał sobie wiernych pomocników. Wchodził również w konflikty z duchownymi, którzy ciągle orientowali się na Rzym. Wszystkie jego decyzje miały służyć zbliżeniu Cerkwi unickiej z prawosławną.

Jedną z przeszkód w realizacji planów Siemaszki była działalność ordynariusza nowo utworzonej połockiej diecezji prawosławnej. Pochodzący z Rosji biskup **Smaragd** nie znał ani specyfiki unii, ani prawosławia na białoruskich terenach. Niszczenie przez niego lokalnej tradycji zostało niechętnie odebrane przez miejscową ludność. Jego administracyjne metody działania wywoływały protesty zarówno ze strony prawosławnych, jak i unitów. Zaczęły się odradzać sympatie prokatolickie wśród duchowieństwa unickiego i pojawiać niechęć do prawosławia.

Od 1830 do 1833 roku w związku z wybuchem powstania listopadowego rząd rosyjski przywiązywał małą wagę do problemu unickiego. W związku z tym władyka Józef zdecydował się pozostawić rozpoczęte dzieło i 15 maja 1833 roku napisał prośbę do Świątobliwego Synodu o osobiste przyłączenie się do prawosławia. Rząd rozumiał, że ten krok władyki Józefa nie przyniósłby korzyści dziełu zjednoczenia unitów i zaproponował czasowe odłożenie jego zamiaru. Równocześnie obiecał wsparcie w realizacji propozycji władyki, dotyczących zagadnienia unickiego.

Po rozpoczęciu reformy liturgicznej w 1834 roku dążenie do zerwania z postanowieniami unii brzeskiej stało się oczywiste. Zaczęto wprowadzać tradycje prawosławne. W cerkwiach



wstawiano ikonostasy, nabożeństwa odprawiano według prawosławnych ksiąg liturgicznych, usuwano ławki i organy. Działania te nie napotkały żadnego poważnego oporu. Na ponad ośmiuset kapłanów diecezji litewskiej, znalazło się tylko dwudziestu pięciu, którzy nie od razu godzili się na zaproponowane zmiany.

W 1834 roku władyka ponownie wizytował swoją diecezję. Zainteresowaniem, skromnością i łagodnością w kontaktach zdobywał sympatię. Większość unickiej ludności i duchownych przyjmowała nowości wprowadzane przez władykę życzliwie i chętnie współdziałała. Chociaż nie obeszło się i bez protestów ze strony duchownych najbliższych katolicyzmowi. Negatywną rolę w tej sprawie odgrywali polscy dziedzice, od których duchowieństwo w znacznej mierze zależało materialnie. Jednakże władyka działał zdecydowanie.

Był przeciwnikiem indywidualnych przyłączeń unitów do prawosławia. Wiedział, że jest dużo ludzi, gotowych od razu przyjąć prawosławie. Uważał jednak, że należy stopniowo przemieniać świadomość całej unickiej ludności. Taka postawa władyki Józefa przyniosła efekty w przyszłości.

W 1835 roku założono w Petersburgu tajny komitet do spraw unickich, składający się z metropolity Filareta (Drozdowa), biskupa Józefa Siemaszki, oberprokuratora Synodu i ministra spraw wewnętrznych. Władyka Siemaszko został również członkiem komisji do spraw szkół duchownych, której były podporządkowane wszystkie szkoły unickie. To ułatwiało pracę nad wychowaniem duchowieństwa unickiego w duchu prawosławia.

Katolicy ze wszystkich sił przeszkadzali władyce Józefowi. Pojawiały się nieporozumienia i wśród prawosławnych. Niektórzy rosyjscy administratorzy bardziej sprzyjali katolikom. Jednak jego plan znalazł żarliwych wykonawców w osobach **Bazylego Łużyńskiego** i **Antoniego Zubko**. Pierwszy był wikarym metropolity Jozafata Bułhaka w diecezji białoruskiej, drugi wikarym Józefa w diecezji litewskiej. Do 1837 pod wpływem biskupa większość grekokatolickich duchownych (775 kapłanów) pisemnie potwierdziła swoją gotowość przyłączenia się do prawosławia. Tylko 160 duchownych nie poinformowało o swojej zgodzie. Na początku 1837 roku władyka zaczął domagać się szybkiego przyłączenia unitów do prawosławia, informował o ich gotowości do tego kroku.

W tymże roku Kościół unicki został podporządkowany zarządowi oberprokuratora Świątobliwego Synodu. W 1838 roku umarło dwóch unickich arcypasterzy, którzy występowali przeciwko przyłączeniu do prawosławia – przewodniczący Kolegium Unickiego metropolita Jozafat Bułhak i biskup **Jozafat Żarski**. Kierowanie diecezją połocką przejął władyka Bazyli Łużyński. Był zwolennikiem przyłączenia unitów do Cerkwi prawosławnej i zaczął intensywnie przygotowywać do tego diecezję.

2 marca 1838 roku przewodniczącym Kolegium został Józef Siemaszko. Biskup Antoni Zubko pozostał jedynym wikarym diecezji litewskiej. W tym czasie wszyscy trzej czynni biskupi uniccy byli zwolennikami przyłączenia do prawosławia. Nastała pora zakończenia rozpoczętego dzieła. W 1838 roku podjęto decyzję usunięcia z diecezji unickich duchownych, co do których nie było pewności oraz tych, którzy nawoływali do nieposłuszeństwa. Od unickich duchownych wymagano własnoręcznych oświadczeń o gotowości przyłączenia się do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

Gdy okazało się, że duchowieństwo w zdecydowanej większości godzi się na zjednoczenie, w Niedzielę Triumfu Prawosławia 12 lutego 1839 roku w Połocku. Zwołano sobór. Zebrali się biskupi Józef Siemaszko, Bazyli Łużyński, Antoni Zubko i kierownicze osoby z duchowieństwa obu diecezji unickich. Byli przedstawiciele niższego duchowieństwa i świeckich. Tam został przyjęty akt ponownego zjednoczenia Cerkwi unickiej z Cerkwią prawosławną.

ARCYBISKUP PRAWOSŁAWNY

30 marca 1839 roku na posiedzeniu Świątobliwego Synodu odczytano synodalny dekret o ponownym zjednoczeniu biskupom i duchownym. Na tymże posiedzeniu Grekokatolickie Kolegium Duchowne zostało przemianowane na białorusko-litewskie i podporządkowane Synodowi. Na jego przewodniczącego wyznaczono władykę Józefa z podniesieniem go do godności arcybiskupa.

6 kwietnia 1840 roku, po utworzeniu prawosławnej diecezji litewskiej, został mianowany arcybiskupem litewskim i wileńskim.

Późniejsza działalność arcybiskupa Józefa była poświęcona usuwaniu pozostałości łacińsko-unickiej przeszłości. Dotyczyło to odpowiedniego ukształtowania duchowieństwa i poprawy jego bytu. Arcybiskup dbał o odnowienie i upiększenie świątyń. Zajmował się ochroną prawosławnego stada przed katolicką propagandą. Jego działalność nie ograniczała się tylko do granic diecezji litewskiej. Troszczył się o wzmocnienie prawosławia i w innych przyłączonych diecezjach. Zwyciężeni nie mogli mu wybaczyć swej porażki, rozpuszczali o nim plotki, podkopywali jego autorytet.

W 1842 roku arcybiskup Józef wybrał się w podróż po świętych miejscach Rosji. Po powrocie, jesienią 1842 roku, został wyznaczony na członka komitetu do spraw schizmatyków i odstępców od prawosławia. Ta nominacja go nie ucieszyła i 18 grudnia 1842 roku zwrócił się z prośbą o przeniesienie w stan spoczynku. Prośba ta nie została przyjęta i władyka pozostawał na stanowisku jeszcze przez 25 lat.

O osobistym stosunku do katolików władyka Józef mówił w kazaniu, wygłoszonym w 1845 roku z okazji przeniesienia szkół duchownych i kurii diecezji litewskiej z monasteru Zaśnięcia Matki Bożej w Żyrowicach do Wilna. Wzywał w nim wiernych do odnoszenia się z miłością do innowierców, niepamiętania zła, wybaczania oszczerstw i niezwracania uwagi na urazy. Mówił: „Uczucie miłości do nich jest treścią mego życia, a małoduszna nienawiść nie tknie mego serca nawet wtedy, gdyby przyszło mi przypieczętować krwią ten stan duchowy".

Szczerość tych słów była poświadczana postępowaniem władyki. Wielokrotnie próbowano zastraszyć go śmiercią. Nie reagował na groźby, zachowywał się spokojnie. Nie wykorzystywał gróźb dla budowania rozgłosu wokół swojej osoby.

1 kwietnia 1847 roku arcybiskup Józef został członkiem Świątobliwego Synodu. Arcypasterz kontynuował pracę na rzecz swego stada. Z radością spotykał każdy nowy przypadek przyłączenia do prawosławia, cieszył się z każdej odbudowanej prawosławnej świątyni.

Arcybiskup Józef cenił wileński monaster Świętego Ducha i szanował męczenników, których relikwie były tam przechowywane. W 1850 roku za własne pieniądze urządził dolną cerkiew pod wezwaniem Świętych Męczenników Wileńskich Antoniego, Jana, Eustachego. Zainicjował przeniesienie do niej relikwii. Cerkiew wyświęcono 14 kwietnia 1851 roku.

Arcybiskup Józef nie zawsze znajdował wsparcie ze strony władz państwowych. Miewał konflikty z władzami, co go przygnębiało. Zdarzyło się to też w 1851 roku i władyka 30 października ponownie skierował prośbę o przeniesienie w stan spoczynku. I tym razem prośba nie została uwzględniona.

METROPOLITA PRAWOSŁAWNY

30 marca 1852 roku władyka Józef Siemaszko został podniesiony do godności metropolity, co w okresie synodalnym było unikalnym zdarzeniem w przypadku prowincjonalnej katedry.

Lata 1854-1861 były stosunkowo spokojnym okresem w życiu metropolity Józefa. Dlatego też działalność w tym okresie była zwrócona głównie na budowanie dobrych stosunków w diecezji i ochronę wiernych przed katolicką propagandą. W tym czasie wybudowano nowy budynek konsystorza (1854), przebudowano siedziby arcypasterza (1856), odnowiono ikonostas dolnej cerkwi i rozpoczęto budowę 36 niewielkich cerkwi. Zmodernizowano budynek szkoły duchownej. Otwarto 222 szkoły parafialne z 2700 uczniami i założono pierwszą szkołę żeńską (1860).

W 1856 roku metropolita Józef, wracając z Moskwy, przeziębił się i nabawił się silnego reumatyzmu. Od tego czasu choroba go nie opuszczała, stracił lekkość ruchów, „czasami czuło się w nim pewną powolność i zmęczenie".

Ostatnie lata życia metropolity były związane z burzliwymi wydarzeniami powstania styczniowego. Metropolita nie wyjeżdżał z miasta, odprawiał nabożeństwa w świątyniach, podtrzymywał na duchu kler i wszystkich wiernych.

Rok 1863 był czasem próby dla młodego litewskiego stada, lecz ono pod kierownictwem swego mądrego arcypasterza przetrwało ją. Metropolita wspierał materialnie prawosławnych duchownych, którzy ucierpieli podczas powstania, odbudował i zbudował od nowa kilka cerkwi.

W latach 1865-1866 w diecezji powstało dziewiętnaście nowych parafii. Około 30 tysięcy katolików przyjęło prawosławie, przy czym część z nich uczyniła to pod wpływem rządowych represji podczas tłumienia powstania styczniowego i po jego zakończeniu.

ŚMIERĆ METROPOLITY

Zdrowie metropolity ciągle się pogarszało. Od 1867 roku już prawie nie odprawiał nabożeństw. Jednak sprawy diecezjalne znajdowały się pod jego kontrolą. Codziennie przyjmował u siebie przedstawicieli władzy diecezjalnej i duchowno-szkolnej. Sekretarz pisał rezolucje pod jego dyktando. Metropolita do ostatnich dni zachowywał rześkość ducha i jasność umysłu.



Zmarł 23 listopada 1868 roku. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył arcybiskup charkowski **Makary Bułhakow** (późniejszy metropolita moskiewski). Na nabożeństwie byli obecni m.in. oberprokurator Świątobliwego Synodu hrabia **D. A. Tołstoj** i główny zwierzchnik kraju **A. Ł. Potapow**. Trumna została umieszczona w krypcie w dolnej świątyni Trzech Wileńskich Męczenników w cerkwi Świętego Ducha monasteru pod tym samym wezwaniem. Kryptę przygotował sobie w 1849 roku sam metropolita. Na wierzchu została położona tablica z napisem: „Wspomnij, Panie, w królestwie Swoim sługę Twego biskupa Józefa. Święci Wileńscy Męczennicy Antoni, Janie i Eustachy, módlcie się do Boga za mnie. Rok 1850". Data oznacza rok przygotowania tablicy, zgodnie z dyspozycją zmarłego władyki.

Znany historyk **Michaił Kojałowicz**, osobiście znający Józefa Siemaszkę, scharakteryzował metropolitę w nekrologu: „Małorus, z mową mimowolnie skażoną polskim wykształceniem, pragnący być ruskim, mimowolny unita, pragnący stać się prawosławnym".

Aleksy Kordiukiewicz

■ Prof. **Witold Zatoński**, lekarz internista, epidemiolog, inicjator kampanii antynikotynowych: „Od 150 lat palenie jest jedną z największych plag ludzkości. (...) Wiemy, że najlepszym okresem do rzucenia palenia jest czas między 20 a 30 rokiem życia. (...) Uzależnienie staje się naprawdę głębokie, gdy się pali ciągle przez 20-25 lat. Potem to już może trwać do końca. Gdy palacz obchodzi 35 urodziny, nałóg zaczyna dopiero korelować z biologicznymi następstwami i człowiek zaczyna powoli to odczuwać. Jeśli nadal pali, nałóg się rozpędza i po osiągnięciu przez palacza 54 roku życia staje przed nim kilka scenariuszy. Albo umiera i już nie zdąży rzucić palenia, albo zaczyna walczyć, ograniczać, leczyć się, różnymi sposobami stara się przedłużyć życie. U regularnych palaczy okres między 35 a 54 rokiem życia to zwykle czas najintensywniejszego palenia. Od tego, jak ten okres spędzimy, zależy, czy umrzemy w 60 roku życia czy około osiemdziesiątki lub później".

■ Dr hab. **Bartłomiej Dobroczyński**, kierownik Zakładu Psychologii Ogólnej Instytutu Psychologii UJ: „Osoby niewykształcone nie dowiedzą się, że najtańsze, ale najczęściej reklamowane jedzenie szkodzi. Zostaną ofiarami systemu, w jakim żyją. Inaczej będzie, gdy od małego wykształci się obywateli w zakresie zdrowego żywienia małym kosztem, by nie sięgali do neolitycznego uwarunkowania: słodko, tłusto, pikantnie. Analogicznie osoby nieuformowane odwołają się do najprostszych, ewolucyjnych popędów, a są to przemoc, konkurencja i seks. Dane nam, aby przetrwać i dążąc do wysokiej pozycji w hierarchii społecznej, zapewnić sobie najlepszych partnerów seksualnych. Tylko edukacja daje nam szansę spojrzenia na wszystko to z zewnątrz i zastanowienia się, czy tego właśnie chcemy. Tylko ludzie, jedyni w przyrodzie, mają szansę na taką refleksję".

■ **Wojciech Antczak**, były pracownik Nadleśnictwa Białowieża, **Andrzej Antczak** (Przegląd, 24-30.07.2017): „Obecny kataklizm zapoczątkowała administracyjna decyzja generalnego dyrektora ochrony środowiska w 2008 roku. Sytuacja pogorszyła się w roku 2011, gdy huragan powalił w puszczy ponad 6 tys. świerków. Większości z nich nie pozwolono leśnikom uprzątnąć. Zakaz usuwania drzew zaatakowanych przez kornika drukarza dał początek masowemu rozmnożeniu się korników, czyli gradacji. (...) Kolejny cios administracja państwowa puszczy zadała w 2012 r. (...) Radość aktywistów z arbitralnego zmniejszenia od tego roku o 60 proc. rozmiaru zadań gospodarczych była przedwczesna. W efekcie bowiem doprowadziło to do zamierania puszczy. (...) Spór toczy się nie tyle o stan puszczy, ile o władztwo nad nią, także polityczne. Jednocześnie jest to łączone z poniżeniem leśników – urzędników państwowych i znacznej części mieszkańców regionu. Media nazywają leśników dewastatorami lasu i ludźmi żądnymi zysku, nie zuważając, że kierują się oni obowiązującym prawem i najlepszą wiedzą zawodową".

■ Bóbr zdobywa Warszawę. A w 1919 roku bobry zachowały się w Polsce jedynie w dorzeczu Prypeci i Niemna. Ich populacja szacowana była na 235 osobników. Dzięki aktom prawnym z lat 1919 i 1934 (bobry pod ścisłą ochroną) ich liczebność wzrosła do 400. Po II wojnie światowej Polska kupiła w ZSRR 26 bobrów. W 1974 roku w Popielnie na Mazurach rozpoczęto Program Aktywnej Ochrony Bobra Europejskiego. Do 1992 roku corocznie kilkadziesiat bobrów wyhodowanych w Popielnie przesiedlano na nowe tereny, dzięki czemu populacja tych zwierząt zwiększyła się do około 2,3 tys. sztuk. W następnych latach sprawy pozostawiono w rękach natury. Dziś w Polsce mamy ponad 100 tysięcy bobrów. Za cztery lata może ich być 140 tysięcy. Dorosły bóbr w ciągu roku może ściąć nawet około 200 dużych drzew. Bóbr żyje przeciętnie do 30 lat.

■ Prof. **Mirosław Karwat**, kierownik Zakładu Filozofii i Teorii Polityki w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego: „Dekomunizacja nie zaczęła się ani dziś, ani wczoraj. Jarosław Kaczyński jej nie wymyślił, choć faktycznie jego środowisko polityczne od czasów Porozumienia Centrum po dzisiejsze PiS cierpi na obsesję dekomunizacji. Elity postsolidarnościowe od początku transformacji miały wielki kompleks „komuny", w Polsce Ludowej chcą widzieć tylko dyktaturę, dominację radziecką, przerwę w historii – i nic więcej. (...) Pierwszą „dezubekizację", polegającą na pozbawieniu uprawnień kombatanckich funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, a wśród nich było wielu partyzantów, przeprowadził rząd liberała Jana Krzysztofa Bieleckiego, znanego z opinii, że rak komunizmu zniszczył Polskę bardziej niż II wojna światowa. Antagonistów z obozów Adama Michnika i Jarosława Kaczyńskiego do dziś łączy przekonanie, że PRL nie była państwem polskim, lecz jakimś protektoratem, z totalitarnym reżimem, który zniewolił naród i walczył przeciw własnemu społeczeństwu. (...) Wspólny wysiłek elit solidarnościowych doprowadził do wejścia w życie blankietowego, gumowego pojęcia zbrodni komunistycznych, zrównanych ze zbrodniami nazistowskimi. Spadkobiercy tylko niuansami różnią się w rozliczaniu PRL".

■ Z rozmowy z o. **Gieorgijem Maksimowem** (Myśl Polska, 21-28.05.2017): „Są rosyjscy i sowieccy ludzie, którzy myślą, że Cerkiew jest zależna od władzy. Dlaczego? Przypuśćmy, że widzą, jak premier czy prezydent przyszedł do cerkwi, potrzymał świecę, spotkał się z jakimś patriarchą. Jednak to nie oznacza tego, co im się wydaje. Cerkiew w Rosji nie otrzymuje żadnego dofinansowania od państwa, wydatki duchownych też nie są opłacane przez państwo. Cerkiew musi płacić za wszystkie komunalne usługi – prąd, ogrzewanie, wodę. Prawnie Cerkiew jest oddzielona od państwa. W takim razie, w czym ta zależność od państwa miałaby się wyrażać? Czy tylko w tym, że raz do roku patriarcha spotyka się z prezydentem? W każdym państwie odbywają się takie spotkania...".

ALBANIA

Jubileusz 25-lecia

25 lat temu, 2 sierpnia 1992 roku, w cerkwi Zwiastowania w Tiranie arcybiskup Albanii **Anastazy** po raz pierwszy stanął przed swoim stadem. Wcześniej, 24 czerwca, został wyznaczony na ten urząd przez patriarchat konstantynopolitański. Te dwa wydarzenia położyły kamień węgielny pod to, co nazywa się prawdziwym cudem – odrodzeniem autokefalicznej Cerkwi Albanii. Z okazji jubileuszu prawosławni Albańczycy wyrażali wdzięczność hierarsze, który pracą i modlitwą odbudowywał i wspierał albańską Cerkiew w jej najtrudniejszych momentach. Punktem kulminacyjnym uroczystości była odprawiona w Tiranie, pod przewodnictwem jubilata, Liturgia.

ATOS

Budowa cerkwi św. Paisjusza

Cerkiew św. Paisjusza Hagioryty budowana jest w *kielii* Zmartwychwstania Chrystusa w Kapsali na Atosie. Budowę prowadzi starzec **Jewfimij** ze swoją wspólnotą, duchowy syn św. Paisjusza i jego ucznia Izajasza. Prace nad budową, które rozpoczęły się w lipcu 2016 roku, za kilka miesięcy mają dobiec końca. O. Jewfimij przyczynił się do popularyzacji biografii św. Paisjusza Hagioryty, zredagowanej przez starca Izajasza.

BIAŁORUŚ

Pieczęć św. Eufrozyny odnaleziono w Połocku

Pieczęć św. Eufrozyny z XII wieku odnaleziono podczas prac restauracyjno-archeologicznych przy południowych murach cerkwi Spaso-Eufrozyńskiego Monasteru w Połocku. Znalezisko, które odkrył **Aleksander Sołowjow**, pracownik miejscowego muzeum, stało się przedmiotem badań uczonych wielu specjalności. – *To wisząca pieczęć, jakich wtedy używano, żeby nikt nie przeczytał dokumentów. Wewnątrz znajdował się szpagat. Pieczęć znaleziono w otwartym w tym roku grobowcu* – powiedział.

– *Warstwa pokruszonych cegieł i zaprawy pokrywała wykopaliska. Grobowiec w żaden sposób nie jest związany z pieczęcią* – uważa **Eugeniusz Torszin**. – *W 2015 roku niedaleko stąd, gdzie znajdowała się dwunastowieczna ściana, odnaleziono jej poprzedniczkę. Przy demontażu galerii ściana runęła. Prawdopodobnie jej pozostałości zostały wtedy zasypane*.

– *Przed nami pieczęć, o której można powiedzieć, że należała do św. Eufrozyny Połockiej* – mówi historyk **Inna Kaleczic**. –*To druga pieczęć takiego rodzaju. Różni się pod względem jakości wykonania. Bardzo staranna robota. Pieczęć jest dwustronna – w tym czasie przywieszano do dokumentów ołowiane pieczęcie, nazywane bullami. Była taka tradycja bizantyńska, staroruska – przepuszczano sznurki przez dokument, potem przez ołowiany balonik i specjalnymi szczypcami plombowano z obydwu stron, otrzymywano odciski. Takie odciski widzimy po obu stronach. Z jednej wizerunek św. Eufrozyny Aleksandryjskiej, opiekunki św. Eufrozyny Połockiej. W jednej ręce trzyma krzyż, druga podniesiona do góry w geście błogosławieństwa… I napis po obydwu stronach wizerunku: „Ijefrosinija". O Eufrozynie Połockiej pisze się „Ofrosinija". Wokół był prawdopodobnie napis: „Gospodi, pomozi rabie Swojej Ofrosinie na mnogaja leta". Pozostał tylko fragment „na mnogaja leta". Pozostała część napisu i oblicze zostały uszkodzone jakimś specjalnym przyrządem. Możliwe, że otrzymano niespecjalnie dokładny odcisk. Z drugiej strony wizerunek Chrystusa Pantakratora, który jest niemal całkowicie zgodny z wizerunkiem znajdującym się na fresku Spaso-Preobrażeńkiej połockiej monasterskiej cerkwi. To znaczy, że jest to pieczęć i świętej, i monasteru*.

GRECJA

Pożar strawił monasterską pracownię pisania ikon

Pożary lasów, które wybuchły w Grecji 13 sierpnia, zagroziły dwóm prawosławnym monasterom w Kalamo, w Attyce – żeńskiemu monasterowi Przemienienia Pańskiego i męskiemu św. Symeona Nowego Teologa. Siedem ewakuowanych mniszek wróciło do swojej nieuszkodzonej przez ogień wspólnoty. Spłonęła pracownia ikonopisania w męskim monasterze, mnichom na szczęście nic się nie stało.

GRUZJA

Święta Królowa

Wystawy i międzynarodowe konferencje poświęcone królowej **Ketevan** odbędą się w Gruzji. Z tej okazji na sześć miesięcy powrócą do Gruzji jej relikwie – takie porozumienie osiągnięto między władzami Tbilisi i Delhi. *Moszczy* trafią najpierw do cerkwi Świętej Trójcy w Tbilisi.

Ketewan była królową wschodniogruzińskiego królestwa Kacheti, pochodziła z królewskiego rodu Bagrationi. Po śmierci męża, króla Dawida, poświęciła się budowaniu cerkwi, monasterów i szpitali. Na początku XVII wieku królestwo Kacheti wraz z większą częścią terytoriów gruzińskich zdobyli Persowie. Za odmowę przejścia na islam Ketewan spędziła dziesięć lat w więzieniu. Szach perski Abbas I obiecywał jej, że zostanie królową Persji, jeśli tylko zmieni religię. Jednak ani tortury, ani przekupstwo nie nakłoniły jej do porzucenia wiary chrześcijańskiej. 13 września 1624 roku została spalona żywcem. Następnej nocy jej szczątki zostały zebrane przez portugalskich misjonarzy – augustianów. W 1627 umieszczono je w katolickim kościele św. Augustyna w indyjskim mieście Goa. Fragmenty relikwii przekazano także bazylice św. Piotra w Rzymie oraz synowi królowej Ketewan, królowi Tejmurazowi I. Ten ostatni umieścił je pod ołtarzem katedry w Alawerdi. Gruzińska Cerkiew kanonizowała Ketewan, przyznając jej tytuł wielkomęczennicy.

Indyjscy archeolodzy odkryli relikwie królowej męczennicy, w tym kości rąk, w starej części kościoła w Goa w 2006 roku. Leżały one pod gruzami kamiennego sarkofagu. Pierwotnie znajdował się on w specjalnej niszy, ale uległ zniszczeniu po trzęsieniu ziemi i zawaleniu się części kościoła.



Rząd Indii przekazał relikwie Gruzji, a badanie DNA potwierdziło, że odnalezione szczątki faktycznie należą do królowej, która nie wyrzekła się Chrystusa.

IZRAEL

Archeolodzy twierdzą, że odkryli miasto

Archeolodzy uważają, że miasto Julia (Betsaida), w którym mieli mieszkać apostołowie Piotr, Andrzej i Filip, znajdowało się na północnym brzegu Morza Galilejskiego i że właśnie udało się im je odnaleźć. Jak podaje izraelskie „Haartz", natrafili na pozostałości łaźni rzymskiej. – *A to oznacza, że było to miasto, nie wioska rybacka* – podkreśla kierownik prac wykopaliskowych, dr **Mordechai Aviam**.

Historyk Józef Flawiusz wskazywał, że żydowski król Filip Herod przekształcił Betsaidę w rzymską polis. Król zmienił też nazwę miasta na Julię. Aktualnie są trzy miejsca, które roszczą sobie prawo do bycia Julią. To, które odkryli archeologowie, ma nazwę el-Araj, dwa inne znajdują się koło jeziora. Po niespodziewanym odkryciu łaźni naukowcy są zgodni, że właśnie el-Araj jest właściwą Julią.

Odkryta przez archeologów starsza warstwa pochodzi z późnego okresu rzymskiego, dwa metry niżej znajduje się warstwa z okresu bizantyńskiego. Warstwa rzymska zawiera naczynia ceramiczne, mozaiki i pozostałości łaźni. Znaleziono również dwie monety, brązową, pochodzącą z późnego II wieku, i srebrnego denara z podobizną Nerona z lat 65-66.

Możliwe, że archeolodzy odnaleźli też zaginioną świątynię bizantyńską. Odkryto bogato zdobione fragmenty ścian, które wskazują na jej znaczenie. W 725 roku Willbald, biskup Eichstätt w Bawarii, odwiedził Ziemię Świętą. W swoim planie podróży opisał pobyt w cerkwi w Betsaidzie, która miała być zbudowana w miejscu, w którym znajdował się dom świętych Piotra i Andrzeja. Naukowcy uważają, że prawdopodobnie jest to ta świątynia.

Archeologowie są zdania, że miasto Julia zostało opuszczone przez mieszkańców w okresie bizantyńskim. Przyczyną upadku miasta było obniżenie się poziomu Jeziora Genezaret.

Wokół sprzedaży domów

Decyzja izraelskiego sądu o tym, że umowa sprzedaży nieruchomości należących do Cerkwi prawosławnej izraelskiej religijno-nacjonalistycznej organizacji „Ateret Koganim" jest zgodna z prawem, wywołała ostrą reakcję patriarchy jerozolimskiego **Teofila**. – *Ta decyzja przechodzi wszelkie granice, można ją wytłumaczyć jedynie pobudkami politycznymi* – powiedział na specjalnej konferencji prasowej.

Sąd uznał prawomocność umowy sprzedaży nieruchomości jerozolimskiego patriarchatu organizacji „Ateret Koganim", która zajmuje się skupem ziemi w chrześcijańskich, muzułmańskich i ormiańskich dzielnicach Świętego Miasta. Nie dopatrzył się żadnych oznak korupcji.

Do umowy doszło w 2004 roku za pośrednictwem trzech podstawionych, zarejestrowanych za granicą, kompanii. W ten sposób nacjonaliści z „Ateret Koganim", dążący do „judaizacji" nieżydowskich dzielnic miasta, weszli w posiadanie kilku historycznych budynków, należących m.in. do prawosławnego patriarchatu, jednego z największych właścicieli ziemskich w Starym Mieście.

Sprzedaż domów wywołała skandal, ówczesny patriarcha **Ireneusz** został zmuszony do ustąpienia z urzędu. Jego następca, Teofil, przez kilka lat procesował się z „Artret Koganim", starając się udowodnić, że zawarta w oszukańczy sposób umowa nie może być uznana za legalną.

ROSJA

Festiwal „Artos" po raz ósmy

Ósmy już, międzynarodowy prawosławny festiwal „Artos", który odbył się w sierpniu w Sokolnikach, został poświęcony setnej rocznicy soboru lokalnego Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej (1917-1918) i ponownemu ustanowieniu patriarchatu.

XX wiek przyniósł rosyjskiej Cerkwi niezwykle trudne doświadczenia. Sobór lokalny był ważnym wydarzeniem w historii państwa i Cerkwi. Stał się też soborem nowych męczenników i wyznawców rosyjskich – ponad połowa jego uczestników zginęła bądź ucierpiała podczas prześladowań.

Uczestnicy festiwalu wysłuchali referatów o najważniejszych decyzjach i postanowieniach soboru, o patriarsze **Tichonie** (**Bielawinie**), zapoznali się z nowymi książkami na temat soborowych ustaleń. Obejrzeli unikalne archiwalne fotografie, i wystawę malarza **Filipa Moskwitina**, prezentującego serię portretów patriarchy Tichona i jemu współczesnych, skorzystali z szerokiej oferty filmów dokumentalnych i fabularnych, poświęconych ponownemu ustanowieniu patriarchatu i życiu Cerkwi w latach 1917-1918. Mogli też kupić ikony, książki, pamiątki, wyroby rzemiosła – nie tylko rosyjskich twórców, także serbskich, greckich, bułgarskich, czarnogórskich, ukraińskich i białoruskich.

Upamiętnienie urodzin

Znaczek upamiętniający 200 rocznicę urodzin archimandryty **Antoniego** (**Kapustina**), zwierzchnika Rosyjskiej Duchowej Misji w Ziemi Świętej, wydano w Rosji. Na znaczku obok portretu duchownego umieszczono cerkiew Przemienienia Pańskiego we wsi Baturino, której proboszczem był

ojciec archimandryty, i Spaso-Woznie-sienski monaster na Górze Oliwnej w Jerozolimie, gdzie został pochowany. Archimandryta Antoni (1817-1894), wybitny rosyjski cerkiewny i państwowy działacz, archeolog, historyk, w ogromnym stopniu przyczynił się, jako zwierzchnik Rosyjskiej Duchowej Misji, do umocnienia rosyjskiej obecności w Ziemi Świętej.

Odsłonięcie pomnika

Odsłonięcia pomnika patriarchy moskiewskiego i całej Rusi Sergiusza dokonał patriarcha **Kirył**. Monument stanął nieopodal monasteru Przemienienia Pańskiego w Arzamasie z okazji 150 rocznicy urodzin hierarchy. W uroczystości uczestniczyły władze cerkiewne i państwowe.

– *Z okazji jubileuszu przez cały rok wspominamy patriarchę Sergiusza, ale w szczególny sposób czcimy go tutaj, w Arzamasie, mieście, gdzie się urodził* – powiedział patriarcha Kirył. – *Lata służby patriarchy Sergiusza przypadły na najtrudniejszy okres historii rosyjskiej Cerkwi. Jako zwierzchnik napotkał takie trudności, z którymi nie mógł zmierzyć się nikt inny. Patriarcha godnie przeszedł swoją drogę krzyżową. I dlatego my, wdzięczni potomkowie, obchodząc 150 rocznicę jego urodzin, zwracamy się do Boga z modlitwą, by upokoił na niebiosach duszę patriarchy Sergiusza i zachował wdzięczną pamięć o nim w naszych sercach.*

– *Obchodzimy dzisiaj naprawdę historyczny dzień* – powiedział gubernator niżnonowogrodzkiej obłasti. – *Nasza ziemia, namodlona od wieków, już niejednokrotnie okazywała Rosji i całemu światu prawdziwy patriotyzm. Wspominamy lata smuty, kiedy praktycznie wszyscy się poddali, i tylko niżnonowogrodczanie powiedzieli: „Nie, dość już smuty", zebrali oddziały i zwyciężyli. Tak więc także patriarcha Sergiusz wessał najlepsze soki swej ziemi, został obrońcą prawosławnej wiary i wielkim patriotą. Razem z całym krajem przeżył wiele tragicznych wydarzeń. W pierwszym dniu wojny wezwał obywateli Rosji, by stanęli do walki z wrogiem. Jesteśmy radzi, że patriarcha dzisiaj jakby powrócił do swych korzeni i stoi tutaj, na tym placu.*

TURCJA

Turcy niszczą cerkwie

Turcy stopniowo rozbierają starożytną ormiańską cerkiew z monasterskiego kompleksu Waragawank w prowincji Wan, wykorzystując kamienie do budowy meczetu. Cerkiew wznoszona była na przełomie VII i VIII wieku. W czasach istnienia ormiańskiego królestwa znajdowała się tutaj rezydencja arcybiskupa Van. Po ludobójstwie Ormian w osmańskim imperium w 1915 roku monaster został opuszczony. Przewodniczący związku ochrony środowiska i spuścizny historycznej Van poinformował, że starożytnej ormiańskiej cerkwi grozi całkowite zniszczenie.

Chociaż władze tureckie zapewniają o „pieczołowitej ochronie spuścizny religijnych etnicznych mniejszości", według danych UNESCO z 913 świątyń, które przetrwały ludobójstwo Ormian, do 1974 roku, 464 zostały całkowicie zniszczone, 252 znajdowały się w ruinie, a 197 na granicy zniszczenia. Media poinformowały, że za zgodą miejscowych władz na terenie ormiańskiego cmentarza zostały ustawione toalety i kabiny prysznicowe, urządzono też parking samochodowy.

UKRAINA

Szykanowani kapelani

Duchowni Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Moskiewskiego Patriarchatu nie mogą pracować w pododdziałach Narodowej Gwardii Ukrainy, poinformował zastępca komendanta tej jednostki **Jarosław Spodar**. – *U nas jest to zabronione. To niedopuszczalne. Jest to nie tylko nasze stanowisko, także stanowisko ministerstwa kultury i sprawiedliwości. Jest odpowiednie rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych, w którym się stwierdza: „Nie są przyjmowani duchowni, których duchowe centra znajdują się na terytorium krajów agresora"* – powiedział w wywiadzie agencji „Ukraińskie wiadomości". Podkreślił, że w Gwardii Narodowej na umowę o pracę pracuje 38 kapelanów, są to duchowni kijowskiego patriarchatu – Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi (obie nieuznane przez kanoniczne Cerkwie prawosławne) i Ukraińskiej Grekokatolickiej Cerkwi.

Według danych ONZ, ofiarami konfliktu na Ukrainie jest już 10 tys. osób. Kijów wcześniej niejednokrotnie oskarżał Moskwę o ingerencję w wewnętrzne sprawy Ukrainy. Moskwa odrzucała te oskarżenia, podkreślając że pragnie uregulowania politycznego i ekonomicznego kryzysu w tym kraju.

WĘGRY

Patriarchat konstantynopolitański i rząd węgierski współpracują

Do oficjalnego przekazania egzarchatowi patriarchatu konstantynopolitańskiego kilku położonych w centrum Budapesztu budynków doszło podczas rozpoczętej 18 sierpnia oficjalnej wizyty patriarchy **Bartłomieja** na Węgrzech. Poprzedziła ją podpisana trzy lata wcześniej umowa o współpracy między patriarchatem konstantynopolitańskim i węgierskim rządem. Podkreśla się w niej znaczącą rolę Cerkwi prawosławnej w historii Węgier. „Cyryl i Metody przynieśli tutaj wschodnie chrześcijaństwo, które przetrwało do naszych czasów. Jeszcze przed założeniem węgierskiego państwa patriarchat konstantynopolitański podtrzymywał stosunki z węgierskim narodem i skierował biskupa Jerofieja, żeby upowszechniał chrześcijaństwo" – stwierdza się w preambule umowy.

– *Teraz na podstawie dołączonego memorandum nastąpiło przekazanie kilku budynków z przeznaczeniem m.in. na administrację egzarchatu, patriarszą akademię, grecką szkołę, a także muzeum sztuki cerkiewnej. Chcemy, by kompleks stał się miejscem rozwoju dialogu, ośrodkiem kultury i spotkań wszystkich ludzi* – podkreślili przedstawiciele patriarchatu.

Na podstawie pravoslavie.ru
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **pravoslavie.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /106/ wrzesień 2017

Wertep, festiwal teatralny, po raz kolejny pokazał, że nie ma sensu ufać własnej „głupocie", uprzedzeniom, bo jak coś jest rzetelne, prawdopodobne – a nie wydumane oszukaństwo – to bez względu na to, czy ogląda to wiejska gospodyni po siedemdziesiątce, czy młody chłopak z Warszawy – to się ogląda. Ludzie po prostu ciągle chętnie słuchają historii i w tym tkwi cała tajemnica Wertepu – mówi Dariusz Skibiński, pomysłodawca i dyrektor festiwalu.



Dobre historie są zawsze w cenie

Zakończona w niedzielę 13 sierpnia w Białowieży dziewiąta edycja Międzynarodowego Festiwalu Tetaralnego Wertep była wyjątkowa pod wieloma względami. Przede wszystkim trwała trzy, a nie jak dotąd dwa, weekendy.

Festiwal jak każdego roku rozpoczął się w Starym Dworze nad Siemianówką, by powędrować do Narwi, Bielska Podlaskiego, Policznej, Dubicz Cerkiewnych, Orli, Hajnówki, Kleszczel i na końcu Białowieży.

Tegoroczny program był też bardzo zróżnicowany – jak zwykle różnorodne atrakcje dla dzieci









uzupełniały w tym roku wyjątkowe wydarzenia artystyczne.

Widzowie Wertepu z pewnością



zapamiętają niezwykłą paradę Deborah Hunt „Dance Macabre". Dla tej artystki przygoda z Wertepem, ale i podlaską wsią, rozpoczęła się kilka tygodni temu. Wszystkie niezwykłe maski powstały bowiem w czasie dwutygodniowych warsztatów poprzedzających Wertep. Wzięli w nich udział wolontariusze z Ukrainy i Polski.

Widzów zachwyciły też akrobatyczne popisy La Cirque Jaffarson. Trójka młodych Francuzów przyjechała do naszego województwa dużo wcześniej i program tworzyła na miejscu, chcąc swoje wrażenia, przeżycia z tego przyjazdu wpleść w treść przedstawienia. Powstało widowisko zabawne i wzruszające jednocześnie.

Tegoroczny Wertep to też świetne przedstawienie polskich teatrów ulicznych – teatru A3, teatru Feta z Gdańska, ale i cieszące oko i zmysły przedstawienia zza wschodniej granicy – Mewy, lwowskiegoTeatru Woskresinnia z Ukrainy oraz Mignone – petersburskiej grupy Mr.Pejo's Wandering Dolls.

Nie można zapomnieć o koncercie Elżbiety Rojek i Karoliny Cichej. We wnętrzach orlańskiej synagogi usłyszeć mogliśmy mieszankę pieśni wszystkich mniejszości etnicznych i religijnych, które od wieków zamieszkują Podlasie.

– A co do przyszłości – za rok świętować będziemy X edycję Wertepu. Podzielcie się z nami waszymi sugestiami co do kształtu rocznicowej edycji. Puśćcie wodze fantazji i stwórzcie własne menu. Niech składa się z tego, co ulubione, doprawione nutą nowości i marzeń – zaprasza **Dariusz Skibiński**.

fot. **Roman Davydenko**

Тры міесэці з гісторыі одного поля

Як вядомо, жыто ростэ дэвэть міесэцюв. Бо туолькі часу мінае од его посіеву до жніва. Можна той час порувнаті до жыця чоловіека во чрэві матэры. Коб явітіся на світ вуон тые міесэці прожывае нэбачно для всіех, злучоны со своею корміцелькою. Жыто, своімі корэньчыкамі корміцце од зэмліе. А посля выдае зерно, которэ почынае новы круговорот жыця.

Особліво сымболічны в односінах до жыця чоловіека е тры остатні міесэці жыця жыта. В квэтнёві – маёві жыто подымаецце з зімового сну, буйнее, ідэ в колос. В чэрвцові жыто рунее – цвітэ, наліваецце зерном, почынае спіеті. В ліпцові – спее, а зерно становіцце такім, которэ можэ знов даті жыце наступному поколеню. Зрэшто, сама назва сынонімічна – жыто-жыце.

В прошлум рокові нашэ жыто было засіеянэ на полю со старою назвою Ліханёва. Можэ была то колісь *ліха ніва*, бо зэмля тут, правду, ліхая – пятуй клясы. Ліханёва росположона пры Зімовуй дорозі, котора вэдэ до Рэйпіч (Раек). Складаецце з полюв і лонок, которы од всходу дотыкают рыкі Біелуй. За ею вжэ лонкі господарув левкуовскіх. По сусіедску з Ліханёвою іншы студзіводскі урочыска – Подоўжне, Надаткі, Надіелкі, Болото, Груд, Сэрэдні Рыезкі, а на полудэнёві злучаецце з

Жэнціе з Маліннік
Пэршы снуоп зажынае Лена Даніловіч, ткачыха з Дзятловіч; 10 ліпеня сёго року

Громаднім Ліесом. Зрэшто, на тэпэрышнюм полёві Ліханёва до початку XIX в. руос сосновы буор. Почалі його потроху вырэзуваті власнікі студзіводского маёнтку. З часом полесные зэмлі загосподаровалі, называючы Старымі Порубамі. Іх часткою е Ліханёва.

Але тут, на Ліханёвуй, людэ прожывалі давным-давно. Можэ шчэ пэрэд тым, як в 1514 рокові бельскі вуойт Іван Сегеневіч почав садіті сельцо Студіводы. Археологі знаходілі тут на полях сэрэднёвечну кераміку. Месце было зручнэ для осаднікув – сухое, з одного боку ліес, а з другого лугі і рыка Біела. А зараз за рыкою, на зэмлях Левковскіх знаходіцце Бугор – обшырны згурок, дэ міела стояті Воскрэсенска цэрква, в 1377 рокові пэрэнэсёна на бельскі Дубічы.

Нэ даром і тэпэр осаднікув потягнуло на Ліханёву. За остатніх пару ліет тут збудовало собіе домы трох господаруов. Одін з





іх – **Марцін Ручай**, внук слынного студзіводского скрыпача і росказчыка **Юхіма Кірылюка**, якого рэзьба стоіт пры студзіводскім музеёві. Жуонка Марціна – **Марта**, іконопісец, абсольвентка бельскуй іконопісную школы. І так, на Ліханёвуй, в тіенёві Громаднёго Ліеса повстают лікі святых...

А по сусіедску з майстэрнёю іконопісцув росло мое жыто. Колі пудходіло вжэ шостого мая, дэнь св. Георгія Победоносца, жыто, посля холодного початку вэсны, пуднялосе. Спэклі мы коровая, круглого, коб по жытові покачаті і ёго тым шчэ лепі ожывіті. Взялі всіех своіх діті, а таксама запросілі гості, которы само прыехалі до нас – з Дзятловіч коло Лунінца і Любаня нэдалеко Слуцка. Зайшовшы на поле, помолілісе пры жытові, сказавшы "Царю Небесный". Найстарыейшы мужчына, а быв ім **Міколай Юніцкі** з Любаня, взав в рукі коровай, положоны на ручнікові. Сын нюс свяшчону воду, которою освяшчав поле. А далей ішла господыня з торбочкою со свяшчонымі скоролушчынамі од пасхального стола, якіе закопувала на рогах поля.

Колі вжэ обышлі кругом всё поле, ручнік розложылі на жыто і положылі на ім коровай – вуон сховавсе в збуожу, значыт дочыкаемсе урожаю. Посля шчэ коровай пэрэкотілі пару раз по ручнікові, розослалі плахту і на юй розложылі почастунок. Сонэчко світіло, жаворонкі співалі, а дочушка-шчэбэтушка біегала по зэлёнум жыті, шукаючы цукеркув, которы тато пороскідав зранку.

А посля над Ліханёвою понэслісе стіхіры Пасхі і песня-рогулька до св. *Юрыя*:

Святы Юрэ-Рыгорэ,
Пуйді до Бога по ключы
І одомкні зэмліцу,
І выпусть-выпусть травіцу,
Покрый зэмліцу травою,
А дэрэва лісточком,
Нас молодэнькіх віночком...

І так, покінулі мы з добрым словом нашэ жыто. І з надеёю на тое, коб воно росло, спіело і добры плён дало. Шчэ того самого дня, вжэ буольшою громадою, з Жэмэрвою і Хмелевцямі, выбралісе мы обходіті посевы озіміны в Пашкувшчыні орленскуй гміны. Людэ вжэ нас чыкалі; в прошлум рокові мы тут жалі жыто.

Ціелы чэрвень наглядалі за нашым жытом на Ліханёвуй, як руніело, налівалося в колос. Сіеты час быв спочатку холодноваты, а посля мокры, і тому жыто довго было зэлёнэ, а зярко мягке. З сэрпом прышлі мы на поле два дня пэрэд Пэтром, 10 ліпеня. Знов, як на *Юрыя*, на зажынкі прыбылі до нас госці – з



Жэнціе з Тонежа
Діеті злапалі пэрэпыліцю; З жніўня сёго року

Дзятловіч і Кобрыня. Був і гончар **Мірослав Пехоўскі** з Чорнуй Всі Косцельнуй. Пэршы снуоп нажала найстарыейша жэншчына – **Лена Даніловіч** з Дзятловіч. Той снуоп прынэслі мы додому – вуон будэ ждаті до коляды, коб статі “госцем” і поставітісе на покуті, пуод іконамі.

Зажынкі былі короткімі, коб нэ намучытісе занадто. Бо якіе будут зажынкі, такое іціелэ жніво будэ. Але пару жнівных пісэнь трэба было заспіваті, а вжэ обовязково “волоку”:

Ой, чыя то волока,
Доўгая і шырока
На юй жэнчыкі жалі
Сэрпікі поломалі.
Наша пані домуе -
Нам вэчэру готуе.
Ештэ госточкі, ештэ,
Коб голодны нэ былі.
Коб голодны нэ былі
І мэнэ нэ суділі...

Згуодно со словамі песні, тут жэ і зробілі на полю почастунок. А после взялі цымбалы, бубон і гармонію ды загралі пуольку “Свіні в рэпі” і іншы мэлёдыі. Ліханёва вжэ давно нэ чула такеі музыкі.

Зажынкі на полю Ліханёва выпалі якраз в пэршы дэнь этнографічных варштатув “Ліето з традыцёю”, которы вжэ 14 раз організовав студзівуодскі музей. Тому і свіежа жытня солома вэльмі прыдалася. Пуод добрым оком і рукою Ірыны Гулюты з Кобрыня діеті выплпіталі з соломы разны оздобы. Солому таксамо ужывалі пры тканю ходнікув, вплітаючы еі міежду шматкі. Шчэ после будэм солому з зажынок ужываті – для выробу коробок, талюркув і на павукі.

Варштаты проходілі, а жыто спіело. В міжчасі справілі мы 21 ліпеня зажынкі в Вілінові мельніцкуй гміны. А на Ліханёву вэрнуліся 29 ліпеня, коб жыто жаті сэрпамі і косіті косою. Было вжэ нас буольш, чым на зажынках. З Маліннік прыехала **Вера Нічыпорук** з мужом **Петром** і своячкою **Валёю Троц**. З Бельска прыбыла **Лідыя Маліноўска**, з Белостоку **Эва** і **Марко Заброцкі**, а з Чохуов Заболуотных – **Валя** і **Сергей Лукашукі**. З Гданска спецыяльно на жніва прыехала спевача група “Źdźbło” (Стэбло), котора співае пуольскі і руські песні. Жніва нэ моглі тожэ одбытіся бэз радоснуй студзівуодзкуй Жэмэрвы, а таксамо маленького хлопчыка, сына Богуміла Козловского, которого положылі до жнівнуй колыскі. Але головнымі жэнцямі былі тут гості з Тонежа, вёскі росположонуй на белорускім Полесю, нэдалеко од старожытного места Турова.

“Тонежанкі” то одна з найцікавшых на Полесю фольклёрных груп, з прэбогатым рэпертуаром, нэповторною выконавчою манерою і вэлікімі ведамі про традыцыі і звычаі. До Тонежа ездят вэдучы белорускі фольклорысты і этномузыкологі. Дякуючы Ірыне Мазюк з Мінска група раней прэзэнтовалася вжэ в Пуольшчы – на Ягелонскім ярмаркові в Любліні. “Тонежанкі” колісь былі вэлікім хором, которому акомпаніявав проф. Міхаіл Дрынеўскі (сам родом з Тонежа). Тэпэр співае тут 15 чоловіек, групою кіруе **Тамара Прыбыловец**.

Прышовшы на поле Ліханёва, всіе постановіліся пэрэд жытом і сказалі молітву “Отче наш”.



Пэрша до жаття прыступіла Вера Нічыпорук – постопянка (жнея якая вэдэ). Загучала дэрэвяна труба, зроблёна чэрэз Сергея Лукашука, а после жнівна песня “Олень по бору ходіт”:

Олень по бору ходіт
За ім Ясенько едэ.
Стрэльбоньку набівае,
В оленя потрапляе.
Нэ попав у оленя,
Но в біелого камэня.
Нэ попав в оленіцу,
Но в хорошу діевіцу...

Труба нэ выпадково прогучала на Ліханёвуй, якраз в той час. Шчэ до нэдавна на дрогічынскім





Жэмэрва на Ліханёвуй
Почастунок после жніва

Полесю (вёска Леснікі) быв звычай трубіті в трубы-сурмы на свято Іліі Пророка, якое прыпадае 2 жніўня. Такім способом оголошалі, што вжэ набліжаецце осэнь. І правда, колі вжэ сожнэмо жыто і почынаем ораті "чорнуху", то, можна сказаті – осэнь наступае.

После голосу трубы над Ліханёвою понэсліся протяжны і гучны, жнівны песні з Тонежа:

Жніце жнейкі, жнейкі жнеце
Самі себе не пожнеце.
Ой, сонейко мое яснэ
Яке сонцэ ты прэкраснэ.
Як ранейко ты устаеш,
А познесенько заходзіш.
Хоць я ранейко устану
Цебе у полі я застану.
А познесенько захожу
Цебе в поле зноў нахожу.

Коб заспіваті з Тонежанкамі разом, трэба добрэ наслухатіся іх спеву, особліво протяжных песень. Бо гармоніі, скалі і рытмы в іх особлівы і нэпросты, троху іншы од традыцыйного пудляшского спеву. Характэрны тут запев пісэнь мужчынскім голосом, до якого, на другуй фразі куплета, долучаецце жэнскі подголосок.

До Студзівуод з Тонежанкамі прыехав 77-лietні **Міхал Окуліч**, якога чысты запев од разу пэрэносів нас в іншу часову простору песні. Колі жэншчыны жалі жыто, дядько Міхал, глянувшы на нэдалекі левковскі лугі, почав сенокуосну піесню:

Косіў козак сено ек була погода,
Плакала дзеўчына ек була молода.
Плакыела, плакала, шчэ й з лічка змарніела
Навіерно дзеўчына веночка жалела.
Веночка жаліела, шчэ й цёмное ночы,
Роспусціла косу, насцеліла плечы.
Косу роспусціла, плечы усцеліла,
Вышла за ворота жалю наробіла.
Ой, жалю, мой жалю, велікой печалю,
Любіў козак дзеўку, цепер покідаеш.
Ой, кідай, не кідай, я плакаць не буду,
Я дзеўка молода, без пары не буду.

На тую песню, з іншого міесця поля, одгукнулася Вера Нічыпорук з Валёю Троц:

Ой, жала я жытэчко пры дорозі,
Віешала колысочку на бэрозі.
Ой, жала я жатэчко пры доліні,
Віешала колысочку на каліні...

Тогды молодёж з Жэмэрвы, згледівшы, што жэнціе вжэ потоміліся, зачала співаті:

Ой, паныку наш, наш
До домоньку час.
Нэдалеко ліщчынонька,
Як выбіжыт воўчынонька,
Полякае нас!

І тогды, як говорыт жнівна песня з Вэрполя: "Росходывся наш пан господар по полю, збыраючы всю чэлядоньку до столу. Ой, збырайтэся вся чэлядонька до столу, находыліся быз той дэнёчок по полю". Всіе выпростовалісе од сэрпа, пудышлі до господара і посядалі вкруг. Які смачны быв малінніцкі коровай, тонежанскі сыр і студзівуодскі палюшкі! А над всіем было сіне нэбо, по якому плылі біелы хмаркі. Міло холодів віетёрок, навэт пару

капэль дождҗу поросіло зэмлю. Хотя на полю Ліханёва были вжэ пару годін, ідті зсюль нэ хотіелося.

Нэ пляновалі мы однак тугды закунчыті жнів на Ліханёвуй і трэба было ворочатісе до клуні. А тут одбылосе урочыстэ пэрэказане для студзіводского музея трубы і гуслюв, які властноручно створыв Сергей Лукашук.

На Ліханёву вэрнувсе я з дітьміма за пару дён – 3 жніўня, коб злапаті пэрэпыліцю. Допомогла нам на сіеты раз тэхнолёгія – рэшту жыта змолотів комбайн, а остатні нэзжаты колоскі діеті зобралі в пэрэпыліцю. На вэрхові прывязалі кветкі, а на зэмлю положылі хлієб – для зайчыка.

Жытні колоскі з пэрэпыліці понэсэмо святіті на Сплене до цэркві, а посля посвячонэ зерно кінэм знов в зэмлю. І так обновім жыце жыта.

Тры міесэці на Ліханёвуй былі сёго лієта нэзвычайны. Одвіедало поле мнуого добрых, цікавых люді, которы ожывілі ёго голосамі і радостною працёю. Шчэ раз поняв я хорство того міесця і важносць для студзіводскуй культуры. До Ліханёвуй вэдэ Зімовая дорога, таксамо одіная такая в своюом роді. Маем надіею і Бога просім, коб ніхто і нішто нам ніколі нэ забрало тэйі красоты.

Дорофей Фіонік
фото **Максіма Фіоніка**

Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach zaprasza

16 WRZEŚNIA NA SEMINARIUM „STUDZIWODY – DZIEDZICTWO SIEHIENIEWICZÓW I TROJANOWSKICH”.

Seminarium poświęcone będzie kulturowym wartościom przedmieścia. Będzie można posłuchać odczytów prof. Antoniego Mironowicza (Siehieniowie-Siehieniewicze Studziwodzcy), Wojciecha Konończuka (Feliks Trojanowski – wielki reformator ze Studziwód), Doroteusza Fionika (Obraz Studziwód w XVII i XVIII wieku na podstawie ksiąg metrykalnych cerkwi Preczystieńskiej). Na gości czekają wystawy oraz koncert tradycyjnego folkloru w wykonaniu grupy „Chocisławianie” z Chocisławia na Polesiu małoryckim.

Wydarzenie jest organizowane w ramach „Prologu – III Dni Piśmiennictwa Słowiańskiego” oraz Europejskich Dni Dziedzictwa.

17 WRZEŚNIA NA ŚWIĘTO DO ROMANÓWKI.

Już po raz piąty wieś Romanówka w gminie Siemiatycze zaprasza na swoje święto. Po raz pierwszy wydarzenie zorganizowano w 2013 roku, gdy wieś obchodziła jubileusz 100-lecia nadania nazwy. Władyka siemiatycki Jerzy wyświęcił wówczas kaplicę z rzeźbioną w drewnie dębowym ikoną *Spasa Nierukotwornoho* oraz dwa krzyże. Odbył się koncert jubileuszowy z udziałem blisko stu wykonawców z Polski i Białorusi.

O godzinie 14.00 mieszkańcy i goście zbierają się na modlitwę przy kaplicy. Godzinę później, przy świetlicy wiejskiej, rozpocznie się koncert zespołów białoruskich z Podlasia, Polesia i Mińska.

Od początku organizatorami święta jest Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, parafia św. ap. Piotra i Pawła w Siemiatyczach oraz sołtys i mieszkańcy wsi Romanówka. W tym roku wydarzenie odbywa się w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa.

2 верасня 1998 г. памёр Мікалай Гайдук, наш рэдакцыйны калега, выдатны журналіст, пісьменнік, паэт, педагог, грамадскі дзеяч, чалавек, які зрабіў шмат, каб беларуская мова не растварылася ў моры польскай мовы. Ніжэй друкуем прысвечаны яму тэкст іншага знакамітага беларускага пісьменніка Віктара Шведа.

У беларускасці наш паратунак

Так незвычайна склалася, што мы, ураджэнцы Беласточчыны, пазнаёміліся ў Беларусі. Нававыбраныя на II З’ездзе ўлады Галоўнага праўлення Беларускага грамадска-культурнага таварыства — Уладзімір Станкевіч — старшыня і я — сакратар былі запрошаны кіраўніцтвам Таварыства „Радзіма” ў кастрычніку 1958 года ў Мінск у справе далейшага супрацоўніцтва.

Ведалі мы аб тым, што ў Мінску на Філалагічным факультэце Беларускага дзяржаўнага ўніверсітэта вучыцца вядомы ў Беластоку Мікола Гайдук. Ён ужо ў 1957 годзе на старонках „Нівы" апублікаваў свае вершы, аграмадныя гістарычныя артыкулы пра Драгічын і Супрасль, нарысы пра славутых ураджэнцаў беларускай зямлі Уладзіслава Сыракомлю, Яўфіма Карскага, Адама Міцкевіча, а таксама дасылаў карэспандэнцыі з Мінска.

Мы не былі яшчэ з ім асабіста знаёмы і тым больш усцешыліся нашай сустрэчай у будынку ўніверсітэта. **Мікола Гайдук** вельмі ўзрушыўся і сардэчна з намі прывітаўся. Успомніў, што мае многа блізкіх сяброў, што з



ім вучацца вельмі таленавітыя беларускія паэты Рыгор Барадулін і Генадзь Бураўкін. Мікола адшукаў іх на сардэчную з намі размову тым больш, што я ўжо з імі пазнаёміўся ў 1957 годзе, калі яны з групай студэнтаў філалогіі пабывалі на кафедры беларускай філалогіі ў Варшаве. Трэба прыгадаць, што Мікола Гайдук, будучы студэнтам БДУ, наладзіў знаёмства і сяброўства таксама з іншымі студэнтамі, пра якіх пазней пісаў у „Ніве”, калі яны сталі выдатнымі пісьменнікамі, мастакамі, музыкамі, акцёрамі, вучонымі.

Мікола быў вельмі цікавы навінак з Беласточчыны; распытваў пра дзейнасць Беларускага таварыства ў Польшчы, пра „Ніву”, а таксама пра Беларускае літаратурнае аб’яднанне. З вялікім хваляваннем успомніў Мікола, што ён пазнаёміўся з прыгожай дзяўчынай Лідзіяй, таксама студэнткай філалогіі, якая ўжо выехала на Беласточчыну. „Неўзабаве сустрэнемся на Беласточчыне — сказаў Мікола — будзем разам працаваць на роднай ніве”.

Закончыўшы мінскі ўніверсітэт у 1959 годзе, Мікола вярнуўся на Беласточчыну да свае прыгажуні Лідзіі. Пасля нядоўгай працы ў „Ніве” ў Беластоку пасяліўся ў Бельску-Падляшскім, дзе працаваў настаўнікам, а потым стаў дырэктарам Бельскага беларускага ліцэя, каб у 1971 годзе зноў вярнуцца ў „Ніву”.

Нашае супрацоўніцтва ў гэты перыяд абмяжоўвалася да ўдзелу ў працы Беларускага таварыства, „Нівы”, у літаратурных семінарах і ў аўтарскіх сустрэчах. Мікола запрашаў мяне на аўтарскія сустрэчы ў Бельскі беларускі ліцэй, а таксама выязджаў са мною ў іншыя школы, у якіх навучалася беларуская мова. Назіраючы, што вучні вельмі сардэчна ўспрымаюць мае вершы для дзяцей, Мікола калісьці падсумаваў: „Дарагі Віктар, ты як найбольш пішы такіх цудоўных вершаў, у якіх столькі патрыятызму, столькі любові да роднай мовы, роднай зямелькі і працавітага беларускага народа”. Ці ж можна было не старацца чуючы такое прыгожае заахвочванне? Цяпер сабе ўсведамляю, што напэўна так сама гаварыў Мікола да сваіх вучняў.

Ад шасцідзясятых па васьмідзясятыя гады, калі я працаваў інструктарам ГП БГКТ адказным за дзейнасць Варшаўскага аддзела, я запрашаў Міколу з дакладамі па гісторыі і культуры Беларусі. Помню, што ў васьмідзясятых гадах праводзіўся цыкл „Гутаркі аб роднай гісторыі”, а Мікола раскрываў такія тэмы як „Рэнесанс на Падляшшы”, „Супрасльскі манастыр як цэнтр культурна-асветніцкага жыцця ў XVI-XVII стагоддзях на землях сённяшняй Беласточчыны”, „Брэсцкая унія" і іншыя. Гэтыя даклады карысталіся вялікай папулярнасцю не толькі таму, што Мікола ўмеў вельмі цікава расказваць. Было вядома, што на сустрэчы аўтар скажа многа больш, чым напісаў у „Ніве”. Да таго ж гэта быў погляд беларуса, які не заўсёды быў згодны з польскім друкам. Мікола меў так глыбокія веды, што весці з ім палеміку было практычна немагчыма. Пераканаліся аб гэтым некаторыя журналісты з польскамоўных беластоцкіх часопісаў, а нават Сакрат Яновіч.

Прыгадваецца мне адна такая дыскусія-палеміка з панадворка Беларускага грамадска-культурнага таварыства ў 1975 годзе, якое штогод выдавала „Беларускі каляндар”. Дыскусія тычылася праблемы якім павінен быць наш каляндар. З пасяджэнняў прэзідыумаў і рэдакцыйных калегій перайшла яна ў „Ніву”. Многія дзеячы выказваліся тады на гэтую тэму. Помніцца, што мне таксама дасталася ад Міколы. Спыніў ён нашу балбатню сцвярджэннем: „Які самі зробім, такім ён і будзе”. І ўзяўся за рэдакцыю календара на 1976 год. Здаецца, апрацаваў ён аж дзевяць календароў і зрабіў літаратурную апрацоўку да трох, якія рэдагаваў Уладзімір Юзвюк.

Цяпер з перспектывы каля сарака гадоў можна ацаніць, на якім высокім узроўні была гэтая праца.

Калі я знаходжуся на панадворку БГКТ, хачу яшчэ прыгадаць, што Мікола Гайдук вельмі любіў беларускія народныя фэсты, арганізаваныя Беларускім таварыствам. Помню, што ў васьмідзясятыя гады мы найчасцей сядзелі з Міколам за супольным столікам на фэсце ў беластоцкім парку і падпісвалі чытачам свае кніжкі. Мікола прыслухоўваўся, што спяваюць на сцэне нашы мастацкія калектывы і надзвычай цешыўся калі вылоўліваў беларускія фальклорныя песні, запісаныя ім у канкрэтнай вёсцы. Мяне захапляла, што ён помніць не толькі песні, а таксама вёскі і бабуль ці дзядуляў, якія іх выконвалі. Сам, будучы аўтарам слоў да некалькіх песень, цешыўся, таксама, калі траплялiся песні на мае словы.

Часта даводзілася нам удзельнічаць у камісіях дэкламатарскіх конкурсаў „Роднае слова”, арганізаваных БГКТ для школьнай моладзі. Мы шчыра захапляліся выдатнымі маладымі дэкламатарамі.

На пачатку дзевяностых гадоў рэдакцыя тыднёвіка „Ніва” ў сваім памяшканні пачала ладзіць сяброўскія сустрэчы з пісьменнікамі, якія дэбютавалі на яе ста-

ронках. Помніцца ўрачыстасць, якая адбылася 18 жніўня 1992 года, прысвечаная 35 гадавіне літаратурнага дэбюту Міколы Гайдука. Якраз дэбютаваўён вершамі пра каханне, якія прыгожа прачытаў галоўны рэдактар тыднёвіка Віталь Луба. Здавалася, што пасля нашых захапленняў Мікола вернецца да паэзіі. Аднак гэта не здарылася. Няпоўны год пазней 29 мая 1993 года ў рэдакцыі „Нівы" адзначалася шасцідзясятая гадавіна з дня нараджэння Міколы Гайдука. На сустрэчу прынёс ён не вершы, а свежавыдадзеную ў Мінску кніжку гістарычных эсэ „Паратунак". Гэта быў падарунак юбіляру ад выдавецтва „Юнацтва". Помняцца незабыўныя радкі рэдактара кніжкі і выдатнага паэта Сяргея Панізніка:

Не шчасціла продкам
планіда-фартуна.
У беларускасці наш Па-ра-ту-нак!
І вы як ваяр, паглядзіце наўкола:
Што сеялі
— рунню шугае, МІКОЛА.

Калі ідзе пра паэзію, то трэба сказаць, што Мікола Гайдук вельмі любіў вершы. З 1991 года вёў ён калонку „На беларускай старонцы" спачатку ў выданні „Tygodnik Podlaski" а пазней аж да смерці ў штомесячніку „Przegląd Prawosławny", у якой змяшчаў вершы рэлігійнага характару. Давала гэта магчымасць пазнаёміцца з паэзіяй многіх беларускіх аўтараў, сярод якіх трэба прыгадаць Ларысу Геніюш, Алега Бембеля і Галіну Тварановіч.

Любоў да паэзіі выклікала думку спалучыць праваслаўныя святыні Усходняй Польшчы з беларускай духоўнай паэзіяй. І так узнікла кніжка „Храм і верш", выдадзеная ў Беластоку ў 1993 годзе Праваслаўным брацтвам святых роўнаапостальных Кірылы і Мяфодзія. Пасля дваццаці гадоў, у параўнанні з сённяшнімі вялікімі і вельмі каляровымі выданнямі, яна выглядае скромна, але не траціць сваёй сілы „здзейсненага розумам і рукамі натхнення", як напісаў у прадмове Мікола Гайдук.

А да мяне ў нейкай нашай размове Мікола сказаў: „А можа б ты, Віктар, паспрабаваў напісаць крыху вершаў рэлігійнага характару?". Я адгукнуўся на просьбу сябра, між іншым, вершамі „Вадохрышча", „Благавешчанне", „Ушэсце", „Спаса", якія Мікола ўключыў у згаданую кніжку.

Я ўпэўнена магу сказаць, што Мікола заахвоціў мяне пісаць вершы, звязаныя зрэлігійнай абраднасцю на Падляшшы. Калі я расказаў Міколу аб сваім дзіцячым калядаванні ў Раждажаство Хрыстова, Мікола раптам запытаўся: „А можа б ты, Віктар, паспрабаваў напісаць крыху калядак на беларускай літаратурнай мове?" Я неўзабаве напісаў шмат калядак, якія ў музычнай апрацоўцы калектыву „Апопіт" выдаў тадышні дырэктар Гайнаўскага дома культуры Мікола Бушко.

З гонарам хачу прызнацца, што Мікола Гайдук меў вялікі ўплыў на маю творчасць. Умеў падказаць і не пакрыўдзіць. Вельмі сардэчна ставіўся да мяне і маіх вершаў. На мой паэтычны зборнік „Дзяцінства прыстань" адгукнуўся ён змястоўнай рэцэнзіяй „У прысутнасці дзяцінства".

Здаецца мне, што Мікола Гайдук найлепш з „белавежцаў" валодаў беларускай літаратурнай мовай. Ён памагаў мне ў маёй перакладчыцкай працы, растлумачваючы некаторыя словы, якіх я не знаходзіў у слоўніках. Хапіла пазваніць Міколу і была поўная развязка. Быў жа ён разам з жонкай Лідзіяй аўтарам кніжкі „Беларуская мова: граматыка для V-VIII класаў" і іншых падручнікаў па роднай мове. Я нават сёння цешуся, што мог Гай дукам дапамагчы, робячы карэктуру некаторых апрацаваных імі кніжак.

У Міколе я знаходзіў таксама вялікую апору перад атакамі некаторых псеўдаўкраінцаў. Агітавалі яны мяне, каб у сваёй творчасці я пераходзіў на дыялект вёскі Мора. Мікола вельмі непакоіўся, што ў нашым беларускім асяроддзі на Беласточчыне паявіліся такія людзі і раіў, каб гэтага не рабіць. Гаварыў, што трэба шанаваць і ўмацоўваць нам нашу беларускую літаратурную мову. Яна ў нас адзіная, родная і светлая. І трэба яе шанаваць.

* * *

Калісьці ў нядзельку выбраўся я на праваслаўныя могілкі на Выгодзе ў Беластоку. Адшукаў магілу Міколы Гайдука, ля якой стаяла яго жонка Лідзія. Сказала яна мне, што яна раз у тыдзень наведвае магілу і наводзіць тут парадак. І сапраўды, на надмагільнай пліце не было ніводнай пылінкі. Паважаная Лідзія пасля смерці мужа і выхаду замуж дачак Марыі і Іаанны засталася сама жыць у вялікай хаце. Неўзабаве прадала гэтую хату і купіла сабе двухпакаёвую кватэру. Адведаў я Лідзію ў гэтай кватэры, уручаючы ёй „Беларускі каляндар" на 2000 год з вершам „Памяці Міколы Гайдука".

Яна расказала мне гісторыю смерці мужа. Мікола любіў вандраваць па лесе, любавацца яго прыгажосцю, любіў збіраць ягады і грыбы. 2 верасня 1998 года выехаў ён у родны міхалоўскі лес. Сабраў ужо амаль поўны кошык грыбоў і быў надта стомлены. Угледзеў яшчэ пад дрэвам адзін грыбочак, стаў на калені, працягнуў руку ды не паспеў схапіць грыбочка. Так і памёр з працягнутай рукою, прытуляючыся да роднай зямелькі, якая прыгарнула яго назаўсёды. Хворае выпрацаванае яго сэрца не вытрымала. Як выслужаны гадзіннік спыніла свой ход.

Гэтая сумная аповесць аб смерці майго сардэчнага друга давяла мяне да слёз і я не мог не адгукнуцца новым вершам „Лес і лёс". Да гэтага верша

вельмі прыгожую музыку напісаў малады кампазітар і дасканалы спявак Янка Хоха. Песню пачулі ўпершыню ўдзельнікі канферэнцыі, прысвечанай 80-й гадавіне з дня нараджэння святой памяці Міколы Гайдука, якая адбылася 8 чэрвеня 2013 года ў Бельскім беларускім ліцэі. У гэтым ліцэі Мікола настаўнічаў і быў дырэктарам у шасцідзясятыя гады. Трэба прыгадаць, што ўжо надта хворую Лідзію на пачатку 2012 года наведаў я з Ленай Глагоўскай, якая з сустрэчы з жонкай Міколы пачала падрыхтоўку вышэйзгаданай канферэнцыі.

На вялікі жаль і **Лідзія Гайдук**, таленавітая настаўніца беларускай і рускай моў у сярэдніх школах Бельска-Падляшскага і Беластока, сааўтарка падручнікаў беларускай мовы і літаратуры пасля цяжкай хваробы адышла ў вечнасць 31 студзеня 2013 года на 79-м годзе жыцця.

Няхай ім беластоцкая зямелька будзе пухам.

Лес і лёс
Памяці Міколы Гайдука

Любіў надзвычай лес Мікола,
Лес быў яму царквой, прастолам
І адпачынкам у цянёчку,
Тут ягады збіраў, грыбочкі.
У дзянёк цёплы, вераснёвы,
Паехаў ён у лес сасновы.
Праз дзень грыбочкаў
поўны кошык
Ставаўся непасільнай ношай.
І замарыўся ён да смерці
Са сваім надта хворым сэрцам.
Угледзелі Міколы вочы
Раптам яшчэ адзін грыбочак.
Стаяў Мікола на каленях,
Грыбок, здалося, мае ў жмені...
Ды раптам кроў застыла
ў жылах —
Узяць яго не стала сілы.
Убачыў толькі Бог з нябёсаў,
Як спалучыліся лес з лёсам.

Віктар Швед
З Мора ў горад
Беласток 2015, с. 193-199

Тут – мой кут гаючы

Ці зразумець сум паэта ля роднай мяжы,
Песню якому ўжо даспяваць не паспець...

Анатоль Дэбіш

„Колькі сілы ў Вас! Друк, кнігі, радыёперадачы... Каб толькі часу хапала! Чаго ж Вам пажадаць...” – задумвалася я на 60 годдзе **Міколы Гайдука**. А ён адказаў: „Слабенькае ў мяне здароўе, Мірачка, слабенькае... Я не ведаю, ці на працягу гадоў сваёй свядомай працы я меў тры дні цалкам вольных, калі не чытаў, не пісаў, а так сабе паляжаў... Мне хацелася б яшчэ выдаць зборнік маіх песень, што я іх сабраў... (...) А ўсяго разам я не дам рады зрабіць... Я ведаю, што перад сабою маю ўжо нямнога часу...”



Выйшлі тыя „Песні Беласточчыны” ў Мінску, тыя, што збіраў дзесяцігоддзі, апрацоўваў, рыхтаваў (праўда, не дапільнаваў – перарабілі мінскія „спецыялісты” на свой капыл). І выйшлі яшчэ „Паратунак”, і кніга пра брэсцкую унію, і „Легедны Беластоцкай зямлі” ў Беластоку, і „Белавежскія быліцы і нябыліцы” ў Мінску... Мікола Гайдук, стаўшы пенсіянерам, працаваў за трох, яшчэ болей чым раней. І таму адчуваецца такая страта, быццам вырвала вялікую глыбу з нашае тут зямлі. Здаецца, вось-вось адчыняцца дзверы ў „Ніве”, „Часопісе” і „Гарадоцкіх нявінах”, у „Фосе”, у „Przeglądzie Prawosławnym” і пачуем характэрную інтанацыю, і ўбачым чалавека, у апошні час з патрыяршай сівой барадою, які прыйшоў не з пустымі рукамі. Для мяне, хоць праводзіла з сябрамі спадара Міколу на вечны спачын, усё не даходзіць, што Яго няма. І толькі калі ў рэдакцыі глянем на памятны букецік з сухіх ужо ружаў, перавязаны бел-чырвона-белай стужкай, які Мікола прынёс нам на Свята, успамінаецца наш апошні дарунак Яму – вянок з бел-чырвона-белых ружаў на свежай яліне, такі адметны ад таго мора кветак і вянкоў, якія прынеслі сябры і сваякі, і ўсё не верачы ў страту складвалі на маленькі копчык шэрага пясочку, за магілай Рамана і Марыі – бацькоў Міколавых, на праваслаўным могільніку на Выгодзе ў Беластоку. Гара кветак і яліны, сонца, вецер ужо асенні. „Гэта быў страсны чалавек, так жыў і пісаў... – сказаў, прыйшоўшы аднойчы пасля доўгай непрысутнасці Збышэк Насядка, наш сябра-паляк, таксама чалавек зямлі і пяра. – Нельга ж так пісаць, за кожным разам быццам з сябе кроў пускаючы. Tak, to był namiętny człowiek i pisarz”.

Чалавек, пісьменннік. Беларус. Збіральнік роднага па кропельцы, па гарошынцы. Дзеяч ад слова „дзеянне”. Не „актывіст”,



Айцец Канстанцін Байко з мацераю, сёстрамі і братам ля роднага дому на Заставе, 1960 г.

хутчэй „актыватар”. Настаўнік. З яго падручнікаў вучыліся мы, якія сталі яго калегамі, хоць крышачку набраўшыся ў яго імпэту і пільнасці. „Сваімі ведамі і думкамі хацеў я падзяліцца з іншымі. Калі я адчуваў, што мы тут спрадвечныя, то хацеў гэтай радасцю падзяліцца з іншымі. Людзі, мы жывём на сваёй зямлі, мы – не прыблуды, не чужынцы! – успамінаюцца мне Ягоныя словы. – Наша гісторыя вось у тым, тут шукайма нашага!”

Колькі ў Міколы Гайдука было яшчэ планаў! Завяршыць цыкл „Карані”, скласці наступны зборнік набожных беларускіх вершаў, працягваць выданне беларускай старонкі ў „Przeglądzie Prawosławnym”, дапамагаць выдаваць часопіс „Фос”, у „Часопісе” – між іншым „Хронікі мясцовасці” і прадстаўленне забытых волатаў нашай беластоцкай беларускай гісторыі, перакласці на родную мову падляшука Іпаліта Краскоўскага, скласці самавучак беларускай мовы. І праца, здавалася б, малазначная, як звычайнага парафіяніна-хрысціяніна, руплівая і набожная, з мэтай пашырання ведаў і веры ў праваслаўнай грамадзе. Мітрапаліт Сава ацаніў гэта, развітаўшыся шкадобнымі словамі, якія прагучалі над натруджаным целам Міколавым. Але для хрысціяніна нястрашны пераход у бок Сапраўднага Святла. Прыгожае Вы мелі жыццё, не змарнавалі таленту, не закапалі ў зямлю, не схавалі ад злодзея, а размножылі. Да пабачэння, дзядзька Мікола! Маем надзею, што спрыяць нам будзеце з таго боку быцця, каб не змарнавалася тое, што ўдалося Вам уратаваць. Адышлі Вы ад нас там, дзе набіралі моцы і натхнення – у лесе, на сваіх сцежках, у сваім куце гаючым.

Міра Лукша
фото **Міхал Болтрык**

Ці будзе ў Белавежы вуліца а. Канстанціна Байко?

На сесіі Рады Гміны Белавежа, якая прайшла 8 жніўня г.г., адным з пунктаў парадку дня было прыняцце пастановы аб змене назваў дзвюх вуліц у мястэчку – ген. Аляксандра Вашкевіча ды Вольгі Габец. Гэта звязана з увядзеннем у сілу закона аб забароне прапагандавання камунізму і іншых таталітарных рэжымаў, які дзейнічае ў Польшчы з 2 верасня мінулага года. І Вашкевіч, і Габец былі ўраджэнцамі Белавежы. Першы, як генерал II Арміі ЛВП, раней Чырвонай арміі загінуў у 1945 г. Вольга Габец у міжваенны перыяд была дзеячкай КПЗБ, падчас акупацыі расстраляная немцамі.

Белавежскія вуліцы А. Вашкевіча і В. Габец знаходзяцца ў дзвюх розных гістарычных частках мясцовасці. Першая вуліца працягласцю больш за два кіламетры – асноўная частка даўняй вёскі Стачок, якая пачыналася ад Палацавага парку і царквы св. Мікалая ды цягнулася да Парку дырэкцыйнага. Апрача дамоў белавежцаў тут знаходзіліся крамы, майстэрні рамеснікаў, рэстараны. Адзін з іх, заснаваны ў 1929 г., існуе да сёння і называецца “Стачок”. Паралельна з вуліцай, на паўднёвым яе схіле, размешчана даліна ракі Нараўкі, а ў паўночнай, узвышанай частцы – вуліца Трапінка і прыходскія могілкі.

Белавежане адзінагалосна вырашылі вярнуцца да даўняй назвы. Пад прапанаванай у грамадскіх кансультацыях назвай вул. Стачок (Stoczek) падпісалася больш за 400 яе жыхароў. Рада гміны Белавежа прыслухалася на сесіі да іх голасу і прыняла пастанову аб замене назвы вул. А. Вашкевіча. Не знайшла грамадскай падтрымкі іншая, прапанаваная назва – Ю. Пілсудскага; на яе не падпісаўся ніводзін жыхар вуліцы. Незалежна ад нацыянальнасці і палітычных поглядаў яны прагаласавалі на назву арыгінальную, адзіную ў сваім родзе. А вуліц у гонар маршала ў Польшчы тысячы.

Другая з прапанаваных да замены назваў белавежскіх вуліц – В. Габец, знаходзіцца ў іншай, гістарычнай частцы Белавежы – Заставе. Гэта да сёння асобная вёска са сваім солтысам. Цяпер назвай Застава акрэслена толькі

вуліца, што вядзе ў напрамку Пагарэльцаў. Раней да гэтай назвы адносілася таксама вуліца Вольгі Габец і адыходзячыя ад яе завулкі. Пры адным з іх (цяпер вуліца Польная) знаходзіцца драўляны дом, у якім жыў а. **Канстанцін Байко**. Пра ягоную асобу шмат пісалася ў нашым часопісе.

Асоба а. Канстанціна стала адным з прапанаваных новых патронаў вуліцы. Такую добрую думку закінуў **Міхал Байко**, вядомы грамадскі дзеяч, які цяпер вярнуўся жыць у родную Белавежу. Ягоную прапанову падтрымалі 143 жыхароў цяперашняй вуліцы В. Габец. Але тут, у адрозненні ад вул. А. Вашкевіча, знайшлося больш за дзесяць новых назваў. Адна з іх – Палацавая – атрымала большую колькасць подпісаў у кансультацыях – 174. З іншых прапаноў найбольшую падтрымку (некалькі дзясяткаў галасоў) атрымалі назвы – Каралеўскай і Каралеўскі тракт. Іх абгрунтавана абараняў запрошаны на сесію Лех Навацкі, вядомы дызайнер і архітэктар. На сесію быў таксама запрошаны ніжэйпадпісаны, каб прадставіць постаць а. Канстанціна Байко.

Канчатковае рашэнне будзе прынятае на апошняй жнівеньскай сесіі, ў канцы месца. Нягледзячы на вынікі канчатковага рашэння, постаць а. Канстанціна Байко, аднаго з найвыдатнейшых сыноў Белавежы, вяртаецца да яе жыхароў.

Старшыня Рады гміны **Кшыштаф Замойскі** прапанаваў арганізаваць сустрэчу ў гміннай публічнай бібліятэцы, прысвечаную кнізе пра а. Канстанціна. Ёсць прапанова ўсталявання памятнага крыжа або капліцы на гістарычнай Заставе. Яшчэ адна думка звязана з Палацавым паркам, дзе маюць узнікнуць тэматычныя лавы. Адна з іх можа быць прысвечана а. Канстанціну.

Дарафей Фіонік



Беларускія фольк-сустрэчы

Народныя аматарскія хоры, капэлы, моладзевыя выканаўцы ды калектывы з Беларусі і Латвіі. Такая разнастайная праграма была прапанаваная гмінай Міхалова наведвальнікам "Беларускіх фольк-сустрэчаў". Мерапрыемства прайшло 5 жніўня.

На сцэне выступіла дваццаць чатыры гурты з абодвух бакоў мяжы. Можна было таксама паспрабаваць стравы традыцыйнай кухні, набыць вырабы народных майстроў ды прыняць удзел у розных конкурсах. Падчас канцэртаў амфітэатр у Міхалове запоўнены быў да апошняга месца.

– Беларуская культура вельмі важная для жыхароў гміны – гаворыць намеснік бургамістра Міхалова **Юры Хмялеўскі**. – Беларуская культура глыбокая і мае ў Міхалове сваю традыцыю. Раней тут па ўсіх вёсках абываліся беларускія фэсты. Беларускія фольк сустрэчы гэта вельмі цікавая прапанова для ўсіх, хто хоча пазнаёміцца з багаццем беларуска-польскага памежжа. Мэта мерапрыемства ў тым, каб захаваць і развіваць традыцыі, звязаныя з рэгіянальным фальклорам беларускай меншасці.

Можна было пагуляць пры беларускай музыцы але і пацікавіцца народным рукадзеллем. Свае вышываныя жамчужыны паказвала **Анна Кузьма** з Міхалова. Ручнікі, сурвэткі, розныя абрусы прыцягвалі ўвагу так мясцовых як і турыстаў ды гасцей мерапрыемства. Сярод гасцей была дэлегацыя з Беларусі, з горада-пабраціма – Ваўкавыска.

– Ваўкавыск і Міхалова — гарады-пабрацімы з 2008 года – гаворыць старшыня ваўкавыскага раённага Савета дэпутатаў **Віталь Навіцкі**. І штогод беларуская дэлегацыя ў розным складзе прыязджае сюды. Я сам асабіста 4 разы бачыў гэтае свята і мне гэтая імпрэза вельмі падабаецца, бо ўсё, што звязана з Белруссю, нашай беларускай супольнасцю за мяжой, калі папулярызуецца беларуская культура, гэта вельмі цудоўна, і імпрэза — цудоўная.

– Вельмі прыемна прыехаць сюды, заспяваць, пабыць сярод людзей – гавораць дзяўчаты з калектыву "Івенчанка" з Беларусі. – Мы выконваем у асноўным беларускія народныя песні. Спяваем таксама на польскай, расейскай ды украінскай мовах. У Міхалове цудоўная атмасфера, людзі гуляюць, усюды чуваць беларускае слова. Гэта вельмі прыемна.

Сярод запрошаных гасцей з Беларусі выступаў таксама фальклорны калектыў "Багач". Назва калектыва паходзіць ад асенняга свята ўраджаю. У рэпертуары калектыву народныя песні ў сучаснай апрацоўцы, якія публіка прыняла з вялікім задавальненнем.

Зоркамі "Беларускіх фольк-сустрэч" былі калектывы з Беларусі, "Купалінка", "Арс Лонга" з Беларусі ды польскі гурт з Паможа "Жепчыно". У час фэсту таксама праводзіліся конкурсы на беларускамоўны верш пра мерапрыемства ды найцікавейшы праект кашулькі з беларускай сімволікай.

"Беларускія фольк-сустрэчы" занялі месца "Прымацкай бяседы" ў культурніцкім календары Міхалова. Пад новай назвай імпрэза прайшла ўжо трэці раз.

Анна Домань, фота **аўтарка**

О Смеречным спомины і не лем...



Выдана пред роком стараньом Музею Лемківской Культуры в Зындранові, напысана по польскы кныжка Александра Худика (псевдонім Лешек Храбскій) *Смеречне на Лемковыні. Спомины і релацийі* то пріба захованя того, што найціннійше в жытю културы меншын, історий місц, котрых уж неє. Смеречне на східні Лемковыні то єдно з понад пядесятьох лемківскых сел, котре не перетрвало по 1947 року.

Того, што єм прежыл в часі войны, в часах гітлеровской окупаций 1939-44, не даст ся забыти. Охыдне зневоліня, розлука діти, родин, понесены жертвы, крывды, лапанкы, концентрацыйны таборы, втраты моральны і на кінцы затрата цілого жытьового доробку...

Так зачынат свою подорож в часі і просторі на картах кныжки вроджений 8 червця 1932 в Смеречным автор. Пятнадцет років пізнійше тот сам час буде кінцьом невелького, але цінного в діях Лемковины села. **Александер Худик**, як пише во вступі, без кусаючого языка, без політыкы замірує оповісти правду о його рідным селі.

Прагну звернути увагу, же мойе мале село Смеречне положене єст в такым специфічным ґеостратеґічным місцю, же і в I мірові войні, як і II мірові войні зостала цілковиті спалена. З велькым жальом додам, же в часі II мірові войні в 1944 році згынило аж 14 цивільных люди.

Смеречне положене на ленях фронту, коло Дукланьского Перевалу, котрый натуральні вызначал границю, силом річы стрічали воєнны трагедийі. Найстаршы запискы о селі, бо докладной даты не знаме, походят з 1785 рока. Відомо, же мешкало ту 160 осіб. Пред высідлінями 1945-1947 мало 37 родин. В роках 1875 і 1881 основано в селі дві копальні ропи, котрых спілвластительом был сам **Іґнаци Лукашевіч**. Мімо того смеречняне еміґрували на заробок. Головні до Америкы. В році 1880 поіхал за хлібом тіж найстаршый син в роді Худиків, Ваньо – дідо автора. А за ным його братя і інчы селяне. Осіньом



1914 рока, коли ґаздове пожнивували, австрийскы вояки казали ся вшыткым заберати з села з невелькым добитком і перенести до сусідніх – Вільшні або Вільхівця – сел. В протягу кілкунадцетьох минут вшыткы віділи, як іх доробок ґивтат оген підложений през Мадярів. По войні в 1918 році смеречняне зачынали повертати до свойого спаленого села. З фронту, з Российі, бо весном 1915 рока пішли разом з цофаючыма ся одділамы царского войска. Вернули з Ташкєнту, Омска, Пєтрограду, Кійева, Италійі і Альбанійі, жебы го одбудувати. В селі стояло юж кільканадцет новых хыж побудуваних през тых, котры час войны пречекали в шаласах і землянках, в сусідніх селах. Одбудова пішла легко, бо ґаздве мали ліси. Пред зимом 1918 рока стояло 20 нових хыж.

В 1930 році, разом з парафійом в Мшані, бо Смеречне было ей «парафійном дівком», вернуло до православной Церквы. Наступні побудувано тіж невельку, деревяну церковцю, котрой гнеска неє. Першу в історийі села школу побудували смеречняне з власной ініцятывы завдякы своім лісам,

Александер Худик, Смеречняне – 1933 рік
Мапа Смеречного, Смеречняне при кресті – 2007 рік







а мали іх в тамтым часі вшыткого разом около 50 гектарів. В 1936 році ґаздове вистарали ся о проєкт школи і взяли ся до роботы. Од наступних вакаций выстарали ся тіж о учытеля і іх діты не мусіли ходити до школи на друге село. В 1939 році автор мал сім років і тішыл ся, же піде до школи. Радіст не лем його, але молодежы прервала наступна война. Присланий до Смеречного учытель – **Кароль Хліва** з Кросна был змобілізуваний і ранений. В листопаді 1939 рока в школі замешкали Німці. В селі побудувано тіж рукамы смеречнян пограничну касарню. В роках 1940-45 на роботах в Німцях были праві вшыткы молоды од шіснадцетьох до двадцет пятьох років, около трудцетьох осіб. Лишыла ся лем молодіж 15 – і 16 – літня, деси 17 осіб.

Смеречне на Лемковыні... Александра Худика то тіж релацийі і спомины смеречнян і мешканців сусідніх сел, розшмареных по світі. Автор задал собі тот труд, жебы іх зобрати, іздил про тото на радяньску Україну, де добровільні выселено найвеце смеречнян, бо борба на Дуклянскым Перервалі зобрала своє жниво, як вспомнул юж во вступі – 14 осіб і обернула село в попіл. На пілнічный захід в маю 1947 рока выселено последніх – десят родин, в тым родину Худиків – смеречнян.

Няньо звідал ся: – З якого поводу нас з власной землі выганяте і гто нам заплатит за обсіяни поля і нарядя, котре лишыме? Офіцер одповіл, же поіхаме там лем на два рокы, же войско розправыт ся з бандом УПА і вернеме з повротом. А хыжы, землю і нарядя достанеме на заході. – Там вшытко на вас жде...

В роках 1977-1981 назву неісніючого села в рамах веденой політикы єднонацйональной державы замінено на полскє Сьвєркув, бо назва місцевости походит од смерека. На щестя удало ся привернути давну єй назву. По красьні положеным селі практычні неє шліду, кєдбы не ініцятива Фундацийі Всператя Лемківской Меншыны «Рутеніка» і єй ведучой – **Вєры Сандович-Бонковской** разом з вродженом в Смеречным **Марійом Буряк-Ґоч**. В 2007 році, в 60. річницю Акцийі Вісла удало ся ім поставити і посвятити сымболічну капличку. По давних мешканцях, в горі села лишыл ся лем камінний крест з 1884 рока.

Йосиф Худик під конец свойого жытя уфундувал для села Смеречне цементовий крест з розпятьом, што было свідоцтвом, же выл він чловеком релігійным.. Ґубіка В. зо Смеречного знал єм барз добрі. Памятам його оповіданя з жытя в Америці і Арґентині...За тоту цінну інформацию барз єм му вдячний. Його прекрасны і вартосливы релацийі о історичным значыню моральні зоблiґували мене до утрваліня іх в книжці. Такы свідкове старых подійі гнеска не жыют...

Анна Рыдзанич
Знимкы **з книжкы**
Александра Худика

Pomnik na miejscu zbrodni
Modlitwa duchownego prawosławnego
Potomkowie ofiar

Miejsce wspólnej pamięci

– Rodzice mojej mamy mieszkali w Białowieży, na Drugich Podolanach. Zabrano ich z gospodarstwa oboje. Ktoś tam, chyba tłumacz, powiedział Niemcom, że w domu zostało czworo dzieci i babcię wypuścili. Na chwilę wypuścili też kuzynkę, Lidię Waszkiewicz. Miała dwadzieścia lat i miesięczne dziecko. Pozwolono je nakarmić i zaraz znów zabrano. I po niej, i po dziadku, Iwanie Kozaku, słuch zaginął. Nikt nie wiedział, co się z nimi i wszystkimi zatrzymanymi na początku sierpnia 1941 roku stało, gdzie szukać grobów. Dwadzieścia lat żyliśmy w nieświadomości – wspomina pani **Liliana Turkina**, która do uroczyska Pererow, siedem kilometrów od puszczańskiego przejścia granicznego, przyjechała z dalekiego Togliatti nad Wołgą. – Aż zaczęto wybierać z tego miejsca żwir na budowę drogi. I znaleziono ciała...

Zaraz po rozpoczęciu wojny ze Związkiem Radzieckim przez zajęte przez hitlerowskie wojska obszary przetoczyła się pierwsza fala zbrodni. Do aresztów trafili ludzie, określani jako „komuniści" lub „współpracownicy komunistów". Niemcy mieli ich listy, sami ich jednak nie sporządzili. Wystarczyły donosy, dla wielu okazja do załatwienia osobistych porachunków. Nikt tych aresztów już nie opuścił.

Tak było i w Białowieży, dokąd trafili mieszkańcy kilku puszczańskich wsi. Wywożono ich stąd w głąb lasu. Ustalono, że rozstrzelano wówczas ponad sto trzydzieści osób. Lista nazwisk na pomniku jest niepełna.

Pierwszy pomnik, skromny obelisk, ustawiono w połowie lat 60. Obecny, przez miejscowych nazywany „Padające krzyże", w pięćdziesiątą rocznicę zbrodni.



Rocznicowe uroczystości przy nim odbywają się regularnie, zawsze z udziałem władz rejonu prużańskiego i powiatu hajnowskiego i oczywiście rodzin pomordowanych, mieszkających po obu stronach granicy.



– Kiedyś z Polski przyjeżdżały całe autokary z krewnymi ofiar, podobnie jak od nas – wspomina jedna kobiet. – Cóż, czas robi swoje, dzieci zbitych niewiele już zostało, a i wnuki się starzeją. Jeszcze kilka lat temu, po oficjalnych uroczystościach, rozkładano kocyki, obok ustawiały się stragany ze słodyczami, owocami, napojami. Spotkania trwały do popołudnia.

W tym roku, 6 sierpnia, z Polski przyjechała delegacja władz powiatu hajnowskiego z wiceburmistrzem **Andrzejem Skiepko** i garstka krewnych, z Białorusi, oprócz delegacji oficjalnej, kilkudziesięciu

członków rodzin. Międzynarodowy charakter akcentowały wywieszone na masztach flagi państwowe Polski i Białorusi i odegrane przez orkiestrę dętą hymny. Uroczystość była podniosła, mowy krótkie, słowa wzruszające – o potrzebie pamięci i przekazania jej kolejnym pokoleniom, o potrzebie pokoju i spokoju. Ponieważ w mogiłach spoczywają rzymscy katolicy i prawosławni, za ich dusze modlili się duchowni obu wyznań. Czytano fragmenty Ewangelii, śpiewał chór cerkiewny.

– Chyba w 1963 roku babcia przyjechała tutaj z Białowieży pierwszy raz – wspomina pani Liliana. – Nic tu jeszcze nie było, żadnego upamiętnienia. Ot, zapadlisko, miejsce, skąd od czasu do czasu wybierano piasek i żwir. Chciała posadzić kwiatki. Tylko wbiła łopatkę i zobaczyła kawałek czarnej marynarki, dokładnie takiej, jaką podesłała mężowi do aresztu... Miał wtedy 37 lat. A ja staram się być tu każdego roku.

– Mój dziadek, dokładnie brat mego dziadka, Afanasij Turyk, był sąsiadem rodziny Kozaków, trzymał do chrztu wszystkie ich dzieci – opowiada pani **Elżbieta Czykier**, która na uroczystości przyjechała z Białegostoku. – Jakiż tam z niego mógł być komunista? Był człowiekiem zamożnym, poważanym, pszczelarzem, zimą zatrudniano go w leśnictwie do zliczania ściętych drzew. Żonę przywiózł sobie z Samary, z bieżeństwa. Jedynaczka, dostała od rodziców taki posag, że wrócili wynajętym wagonem. Nie mieli dzieci. Babcia Marusia, kobieta wielu talentów i umiejętności, była w moim życiu ważną osobą.

– Mamy, Polacy i Białorusini, wspólną historię, to święte miejsce jest jednym z na to dowodów – usłyszałam od uczestnika uroczystości. – I nie politycy, ale my, prości ludzie, powinniśmy się o nie troszczyć i o nim pamiętać. Bo wojna to straszne zło.

Dorota Wysocka, fot. **autorka**

Podlaskie kultury na festiwalu

Do wakacyjnych festiwali na Podlasiu dołączył kolejny, Podlaska Paleta Kultur, który między 18 a 20 sierpnia odbywał się w Supraślu, w tutejszym amfiteatrze i domu kultury. Mieszkańcy i turyści mogli trzy dni spędzić z kulturą białoruską, ukraińską, litewską, żydowską, tatarską, czeczeńską i romską.

Były koncerty. Zaproszenie organizatorów przyjęły zespoły, które z powodzeniem działają i na Podlasiu i poza jego granicami, jak folklorystyczne Żemerwa i Prymaki, Rodyna, Ranok, czy reprezentujące zupełnie inny styl, bo rockowe ILO&Friends czy Ostrov. Była też gwiazda ogólnopolska, znana z mediów komercyjnych, czyli ukraiński zespół Enej.

Były tańce. Można było podziwiać te prezentowane na scenie, ale przede wszystkim wziąć udział w warsztatach i uczestniczyć aktywniej, tańcząc.

Właśnie warsztaty były mocną stroną festiwalu. Świetnym pomysłem okazało się skierowanie uwagi uczestników w stronę kulinariów, bo kultura to przecież też bardziej ulotne i trudniej przekazywalne niż dźwięki, smaki i zapachy. Tu też organizatorzy sprowadzili prawdziwą gwiazdę. Karol Okrasa to kucharz znany w całej Polsce.

Kolejnymi warsztatami były te z designu. AZEdesign, czyli **Anna Kotowicz-Puszkarewicz** i **Artur Puszkarewicz**, pokazali, że podlaski folklor bardzo dobrze może się wpisać w nowe dla siebie, współczesne rejony.

Organizatorem festiwalu był Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku, który już od dziesięciu lat, z sukcesem, realizuje Podlaską Oktawę Kultur. Czy imprezy się dublują? Poniekąd tak. Oktawa ma przede wszystkim charakter muzyczny, do oglądania i słuchania z widowni. Paleta, jak i nazwa sugeruje, miała program bardziej wachlarzowy. To była nie tylko prezentacja, ale zaproszenie do wspólnego uczestnictwa w podlaskiej kulturze.

Jedno nie sprzyjało. Aura. Deszcze – mimo– że organizatorzy szybko reagowali i nad widownią supraskiego amfiteatru pojawiły się namioty, dały się we znaki.

Natalia Klimuk, fot. **autorka**









O Siemianówce

W tym roku mija czterdzieści lat od rozpoczęcia budowy zbiornika wodnego Siemianówka. Jego wody przykryły pięć białoruskich wsi o bogatej kulturze obrzędowej. Z czasem zbiornik coraz bardziej zagarniać zaczęła przyroda, przybywało zwierząt i roślin, ale ten sam czas oddalał też pamięć o Łuce, Bołtrykach, Rudni, Garbarach i Budach i ich mieszkańcach. Obecność zalewu w stykającym się z Białorusią krajobrazie gmin Michałowo i Narewka stawała się coraz bardziej oczywista, naturalna, może dlatego często można natrafić na określenie „Jezioro Siemianowskie”? Historia powstawania zalewu nie jest odległa, ale łatwo przechodzi się nad nią do porządku dziennego. Zaciera się.

Pracownia Filmu, Dźwięku i Fotografii w Michałowie i Gminny Ośrodek Kultury w Narewce ogłosiły konkurs fotograficzny „Siemianówka. Łączy nas wielka woda”.

– Zalew Siemianówka unicestwił kilka wsi. Woda zalała domy, zalała też rodzinne i wiejskie historie – mówi **Tomasz Wiśniewski** z michałowskiej Pracowni. – Głównym przesłaniem konkursu jest uświadomienie sobie skąd jesteśmy, że nie wzięliśmy się znikąd, że wyszyliśmy z konkretnego domu, krajobrazu, z konkretnych zwyczajów.

– To w dużej mierze konkurs rodzinny – dodaje. Organizatorzy czekają na zdjęcia archiwalne, przedstawiające życie zalanych wsi. I te zdjęcia można przesyłać w nieograniczonej ilości, nawet jeśli to są całe rodzinne albumy. Drugi wątek konkursu to fotografie ukazujące zalew i jego otoczenie w kontekście środowiska wodnego, czyli krajobraz, ludzi, zwierzęta, wędkarstwo czy turystykę.

Zdjęcia można przesyłać do 16 października do organizatorów: Pracownia Filmu, Dźwięku i Fotografii, ul. Fabryczna 33, 16-050 Michałowo, tel. 85 663 16 33, http://pracownia.michalowo.eu oraz Gminny Ośrodek Kultury w Narewce, ul. Nowa 3a, 17-220 Narewka, tel. 85 685 80 34, goknarewka@wp.pl. Regulamin w internecie.

Natalia Klimuk

Mowie podlaskiej na ratunek

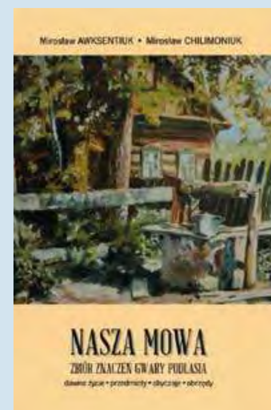
Charakterystyczna drewniana architektura, zwarta zabudowa ze szczytami domów skierowanych w stronę ulicy, bogate zdobienia z okiennicami – wieś podlaska jest niepowtarzalna. I ta piękna, dźwięcznie brzmiąca mowa.

Wiele się jednak na niej w ostatnich latach zmieniło. Niektóre zmiany wynikają wprost, inne są skutkiem wyludnienia. Zanika też podlaska mowa. Niektóre przedmioty przestały być użytkowane, zostały zniszczone, spalone, wywiezione na złom lub zwyczajnie – zniszczył je ząb czasu.

A jak wyglądały nasze weselne uroczystości? Czy ktoś znajdzie podczas wesela *perepiwanie* i jakże ważną nie tak dawno osobę *marszałka*? A obrzędy żniwne, które stanowiły ważną część codziennej, trudnej pracy naszych dziadków i rodziców. Niestety, nie znajdziemy dzisiaj na naszych polach *perepelici*.

Próbę ocalenia podlaskiej mowy, przynajmniej jej istotnej części, podjęli **Mirosław Awksentiuk** i **Mirosław Chilimoniuk**. Zamierzeniem autorów było uczynienie z tego zbioru praktycznego narzędzia i inspiracji do poszukiwania słów, które przetrwały gdzieś w zakątkach naszych domostw i zachowanie w pamięci następnych pokoleń świadectwa pracy i życia naszych przodków.

Książka jest do kupienia w księgarni w Hajnówce przy ul. 3 Maja, sklepiku cerkiew.pl, sklepiku przy soborze Świętej Trójcy w Hajnówce oraz u autorów (z autografami) pod telefonami 85 682 3455, 727 688 088 w cenie 25,00 zł plus koszty wysyłki.



Mirosław Awksentiuk, Mirosław Chilimoniuk, *Nasza mowa. Zbiór znaczeń gwary Podlasia – dawne życie, przedmioty, obyczaje, obrzędy*, Kresowa Agencja Wydawnicza, 2017.

Стражи памяти

Первые выходные дни июля варшавское Общество «Российский дом» посвятило посещению мест связанных с памятью о проживавшей некогда в Польше семье Лопухиных из Хрустина. Для этого группа россиян из Варшавы, Белостока и Лодзи организовала совместную поездку на пограничье Лодзинского, Опольского и Познанского воеводств, в некогда лопухинский Хрустин.

Русский дворянский род Лопухинын известный прежде всего тем, что из него вышла последняя русская по национальности царица, первая жена (с 1689 года) Императора **Петра Первого**, **Евдокия Петровна**. Их внук стал позже царём **Петром II** и мужем Императрицы **Екатерины Великой**.

На польской земле Лопухины оказались во второй половине XIX столетия, когда генерал **Иван Лопухин** женился на **Татьяне Николаевне Краснокутской** и от тестя получил за ней имение Хрустин в Калишской губерни. Лопухины построили там новый усадебный дом (сегодня местными называемый «замком»).

А рядом с ним православный храм. Обе эти постройки сохранились до наших дней, но поскольку сама усадьба используется как дом для душевнобольных и ремонтируется, то храм за отсутствием православных верных, со временем пришёл в запустение и уже во второй половине XX века требовал срочного ремонта. К счастью известие о его существовании дошло до ченстоховского православного настоятеля о. **Мирослава Драбюка**, который заинтересовал объектом епархиальное управление.

После оформления права собственности храма за православными был проведён небольшой внешний ремонт и закрыт для посторонних доступ во внутрь. К сожалению, от окружавшего некогда церковку кладбища ничего не осталось, а ведь похоронены на нём не только православные работники имения Лопухиных, но и солдаты скончавшиеся в близлежащей пограничной заставе в Голе.

Члены семейства владельцев покоятся в самой церкви, в её нижней части.

Усадьбой в Хрустине владели Лопухины до 1922 года. В ней родились их дети – **Татьяна**, **Маргарита**, **Георгий** и **Никита**, там ещё успели родиться некоторые из внуков. Когда усадьба была продана польскому государству, Лопухины разъехались по Европе.

Некоторые из них остались жить в Польше, где срослись с местным обществом. На месте осталась лишь хорошая память о них как о добрых и справедливых помещиках. И, как ни странно, эта память сохраняется по сегодняшний день. Когда я разговоривал о церкви с одной местной женщиной, она пожалела что церковь остаётся внутри неотремонтированной». Ну чтож, это накладно – возразил я. – И неособенно есть для кого делать такие работы». »Как не для кого – возразила мне она – Для Лопухина!»

«Могучую кучку» из «Российского дома» Хрустин привлёк как историческое место русского присутствия в Польше – что было для всех участников поездки интереснеым, и что выразилось не только посещением Лопухинских мест, но и специальной лекцией на тему этой фамилии. Другой причиной являлось желание оставить после себя хороший след в таком прекрасном месте, что воплотилось в общий труд над благоустройством окружения забытой церкви.

Все участники, независимо от религии – а были среди нас православные, мусульманин, католичка и несколько человек неверующих – дружно принялись за борьбу с зарастающей кладбище травой, собиранием – правда немногочисленного-мусора или очисткой лестныцы поднимающейся к дверям храма. Трогательным был момент, когда 12 летняя **Аня Ионова** из Лодзи, никем не подстрекаемая, в чистом порыве детского сердца собрала прекрасный букет полевых цветов и поставила его у входа в церковь.

Всё время сопутствовал нам директор одной из местных школ и замечательный краевед **Пётр Заваданастоящий** авторитет в области проживания Лопухиных в Хрустине и общественный попечитель приусадебной церкви.

Благодаря ему мы успели посетить ещё два близлежащих исторических городка Болеславец и Бычину.

Приусадебная церковь в Хрустине не единственный этого типа объект в центральной Польше.

В будущем году, если Господь позволит, мы планируем посетить похожее место, связанное с очень известной некогда в России фамилией. Там тоже есть над чем потрудиться, есть о чём послушать, есть и над чём задуматься. Но об этом более подробно мы напишем в другое время.

Марк Цыбарт

На сцяжыне да храма



Летняя пара кожнаму з нас дорыць надзею на адпачынак, цікавыя паездкі і знаёмствы, натхнёную прыгажосць і добры ўспамін. І зусім не мае значэння ўзрост, бо ўсе светлыя бакі жыцця, безумоўна, кранаюць душы і дзяцей, і дарослых.

Ужо стала добрай традыцыяй для дзяцей з калектыва „Дзятлавіцкі падлесак" прысутнічаць на майстар-класах па народнай творчасці ў Студзіводах. І ў ліпені гэтага года траім дзецям пашчасціла паспрабаваць сябе ў пляценні з саломы, ганчарстве, вышыўцы і ткацтве. Але найважнейшую ролю на гэтых сустрэчах я аддаю ДУХОЎНАСЦі і дабрыні. Дзеці не прыступалі да стала без малітвы...

Па прыкладу дзяцей, у дарослым калектыве Дзятлавіцкай сярэдняй школы знайшліся энтузіясты, выказаўшыя жаданне пазнаёміцца з жыццём суседняй краіны – Польшчай. Дзякуючы Музею Малой Айчыны была арганізавана трох-дзённая экскурсія-паломніцтва па святым мясцінам Падляшскай зямлі. Мы наведалі жаночы Прачысценскі манастыр ў вёсцы Зверкі, скіт святых Антонія і Феадосія Кіева-Пячэрскіх у Адрынках, манастыр святой Екацерыны ў Залешанах, мужчынскі манастыр святога Дзмітрыя Салунскага ў Саках. Сказаць, што было цікава – нічога не сказаць, бо на самай справе было вельмі цікава, натхнёна і ўзвышана. Мы проста ўдыхалі, і душой, і целам святло і веру. У Бельску наведалі і беларускамоўную школу імя Яраслава Кастыцэвіча, якая стаіць на тэрыторыі колішняга Свята-Мікалаеўскага манастыра (для нас было вельмі цікава) і ўражаны тым, што на тэрыторыі школы стаіць невялічкая часоўня св. Мікалая.

А пачалося наша паломніцтва з Благавешчанскага манастыра ў Супраслі. Усё склалася так, што мы прыехалі якраз у той дзень, калі ў гэтай абіцелі праходзіла свята Супральскай іконы Божай Маці. Па-сапраўднаму, нам было цяжка, з дарогі, прысутнічаць на ўсяночнай службе, акафістах і начной літургіі. Але адкуль узяліся тыя сілы, проста невядома. І людзі ішлі бясконца, каб напаіць душу святлом і радасцю. У начное неба ляцелі галасы тысяч прыхажан - "Радуйся, Невесто Неневестная!".

Асаблівае ўражанне засталося ад наведання скіта ды сустрэча з архімандрытам **Гаўрыілам**. Само месца – востраў сярод балота – здзіўляе рознатраўем і водарам кветак. Цяпер ужо шырокая дабротная кладка прывяла нас туды, хаця яшчэ стаяць нахіленыя дзяржакі старой кладкі. Спакойна, ціха, прыгожа, неяк цёпла, радасна і светла... Блакітныя вочы а. Гаўрыіла нібы лечылі нашы душы, надавалі надзею на здароўе і спакой. Расказваючы пра гісторыю скіта, памочнік а. Гаўрыіла сказаў нам: – Вы стаіце на беларускай зямлі. Цяпло ў грудзях, нейкая радасць і хваляванне... З даўніх пор, нябачнымі каранямі, мы звязаны з гэтымі мясцінамі. Наш Прэабражэнскі манастыр у Дзятлавічах падпарадкоўваўся непасрэдна архімандрытам Кіева-Пячэрскай лаўры і скіт у Адрынках таксама ў гонар св. Антонія і Феадосія Кіева-Пячэрскіх. Нездарма, прыехаўшы дадому, так хочацца ізноў туды, хоць на хвілінку.

Іншыя наведаныя мясціны таксама падарылі нам часціну свайго святла і чысціні. Цяжка знайсці словы, каб выказаць тое пачуццё, з якім мы прыехалі дадому ў родную Беларусь. Да гэтага часу у цішыні чуецца малітва Супрасльскага манастыра, удыхаецца дзіўны водар лекавых траў з балота ля скіта, супакойвае ціхая малітва жаночага Прачысценскага манастыра, а храм мужчынскага манастыра св. Дзмітрыя Салунскага, сваім блакітам напамінае неба, якое абапіраецца на векавыя сосны...

Галіна Брэзіна
фота **аўтара**

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl/samiosobie

Unikalne kadry fotograficzne i filmowe

Jest w Michałowie miejsce, gdzie można się zetknąć z unikalnymi zbiorami, ze starymi pocztówkami, znaczkami, fotografiami, filmami opowiadającymi historie ludzi, którzy od wieków współtworzą Podlasie. To Pracownia Filmu, Dźwięku i Fotografii, miejsce nowoczesne, świetnie wyposażone, ale jednocześnie z dobrym klimatem, który budują i same zbiory, w których łatwo się wręcz zatracić (są w dużej części zdigitalizowane i chętnie udostępniane), i ludzie, których tu można spotkać.

13 sierpnia gościł tu **Jan Słodowski**, emerytowany, wieloletni dyrektor Filmoteki Narodowej, dziś mieszkaniec Cisówki w michałowskiej gminie, który ma pewien oryginalny talent. Bo tak nazwać trzeba umiejętność odnajdywania materiałów filmowych zaginionych, albo takich, których istnienia nie notują żadne spisy.





Pan Słodowski też fotografuje. Robi to od czasów licealnych. Pochodzi spod Mielnika, a stąd już blisko do Świętej Góry Grabarki, którą z aparatem eksplorował jeszcze w czasie, kiedy to miejsce nie było tak szeroko znane w Polsce. Zatrzymał w swoich czarno-białych kadrach klimat dawnej Grabarki, tej z furmankami przy źródełku.

Przez kilka lat fotografował podlaskie drewniane cerkwie, zwłaszcza te położone dalej od ważniejszych dróg. Zależało mu na dobrych fotografiach, w niejedno miejsce przyjeżdżał wiele razy, o rożnych porach roku. Powstała wystawa „Tęczą malowane”, premierę miała w 2007 roku, w Białymstoku. Potem odwiedziła jeszcze wiele miejsc w Polsce i za granicą. Wszędzie towarzyszył jej film o prawosławiu w Polsce, zmontowany z materiałów absolutnie unikalnych – z tego, co o prawosławiu nakręcono w czasach PRL-u.

Niewiele tego było – fragmenty Kroniki Filmowej, kilka innych materiałów, w tym nigdy nie zmontowanych „surówek”. Można było zobaczyć fragmenty wielkopostnego nabożeństwa, celebrowanego przez metropolitę **Bazylego** w Warszawie, nagranie z 1965 roku z soboru św. Mikołaja w Białymstoku, a także materiał (w kolorze!) ze święta *Spasa* na Grabarce z 1974 roku. Był też prawdziwy rarytas – fragmenty niezmontowanego filmu z wyraźnymi artystycznymi aspiracjami, a pokazującego jak mieszkańcy jednej z podlaskich wsi robią wielki krzyż, który potem i boso, i obuci, niosą na Grabarkę.

Przyjemnością było samo oglądanie filmu. Oglądający z rozrzewnieniem reagowali na kolejne kadry, rozpoznawali duchownych, z których większość już nie żyje. I o sztuce operatorskiej wiele można było się dowiedzieć.

– Ależ to jest nagrane! Jak świetnie operator trzyma ostrość, współcześni mogliby się od niego uczyć – na bieżąco komentował **Tomasz Wiśniewski**, dziennikarz, historyk, filmowiec, twórca michałowskiej Pracowni. – Bo to nakręcił **Zygmunt Samosiuk** – odpowiadał Jan Słodowski.

Dla znających historię polskiego filmu to postać pomnikowa. Innym wyjaśniamy – to zmarły w latach osiemdziesiątych polski operator filmowy, którego twórczość to wciąż światowa liga.

Film, który oglądającym dostarczył tyle dobrych emocji, właśnie trafił do zbiorów Pracowni. Warto udać się do Michałowa.

Natalia Klimuk
fot. **archiwum Pracowni, Filmu, Dźwięku i Fotografii w Michałowie**



Liturgiczne wspomnienie władyki Adama
Niżej biskup Paisjusz dekoruje o. Antoniego Jary

I rocznica śmierci arcybiskupa Adama

24 lipca w dzień św. Równej Apostołom Olgi, biskup przemyski i gorlicki **Paisjusz** w cerkwi św. Włodzimierza Wielkiego w Krynicy Zdroju odprawił Liturgię w pierwszą rocznicę śmierci arcybiskupa **Adama** (**Dubeca**). Asystowali mu duchowni diecezji przemysko-gorlickiej i warszawsko-bielskiej.

Władyka wspomniał apostolski trud arcybiskupa Adama, który, do ostatnich chwil życia na rodzinnej ziemi niósł słowa Chrystusowej prawdy.

Po Liturgii wierni z władyką i duchownymi przeszli do krypty pod cerkwią św. Włodzimierza, gdzie spoczywa ciało arcybiskupa Adama.

Biskup Paisjusz poinformował, iż w najbliższym czasie w krypcie zostanie wyświęcona kaplica. Obecnie jej wnętrze jest pokrywane polichromią.

– Władyko Adamie, nasz umiłowany duszpasterzu, Apostole Podkarpacia i Łemkowszczyzny, na zawsze pozostaniesz naszym Władyką, a my Twoimi wiernymi dziećmi – powiedział na zakończenie.

o. Jarosław Grycz
fot. **Mikołaj Grycz**



Liturgia w Żdyni

Na XXXV Łemkowskiej Watrze w niedzielę 23 lipca, kiedy Cerkiew wspomina św. Antoniego Pieczerskiego, w cerkwi Pokrowa Matki Bożej w Żdyni biskup przemyski i gorlicki Paisjusz celebrował Liturgię. Modliło się na niej około 150 wiernych, przybyłych z Polski, Ukrainy, Słowacji, Serbii, Australii, Kanady i USA. Władyce asystowali duchowni dekanatu gorlickiego oraz o. Antoni Jary.

Tego dnia o. Antoni Jary obchodził 65 urodziny. Z tej okazji biskup wręczył mu wyszywany orarion protodiakoński oraz nagrodził medalem św. Maksyma Gorlickiego – za pokorne niesienie wieloletniej posługi w diecezji przemysko-gorlickiej.

Mikołaj Grycz, fot. **autor**



Ból i żal pozostał po śmierci mojej jedynej, najdroższej siostry Walentyny Jakimiuk z domu Gierasimiuk. Odeszla 24 czerwca. W rodzinnych Narojkach przeżyła ponad 77 niełatwych lat. Mając zaledwie 17 lat, gdy ciężko zachorowała nasza nieodżałowana mama, musiała zastąpić ją w domu i w gospodarstwie. Później z mężem ciężko pracowała na gospodarstwie rolnym.

Zawdzięczam jej wiele, nade wszystko to, że mogłem ukończyć studia i podjąć pracę w Warszawie, gdyż śp. Walentyna nie tylko z wielkim oddaniem opiekowała się naszymi rodzicami, ale również wspierała mnie. Była życzliwa dla ludzi i lubiana przez nich. Najbardziej jednak ukochała Gospoda Boga i Jego narojską cerkiew.

Pragnę z całego serca podziękować Rodzinie, Sąsiadom, Przyjaciołom, Znajomym i Wszystkim, którzy okazali wiele życzliwości i pomocy w trudnym dla mnie okresie i licznie uczestniczyli w Liturgii i nabożeństwie żałobnym sprawowanym przez ojców Krzysztofa Matwiejuka, proboszcza parafii w Narojkach i Mikołaja Mielniczuka, proboszcza parafii w Mielniku.

Wiecznaja Tiebie Pamiat dorogaja Siestra.

Brat Józef

ROCZNIKI PRZEGLĄDU OPRAWIAMY

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Ofertę kierujemy głównie do bibliotek, zwłaszcza parafialnych. Ale i prywatni czytelnicy mogą w ten sposób mieć uporządkowany zbiór Przeglądów. Zamówienia zbieramy przez cały rok. Zamówienie można przesłać na adres redakcji (ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, adres e-mail: redakcja@ przegladprawoslawny pl).

Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, o. Marek Ławreszuk, o. Włodzimierz Misijuk
Aleksander Naumow (Wenecja), Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, o. Aleksy Petrovski
Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk-Stankiewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

„Przegląd Prawosławny” można zaprenumerować w urzędzie pocztowym na terenie kraju, u listonosza lub za pośrednictwem redakcji

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):

miesięczna: Polska 8,60 zł; Europa 16,00 zł, USA i Kanada 19,00 zł, Australia 19,00 zł; **kwartalna:** Polska 25,80 zł, Europa 48,00 zł, USA i Kanada 57,00 zł, Australia 57,00 zł; **półroczna:** Polska 51,60 zł, Europa 96,00 zł, USA i Kanada 114,00 zł, Australia 114,00 zł; **roczna:** Polska 103,20 zł, Europa 192,00 zł, USA i Kanada 228,00 zł, Australia 228,00 zł. Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Dowód / pokwitowanie dla zleceniodawcy

Nr rachunku odbiorcy
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Odbiorca:
Fundacja ks. Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

Kwota: ....

Wpłacający: ....

....

....

Zamawiam prenumeratę
„Przeglądu Prawosławnego”

Podać okres prenumeraty:

....

Wpłata gotówkowa

F U N D A C J A K S. O S T R O G S K I E G O

ul. S K Ł A D O W A 9 1 5 - 3 9 9 B I A Ł Y S T O K

98 1 2 4 0 5 2 1 1 1 1 1 1 0 0 1 0 3 9 9 3 4 2 7 8

Numer rachunku odbiorcy:

Kwota PLN:

Kwota słownie:

Imię i nazwisko zleceniodawcy:

Adres zleceniodawcy:

P r e n u m e r a t a P P

Tytułem:

Podać okres prenumeraty:

....
(opłata)

Dowód / pokwitowanie dla odbiorcy

Dziękujemy za hojność

W dotychczasowej historii 1% – a trwa ona w przypadku Fundacji Ostrogskiego, wydawcy Przeglądu Prawosławnego jedenaście lat – w tym roku wykazaliście, Drodzy Czytelnicy, największą hojność. Ofiarowaliście na rzecz naszej fundacji 82,5 tysiąca złotych. A to oznacza, że daliście więcej niż w krytycznym dla nas roku 2013, kiedy warszawska Fundacja Tolerancja, po śmierci jej prezesa, wspaniałego przyjaciela Przeglądu Prawosławnego i w ogóle prawosławia, Kazimierza Morawskiego, wycofała się ze współwydawania Przeglądu. Wtedy przekazaliście 71,3 tys zł.

Przez pierwsze miesiące tego roku najwyraźniej dzieliliście nasze troski, kiedy Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji pozbawiło nas, jako jedyne pismo mniejszości, dofinansowania do wydawanego wraz z Przeglądem dodatku Sami o Sobie. Po szeregu naszych interwencjach, w tym w kancelarii Prezydenta RP, dofinansowanie (60 tys. zł) przywrócono. Wy jednak, Drodzy Czytelnicy, swoim 1% głosowaliście za istnieniem pisma.

Za tę wierność i hojność dziękujemy Wam z całego serca, dziękujemy zbiorowo, choć chciałoby się uścisnąć dłoń każdemu indywidualnie.

Jesteście z nami! A to jest największy dar, bo to dar przyjaźni.

Zespół redakcyjny Przeglądu Prawosławnego

Dziękuję

Po raz pierwszy książka mojego autorstwa „Bliski mi Wschód" była sprzedawana na *Spasa* na stoisku Fundacji Ostrogskiego u podnóża Świętej Góry Grabarki. Chcę podziękować wszystkim, którzy przyszli do naszego stoiska, a szli nieustannie, za mnóstwo dobrych i ciepłych słów, które otrzymaliśmy. Chcę podziękować za zaufanie.

Wiele osób kupowało książkę, nawet jej nie otwierając, wierząc, że spotkają się z treściami, na które oczekują.

Nad książką pracowałam długo, latami gromadząc do niej materiały, słuchając mądrych ludzi, czytając ich książki, wędrując po miastach, wsiach, monasterach i świętych miejscach, w których historia Boska i ludzka zaznaczyły tak mocno swą obecność, że do dziś pozostaje ona w dialogu ze współczesnością. To między innymi Synaj, Rzym, Saloniki, Nisz, Mikulczyce, Ochryda, Kijów, Nowogród Wielki, Połock, Wilno, Ławryszewo, Siergijew Posad, Diwiejewo i mnóstwo innych miejsc. Po ich odwiedzeniu historia zaczęła pulsować nowym życiem, odpowiadać na moje pytania, formować moją tożsamość. I tę bliskość chciałam przekazać Czytelnikom.

Książce nadałam tytuł „Bliski mi Wschód". Gdzie owo „mi" nadaje jej wymiar osobistej refleksji, co nie znaczy oderwanej od historycznych faktów. Na odwrót, skrupulatnie budowanej na faktach. Chciałabym, żeby książka stała się bliska jej Czytelnikom, żeby i oni mogli powiedzieć – tak, to bliski mi Wschód. W Polsce Wschód jest bliski prawosławnym, bo stamtąd czerpią duchowe siły, ale także powinien taki być większości Polaków katolików. Wszak Rzeczpospolita, gdy pęczniała w niej potęga, szła zawsze na wschód, na ziemie ruskie. Nie może więc odrzucać ruskiego dziedzictwa, bo jest ono jej własną warstwą kulturową.

Dziękuję dyrektor Biblioteki Publicznej w Hajnówce, pani **Alli Gryc**, za zaproszenie mnie na autorskie spotkanie. **Spotkanie odbędzie się w bibliotece w Hajnówce w piątek 15 września o godzinie 17.00. Książki też będą.**

Anna Radziukiewicz



Po książce Anny Radziukiewicz „Na Wschód od Zachodu" (2008) ukazała się jej kolejna pozycja, owoc wielu podróży, lektur, rozmów i przemyśleń. To „Bliski mi Wschód", rzecz usiłująca zrozumieć wiele zjawisk, które kształtowały prawosławny Wschód. Jej rozdziały to m.in. Ruski, Rzym, Pytanie o Polskę, Nad Niemnem, Lament wiary greckiej, Napoleon i Serafim. To rozważania o historii, wierze i kulturze, o trwaniu na granicy dwóch światów – prawosławnego i rzymskokatolickiego. To rzecz dojrzała, frapująca, bogato ilustrowana. **Cena 1 egzemplarza (w tym 5% VAT) u wydawcy** – **45 zł**. **Cena 1 egz. (z wysyłką)** – **52 zł**, 2 egz. – 107 zł, 3 egz. – 152 zł, 4 egz. – 200 zł, 5 egz. – 245 zł, 6 egz. – 290 zł, 10 egz. – 475 zł.

Książkę można zamawiać poprzez wpłatę na konto wydawcy, Fundacji Ostrogskiego, z dopiskiem: „Bliski mi Wschód". Nr konta: **98 1240 5211 1111 0 010 3993 4278**.

Można też złożyć zamówienie telefonicznie i mailowo: wydawca: (85) 742 18 57, autorka: 510 278 970; e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl



Uroczystości ku czci św. Gabriela w 2013 roku

Ćwierćwiecze przeniesienia relikwii

W tym roku przypada 25 rocznica przeniesienia z Grodna do Białegostoku relikwii świętego naszej ziemi, męczennika dzieciątka Gabriela. Tak ważne wydarzenie w historii naszej Cerkwi na trwałe wpisało się w pamięć wiernych i zlalazło swe miejsce w kalendarzu liturgicznym. Od 25 lat we wrześniu w katedralnej cerkwi św. Mikołaja w Białymstoku modlitewnie wspominamy przeniesienie relikwii św. Gabriela. Od 21 lat uroczystościom liturgicznym towarzyszą koncerty muzyki – Białostockie Dni Muzyki Cerkiewnej. W roku jubileuszowym koncert z udziałem znakomitych chórów z Supraśla, Hajnówki i Białorusi odbędzie się 22 września o godz. 17.00 w cerkwi Świętego Ducha na Antoniuku o 17.00. Po koncercie laureatom koncertu plastycznego, poświęconego św. Gabrielowi, zostaną wręczone nagrody. Uroczystości zakończą folkowe śpiewy, ale to już poza murami cerkwi, na pięknym parafialnym podwórzu, na którym są nawet miejsca do siedzenia. Serdecznie zapraszamy w imieniu organizatora koncertu, o. diakona **Bazylego Dubeca**.

ĆWIERĆWIECZE KOŁA TERENOWEGO BRACTWA PRAWOSŁAWNEGO ŚW.ŚW. CYRYLA I METODEGO W HAJNÓWCE.

Uroczystości jubileuszowe odbędą się w sobotę 23 września. Rozpocznie je Liturgia w Soborze Świętej Trójcy w Hajnówce, celebrowana przez metroplitę Cerkwi w Polsce **Sawę**.

W programie m.in. prezentacja działalności koła oraz wykład **Alli Gryc** „Ojciec Antoni Dziewiatowski”.

Pielgrzymka do Serbii



Informacje na www.bacieczki.cerkiew.pl. Zapisy u o. **Michała Czykwina**, tel. 513 123 578. Organizatorzy zapewniają bogaty program, przelot samolotem.

My, którzy Cherubinów przedstawiamy...

Fundacja „Oikonomos” i Akademia Supraska zapraszają na animację 3D do pieśni „My, którzy Cherubinów przedstawiamy...”, która od 15 do 17 września (po zapadnięciu zmroku) będzie wyświetlana na zabytkowych budynkach monasteru Zwiastowania Bogarodzicy w Supraślu, na części obejmującej Pałac Archimandrytów (w ramach projektu dofinansowanego przez Urząd Marszałkowski Województwa Podlaskiego). Tekst tej pieśni, śpiewanej podczas Liturgii prawosławnej, nawiązuje do wyobrażeń czynów anielskich, które to my – ludzie – na ziemi „tajemnie przedstawiamy”. W projekcie zrealizujemy animację 3D do pięknej melodyjnie (wybór jednej z wielu wersji) Pieśni Cherubinów, wykorzystując poetyckie przedstawienia plastyczne aniołów z *rospisów* fresków cerkiewnych. Widowisko będzie okraszone dynamicznie ukazującymi się przedstawieniami istot anielskich, a ostatecznie Świętej Trójcy (według Andrzeja Rublowa). 15 września zostanie poprzedzona wernisażem, podczas którego w auli Akademii Supraskiej wystąpi chór, wykonując pieśni inspirowane prawosławną angelologią.

Lekcje biblioteczne

Miejska Biblioteka Publiczna im. dr. Tadeusza Rakowieckiego w Hajnówce (ul. 3 Maja 45) zaprasza na lekcje biblioteczne (prezentacje mulitemadialne i wykłady) organizowane w ramach obchodów 100-lecia urodzin o. Antoniego Dziewiatowskiego. Tel. 85 682 29 69 lub 500 663 988.

Zajęcia z rosyjskiego

Bractwo Trzech Świętych Hierarchów w Białymstoku zaprasza na zajęcia z języka rosyjskiego w grupach dla początkujących i zaawansowanych. Zajęcia odbywać się będą w sobotę, od września do czerwca, w Centrum Kultury Prawosławnej. Spotkanie 5 września o godz. 18.00 w CKP (ul. św. Mikołaja 5), tel. 883 772 000.



1 SIERPNIA W KOSTOMŁOTACH.
MNISI Z IKONĄ ŚW. SERAFIMA SAROWSKIEGO

Fot. Anna Radziukiewicz

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO

Fundacja Ostrogskiego serdecznie dziękuje za wpłatę na rzecz jej działalności 1% podatku

ISSN 1230-1078
9 771230 107005